



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>







PISMA

STEFANA GARCZYŃSKIEGO

PISMA

STEFANA GARCZYŃSKIEGO

Paryż. — W drukarni L. MARTINET, przy ulicy Mignon, 2.

PISMA.



STEFANA GARCZYŃSKIEGO

WYDANIE DRUGIE POMNOŻONE

PRZEZ

STANISŁAWA Hr. SKORZEWSKIEGO

~~B. K. H.~~

~~A. J.~~

POZNAŃ

9.
44

NAKŁADEM LUDWIKA MERZBACHA

1860

Ex Bibliotheca
W. O. BIERNACIŃSKI ORAY

• •

Stefan Garczyński urodził się w Kosmowie pod Kaliszem, z Radolińskiej i Franciszka Garczyńskiego, roku 1806. Straciwszy rodziców w dziesiątym roku życia, dostał się pod opiekę ciotki, Antoniny z Garczyńskich hr. Skórzewskiej w Lubostroniu, i odtąd jako trzeci jej syn uważany i wychowany. Pierwsze nauki odebrał w Bydgoszczy, później do szkół Trzemeszeńskich uczęszczał, a w r. 1822 udał się do Warszawy dla dalszego wykształcenia.

Niedługo bawił w Warszawie; głośna w ówczas

„

filozofia Hegla pociągała go do Niemiec. W r. 1823 powrócił zatem do Lubostronia, aby w zaciszu wiejskiego życia oddać się całkiem nauce niemieckiego języka, którego jeszcze niedobrze posiadał.

Tutaj poniósł cios bolesny; śmierć Antoniny hr. Skórzewskiej, którą kochał jak własną matkę, dotkliwie uczuta, stała się także przyczyną przewłoki w powieżytych zamiarach. Długo nie chciał, i nie śmiał opuścić miejsca, dawnymi wspomnieniami i świeżym grobem równie drogiego, i dopiero w roku 1825 wyjechał do Berlina.

Słuchał tam filozofii, która niemało się przyczyniła do podniesienia jego umysłu i rozszerzenia jego pojęć, ale też zarazem przyniosła z sobą duchowe rozdarcie i cierpienie, tak żywo w poemacie *Wacław* oddane.

Podróż do Włoch, w r. 1829, w towarzystwie brata ciotecznego Apolinarego Gajewskiego odbyta, zbliżyła Garczyńskiego z Mickiewiczem i Odyńcem, z którymi się w Rzymie i Neapolu spotkał. Przyjaźń prędko zawarta, okazała się równie płodną jak trwałą. Adamowi nietrudno było odkryć pokrewną sobie duszę w Stefanie, a zachęty z ust takich wychodzące ośmieliły młodego poetę do pisania i wzbudziły zaufanie we własne siły.

Na wieść o powstaniu rzuca rozkoszne nadbrzeża Neapolu i staje w Lubostroni. Zaledwie tu powitał

ukochane osoby i drogie miejsca, żegna je, i dąży do Warszawy.

Na wstępie w nowe życie znów grób się przed nim ściele : grób jedyne go brata Antoniego podchorążego, zmarłego w wilią przyjazdu jego. Żal po téj nowéj a ciężkiéj stracie uświęcony, jeśli nie ulżony był myślą zastąpienia zgasłego przedwcześnie wojownika w obronie wspólnej matki ojczyzny.

Stefan odbył całą kampanią. *Sonety* dają nam poznać usposobienie poety. Cóż o żołnierzu powiedzieć? jedno że się bił i okazał godnym imienia Polaka.

Daremne usiłowania narodu w obronie wolności zniechęciły Stefana do świata. Powrócił do Lubostro-
nia nosić żalobę po zawiedzionej nadziei, i z całą rodziną wspólnym dzielić się smutkiem.

Nieprzyjaciele ojczyzny i téj ulgi zajęzeli jéj dzieciom ; kazano Stefanowi boleść daleko od kraju unosić, musiał opuścić strony rodzinne, i iść na tułactwo. Z Drezna pisze następne gorzkie słowa :

«Błogostawieni którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie, mówi Pismo Święte, przyjdzie czas sądu—zemsty okropnej. Ten że jest niedaleko, przeczuwam ().»*

Ciężko doświadczony za swe poświęcenie nie przestaje

(*) 30 maja 1832 roku. Listy, z których tu przytoczone są ustępy, pisane były do Hellodora hr. Skórzewskiego.

wszakże poświęcenia uwielbiać, i odzywa się do tego z swoich krewnych, któremu najchętniej się udzielał:

« Ty odczuć tego nie możesz, co się we mnie dzieje, kiedy przyjaciele moi pięknie, szlachetnie postępują. W młodym jeszcze wieku miałem duszę otwartą uczynkom chociaż obcym, ale godnym uwielbienia. Dzisiaj ta chęć widzenia, znajdowania jak najwięcej szlachetności na tym świecie, coraz się bardziej wzmacnia, a przyjaciela czyn, kiedy wyższy i z ofiarami osobliwie połączony, anielską mi sprawia rozkosz. Dziękuję Bogu, że żyję jeszcze na świecie; sam się wywyższam; czuję; jestem na chwilę szczęśliwy..... Życie nasze bez wzniosłych uczuć i czynów pustynią okropną (**). »

Tak wielbiąc poświęcenie, nie chciał jednak sam być jego przedmiotem, i czynił najdroższe sercu ofiary, by tylko nie zakłócić spokoju drugich. Następne słowa dają miarę jego uczuć w tej mierze :

« Ja kogo raz ukocham, długo i bardzo długo miłuję. Od innych nie w tej samej mierze odpłaty wyciągam. Niechby w przyjaźni stygli codziennie, mnie tylko tego czuć nie dawali. Serce moje coraz drażliwsze, bowiem z wiekiem na czuciu dobytek ustawiczny — a tak lada cień, słowo, pozór rani — i okropnie rani! Gdyby nieto dziecinne usposobienie, byłbym zdrów jak inni, czerstwy jak inni, wesół jak inni. Ciebie, kochany bracie, ko-

(*) 18 sierpnia 1832 roku.

cham szczerze. Listy twoje czule nie jedną ulgę przyniosły potrzebnemu jój bardzo; należą one do liczby tych, które lubię odczytywać, i odczytuję często.

» Dla czegom się nie udał do ciebie, łatwo wytłómaczysz. Jesteś ojcem, bratem, synem i mężem; masz wiele do myślenia i działania — obowiązków i mozołu zwiększyć nie chciałem. Ty chcesz do mnie przyjechać, widzieć mnie — może raz ostatni. Chociażby i tak było, zrzekam się tego. Gdzieindziej się zobaczymy... Tutaj, na téj ziemi, masz inne obowiązki. Mnie uszczęśliwiłbyś na chwilę — owdowiałbyś może na długo. » *

W Dreźnie zjeżdża się z Mickiewiczem i Odyńcem. Spotkanie to na chwilę wielką ulgę przyniosło sercu zbolełemu, lecz tylko na chwilę.

Niedługo wieść o śmierci Fryderyka hrabi Skórzewskiego, śmierć tego, który od dziesiątego roku życia zastępował mu ojca, cios mu zadała ostateczny. Odtąd życie jego było konaniem.

. Nie ludził się odzyskaniem sił dawnych, przewidywał swój koniec; wiedział, że mu na zawsze odjęte jedyne istnienia żywoły, jakimi są : Ojczyzna, rodzina i spokój.

Po raz ostatni odzywa się Stefan do domu, gdy mu przyszło Dreźnie opuszczać, aby daleko od swoich grób sobie usłać.

(*) 27 sierpnia 1832 roku.

« Po długich doktorów moich naradach, zapadł wyrok, że koniecznie Drezno opuścić i na południe jechać trzeba. Wiem, że mnie Opatrzność, jak dotąd nie opuszczała, tak i później nie opuści; na przyszłość więc mało dbały jestem. Nie troszczcie się zupełnie o mnie. Jest świat wyższy, który ludzi jemu służących prowadzi i kieruje. Kiedyś może się zobaczymy, jeśli nie tu — to tam — gdzieindziej* . »

Stefan Garczyński umarł 20 września 1833, w Avignon, w południowej Francji.

Żywot Stefana, poety, jak widzimy, ledwo trzy lata liczył istnienia. Dla niego dnie były ciężarem odkąd mu Ojczyźnie tylko zdaleka i wierném cierpieniem służyć było wolno.

Trudno by też w istocie wystawić sobie Stefana, starca patrzącego wiek ludzki cały na sromotę tak wielką a tak niezmienną, i pijącego przez długie a jednostajne tułactwem lata truciznę niewoli, której ledwo kilka spożytych kropel już mu ścinało oddech.

Krótkie chwile na ziemi przebyte wystarczyły do zjednania miłości wszystkich tych, którzy go bliżej znali i poznali.

Mickiewicz i pani hr. Klaudya Potocka otoczyli miłością i pieczą jego łożę boleści i śmierci w Avignon. Wielki wieszcz Walenroda i Tadeusza, już zaraz po

(*) 21 kwietnia 1833 roku.

swoim przybyciu do Paryża, zajął się był wydaniem poezyj Stefana, które, w roku 1833, w dwóch tomach się okazały, a zmarłemu przyjacielowi następnym w Avignon położył nagrobek :

STEPHANUS GARCZYŃSKI

MILES

IN BELLO CONTRA MOSCOVLÆ TYRANNUM

EQUITUM POSNANIENSIIUM

CENTURIONIS VICES GESSIT

VATES

POLONORUM ARMA VIROSQUE CECINIT

PATRIA A TYRANNO OPRESSA

EXUL

OBIT AVENIONE

ANNO NATUS XXVII.

STEFAN GARCZYŃSKI

JAZDY POZNAŃSKIEJ PORUCZNIK

KRZYŻA WOJSKOWEGO KAWALER

UR. W KOSMOWIE 1806 R.

UM. W AWENIONIE 20 WRZEŚNIA 1833 R.

Antoni Edward Odyniec następne wspomnienie poświęcił zmarłemu poecie.

WIERSZ NA ŚMIERĆ

STEFANA GARCZYŃSKIEGO

W ROKU 1833.

Płakać cię, czy się cieszyć? wierzę, że wraz z tobą,
Że duch twój, istny tutaj anioł na wygnaniu,
Bolejąc wciąż nad ludzką zmagą lub żałobą,
Odszedł — dokąd tak tęsknił, i snąc w przeczuciu
Krótkiej drogi swój, tak się kwapił z gromadzeniem
Me laurów albo skarbów — lecz dzieł swój zasługi,
Jakby stosu ofiary — by na nim płomieniem
Własnych swych uczuć spłonąć — jak Krywejtos drugi?

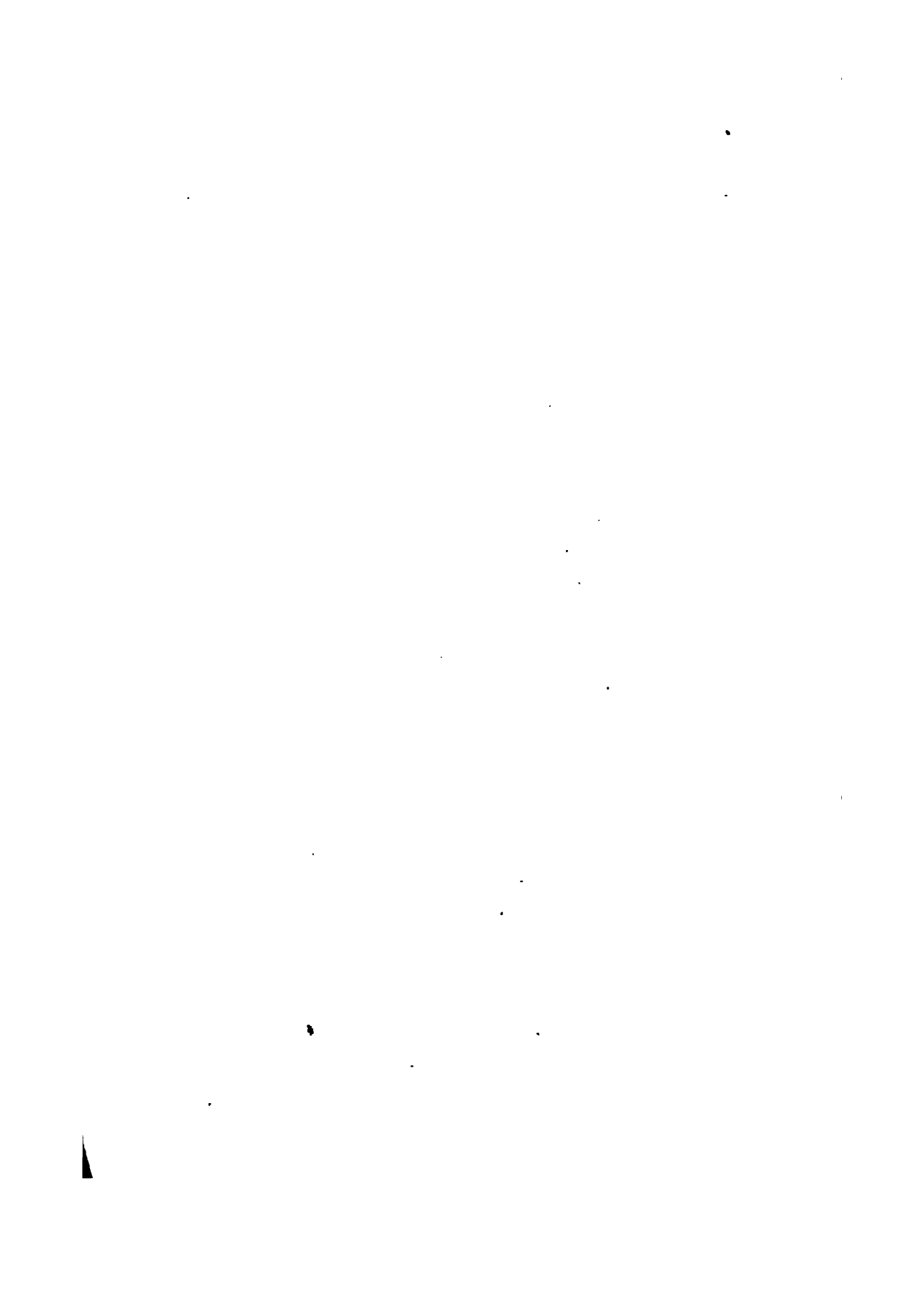
Wieszcz, rycerz, obywatel — w każdym z nich twa dusza
Odbita, jak ogniste słońce w wód kryształach,
Lecz pieśń dla innych rozkosz; dla ciebie katusza,
I nie strach sądów świata, nie troska o chwale
Miotaly sercem twojém; — nie! tyś drżał o dary,
Dane ci i natchnione : by ich bez użycia
Nie strwonić; by z nich żadnej cząstki, jak z ofiary,
Nie użyć sam dla siebie; by treść prawdy życia
Wydać w pieśni, jak w czynie; — tak, jak wszystkie czyny
Dostrajałeś do tonu wieszczych natchnień ducha. —
Trud dla Prawdy — to dla cię był spokój jedyny;
Ofiara — jedno szczęście; krzyż — jedna otucha!

Jeden twój grzech — żeś nazbyt żądał sam dla siebie,
Żeś chciał nazbyt wysoko dojść o ludzkiej sile :
Chciał stać się doskonałym, jak Ojciec na Niebie,
Mysząc żeś mógł i musiał — i nietylko tyle,
Ile da i dozwoli w tobie Pan — tyś sądził,
Że życie — to już tylko czas działać, nie prosić,
Czas zdobywać, nie czekać. — O! jeśliś w tém zblądził,
Męczenniku twój cnoty! odcierpiałeś dosyć.

I Pan snąc twe cierpienia ujrzał i przebaczył,
Gdy do łoża twój śmierci posłał ludzi dwoje (*),
Abyś w nich jako w żywém zwierciadle obaczył,
O czém tu już rozpaczać jęło serce twoje :
Geniusz chrześcijański i świętość anielską.
Oboje oni duszą kochali cię bratnią,
Oboje z poświęceniem i łzą przyjacielską
Przynieśli ci na ziemi pociechę ostatnią.
O! i rękojmię szczęścia tam! — Bo kto z takiemi
Złał się sercem i duchem — czyż Ojciec litości,
Każąc go takim duszom pożegnać na ziemi,
Innymby duchom kazał spotkać go w wieczności? —

Przyjacielu mój! bracie! wierzę w to, a przecie,
O! przebacz mi! że siebie, a nie ciebie płaczę.
Jam to cię z niemi poznał i zbliżył na świecie,
A już i ich, jak ciebie, wiem, że nie obaczę.

(*) Stefan Garczyński umarł na rękę Adama Mickiewicza i Klaudyi Po-
tockiej.

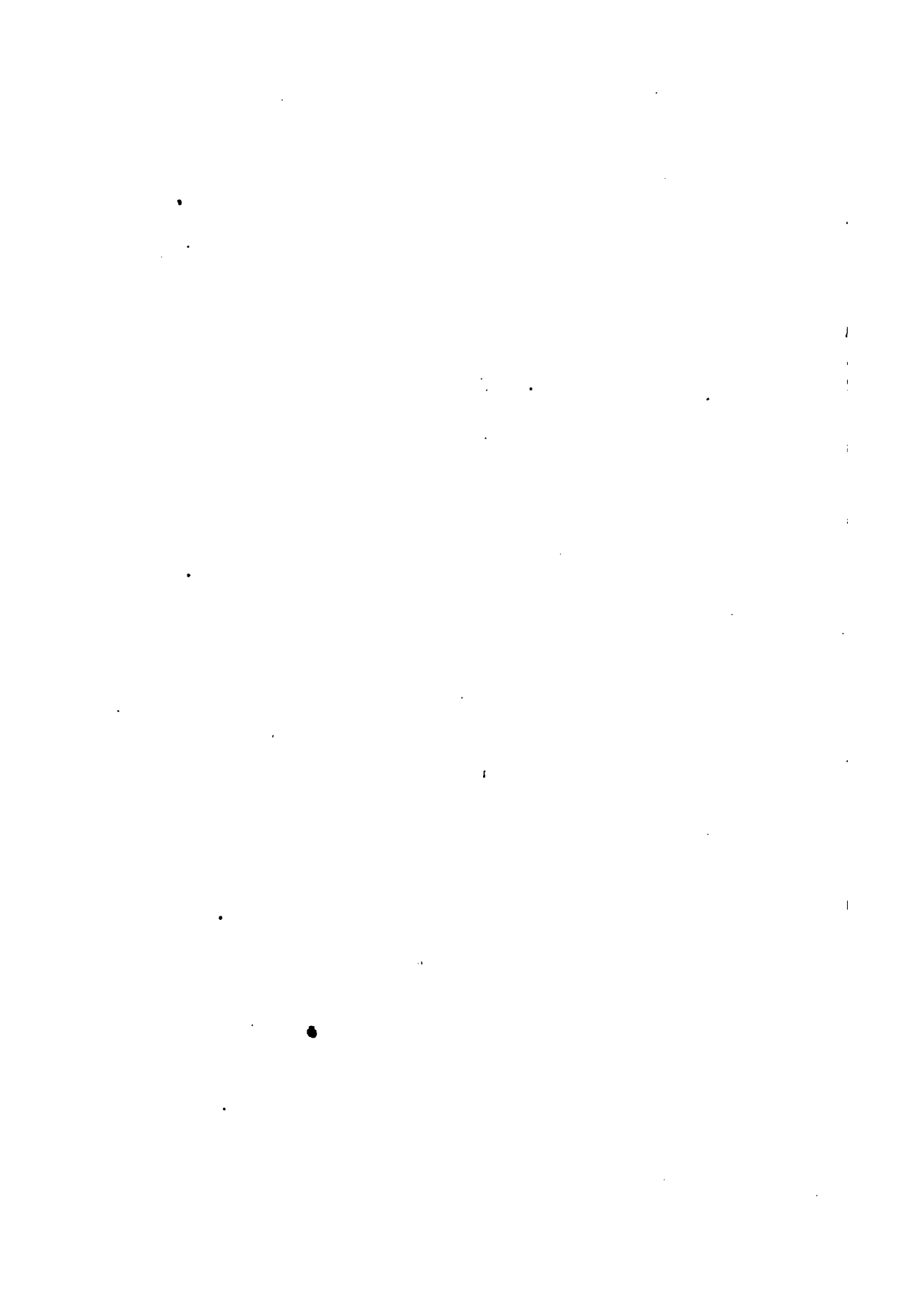


WACŁAWA DZIEJE.

POEMA.

The time is out of joint — O cursed spite
That ever I was born to set it right!

SHAKESPEARE (*Hamlet*).



ADAMOWI MICKIEWICZOWI

**NA PAMIĄTKĘ KILKU MIESIĘCY Z ROKU 1831 RAZEM W DREZNIE
PRZEPEDZONYCH**

POŚWIĘCA

Przyjaciel DOZGONNY.



WACŁAWA MŁODOŚĆ

CZEŚĆ PIERWSZA.

Młodości ty nad posiomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca.

ADAM MICHAŁOWICZ.

I

WIELKI PIĄTEK.

Milczą dzwony pobożne wieżycy wysokiój,
Jak usta skąpe w słowa, gdy myśl sród pamiętek.
W strojny grób już złożono Zbawiciela zwłoki;
Lud bieży grób odwiedzić — święcić wielki piątek.

Smutno w kościele było. Okna kirem czarnym
I ściany i obrazy zasłoniono kirem;
Ciche modły do koła. Ten westchnieniem szczerém,
Łzą skruchy, albo datkiem kupuje ofiarnym
Przebaczenie za grzechy u świętego grobu;
Ten ufny że Bóg wznosi kiedy się unizém,
Ustami proch całując, rozpostarł się krzyżem,
Kiedy krzyż dźwigać w życiu nie widział sposobu.

U ołtarza w zakonne odziani kapice,
W dwóch rzędach, zasępionych mnichów stoją chory;
Przed nimi świec dwanaście, i palą się świece.
Słychać hymny żałobne za zwykle nieszpory.

Z hymnami nikną światła. W kościele mniej jasno.
Świece jedna za drugą, po kolei gasną.
Lud czeka — już zgaszono — już ciemno się stało.
Jedyna lampa błyszczy na grobowe ciało.
Zapukano — czas wyjścia — lud tłumnie wychodzi —
I księża się ruszyli — i w komzach dwaj młodzi
Przodem księgi wynoszą — a rzędem za niemi
Sandały mnichów słysząc jak biją po ziemi.

Wyszli wszyscy. W kościele samotnie i glucho.
Czasem tylko u góry świergocące ptaki
Uderzą skrzydłem w okna, szukając wylotu.
Cicho i ciemno. Przecież bardzo czule ucho
Mogłoby więcej przejąć... Ktoś westchnął — kto taki?
Nie wiedzieć. Może grzesznik z żalu i kłopotu
Został jeden, by dłużej oplakiwać mękę;
Może .. Ktoś idzie — To ksiądz; on jego dostrzeże?
Ale cóż mu westchnienie? Uklęknął przy grobie,

Głowę schylił, pod ramię kładzie prawą rękę,
Wydobył książkę — rozwarł — przemówił pacierze;
Znów się schylił, nabożnie składa ręce obie,
I odrętwiałym głosem tak śpiewa przy grobie :

« A gdy na krzyż przybili, sługi wszystkie w tej chwili
Suknie pana porwali z pośpiechem;
I dział każdy chce stroju—czy przez zgodę, czy w boju:
Bo to u nich zabijać nie grzechem.
Ale płaszcz tam był Pana, jakby chusta utkana,
Bo nietknięty ni igłą, ni nożem ;
Więc mówili do siebie : by go nie psuć w potrzebie,
Losy wkoło na niego rozłożem.
I co rzekli, to było; bo tak Pismo mówiło :
Suknie łotrów rozszarpia mi zgraje,
Ale na płaszcz los padnie, jeden tylko płaszcz skradnie:
A tak dzisiaj to wszystko się staje. »

Śmiech jakiś niespodziany, gwałtowny i dziki
Przerwał śpiewy pobożne. Ksiądz schwycił krzyżyki
U różańca wiszące przy habita sznurze,
Schwycił, i głowę swoją zaslonił w kapturze.

Aż wkońcu śmielszy w myśli, jak dowódzca, który
Nim bój zacznie, szkłem zmierzy szyki nieprzyjaciół,
Spójrzął, i w znaku krzyża dłoń wznosząc do góry,
Już mówić jakieś słowa tajemnicze zaczął:
Gdy widzi, gdy poznaje człowieka, w kształt głazu
Stojącego opodał jak marmur cmentarzy.
Czarny płaszcz wisiał na nim; blady był na twarzy:
Zdawał się być bez ruchu, uczucia i wyrazu.
« Kto jesteś — mnich zawołał — czy cię złe obsiadło,
Człowieku ! że chcesz wicherzyć spokojność klasztoru ?
Milczysz ? Jeśliś nieżywy, jeżeli widziadło
Jest przedemną i w ciele tajny duch potworu:
Mam sposób, bicz na ciebie. Czy znasz godło krzyża ? »
« Znam — krzyknął nieznajomy — wielka to obrona !... »
Rozśmiał się, i tym śmiechem, jak głaz Pigmaliona
Całowaniem, ożywion, do księdza się zbliża.
Czarny płaszcz swój zarzucił z ramienia na ramię;
Z pod brwi, choć jasne oko, wypadł wzrok ponury,
I rumieniec gwałtowny, chorych myśli znamie,
Błysnął w twarzy, jak wstęga piorunu w nagle chmury.

XIĄDZ poznając nieznajomego.

To ty młodzieńcze tutaj ?

MŁODZIENIEC.

Krzycz — żegnaj — przeklinaj:

Duch stoi — jako waszych kościołów wieżyce,
Choć deszcz leje — grzmią nieba — palą błyskawice:
One stoją... Nuż śmiało, exorcyzm zaczynaj!
Tylko pomnij że płaszcz słów mnie więcej nie mami;
Że choćbyś drgał językiem, jak wicher potokiem,
Jam zawczasu ten potok zbadał myśli okiem,
I płaszcz twój czarodziejski zdarł myśli zębami;
Że żartuję.....

XIĄDZ.

Młodzieńcze, nie bluźń nadaremnie!
Takiżto odebrałeś nauki odemnie;
Na tomże cię wychował, ażebyś w kościele,
W dzień dzisiejszy, przy grobie Zbawiciela świata,
Bluźnił wiarę najświętszą?

MŁODZIENIEC z ironią.

Poznaj się w twém dziele!
Tyś mój mistrz!

XIĄDZ.

Słuchaj tedy. Burzliwe są lata
Młodości, wiele ludzi na zawsze w nich ginie:
Jam to wiedział; jam ciebie chcąc zbawić jedynie,
Chcąc ratować.....

MŁODZIENIEC przerywając z zapalem.

Nazawsze zgubił bez ochyby!

Tłało we mnie przeczucie wolności szlachetnej,
I mocne miałem ramie i do czynów dzielność.
Tyś mi odgadł mą duszę; miałem w myślach szybv
Do przejrzenia : tyś przejrzał; i jak dąb stuletni
Upadkiem strzaska drzewka, Bogaś, nieśmiertelność
Spuścił na mnie, na duszę, myśl strzaskał ogromem :
Wzgardziłem tém, co dawniej w oczach stało bóstwem,
Ojczyzną i miłością, przyjaźnią i domem;
Otoczyłem się waszą pokorą, ubóstwem;
Jam wiarą waszą świętą jak tarczą się składał:
I coż ztąd? Jam nareszcie wiarę i was zbaadał!
Chcecie, pokory suknie zawdziawszy na pyczę,
Zamieniając pałace na ustronia ciche,
W duszy gmachach zarządzać — i chatą i tronem :
Mieszkańców ich jak ptaków łapiąc w szpon sokoli,
Sami zimni — bez serca — męczyć, gryźć dowoli.
Chcecie, martwi, spokojni jak klasztoru ściany,
Na czas nieczuli, jako na pył śmierci wianek,
Patrzeć zimnawo na lzy, gdy kto łzami zlany;
Albo gdy ginie człowiek — wolny lud — kochanek:
Wam wolność, miłość niczém — płakać nie myślicie.
Ileż razy wam w duszy zlorzeczyłem skrycie!....
Wyrwałem się nakoniec!... Lecz czarowne słowo
Wiary waszój i kłątwy i modlitw i sztuki,

Wisiało, jak na włosie, miecz nad moją głową;
Drżałem żeby nie upadł!... Dziś czas — dziś nauki —
O, dzisiaj już inaczej : rozumiem was mnichy!
Dzisiaj — żarty to żarty — wszystkich was zbadalem;
W głos krzyczę : gdzie jest Słowo co się stało Ciałem?
W głos krzyczę : wiara wasza jest to dziecko pychy!

XIĄDZ.

Panie, odpuść mu, bo on sam nie wie co robi.

MŁODZIENIEC.

Tys rzekł, tylko za mało! Panie, serce dobij,
Które tak ciężkom zranił : oto treść modlitwy!
Wy mnichy, wy myślicie, że choroby, bitwy
Tylko człowieka gubią...

XIĄDZ.

Na krzyżu rozpięty,
Natchnij go mocą Twoją, i przywróć mu zmysły!

MŁODZIENIEC patrząc na grób.

Jezus Chrystus — znak krzyża, znak ofiar, znak święty!

(Z uniesieniem.)

Czemuż krwi Twojej krople na ludzi nie prysły,
I mózgów im nie spalą wieczystym zarzewiem?
Ot, Twój sługa: — Tys cierpiał, jak żaden z śmiertelnych:
A ten śmierć Twoję święci w kantyczkach kościelnych,

8.

WACŁAWA MŁODOŚĆ.

I żyje, i szczęśliwy — spokojny — jak nie wiem
Żadnego szczęśliwszego !

XIĄDZ

Grzesznicy my, prawda,
I bardzo grzeszni ludzie; lecz za to pokora...

MŁODZIENIEC.

Jutrem odkupujecie grzechy wasze z wczora.
A dziś do was należy :

(Udając głos księdza.)

Grzesznicy my prawda !

XIĄDZ.

Nie bluźń, nie bluźń młodzieńcze! Któż ogród potępi!
Dla tego że w nim drzewo spruchniałe lub chore?

MŁODZIENIEC.

Kto dom przeklnie, ja pytam, gdy dom z wszystkiém zgorę,
Albo sępów, gdy z głodu siebie pozrą sępi?
Ot słuchaj : dom ten, dusza — tyś podłożył ognie;
Ot słuchaj : sępem, człowiek, kiedy w duszy świta,
A obca przemoc — wiara — myśli jak jelita
Wydzierając mu z głowy, główę w proch mu dognie.
Cóż za dziw, jeśli biedny człowiek przy upadku,
Widząc i sił zniszczenie i niemoc swych chęci,
Jeśli cierpiąc, tysiące w koło męczeństw wkłęci,
Albo wzniosłszy kark nad was, plunie na ostatku?...

XIĄDZ.

Szalony, milcz na Boga!

MŁODZIENIEC.

Milczeć? Toć milezałem,

Długo i bardzo długo — dziś mówić przychodzi.

Dziś krzyżeć będę; słyszysz, krzyżeć gardłem całém!

Chciałbym po słów mych fali, na myśli mych łodzi,

Z duszą moją żeglować i wpędzać się w dusze;

Niechajby mowa moja, jako bystra rzeka,

Wszystkie strumienie myśli korytem swém zlała!

I zleje — Bo ja myśleć, bo ja mówić muszę!

Słuchaj, z duszą mą wpadnę w głąb' serca człowieka:

I jak szkło młota gromem, wiara pryśnie cała.

Mówić mu chcę wolności świętymi słowami,

Mówić mu chcę niemowląt, nieszczęśliwych łzami,

Krzyżeć nad nim, jak matka nad śmiercią dziecięcia,

Gdy je z pod piersi matce, wyrwie ptak straszliwy;

Zaknę go na najświętsze uczucia zakłęcia,

Na śmierć ojca, na przodków szereg nieszczęśliwy,

Niech wszystkiemu zawierzy, wam jednym nie wierzy!

Bo wy słudzy nikczemni, zamiast Boga słudzy,

Wy, kiedy ludzie giną, męczeni są drudzy,

Wy, jak by to nie ludzkie trafiało przygody,

Choćbyście jedném słowem krwi wstrzymali strugi:

Patrzycie zimném okiem, jak giną narody,
Ledwie trupom oddając ostatnie przysługi.
Toż więc jest wiara wasza? Na to macie władzę,
Aby cnót się wyrzekłszy, dawać przykład zbrodni?
Nikczemni ludzie, boskich przydomków nie godni!
Od mleka matki waszój ziemi was odsadzę,
Kiedy litości ziemskiej, cnót w sercu nie macie ;
Wyprą się was rodzice, jak wy się wyparli,
I siostry, przyjaciele, i brat was po bracie
Kłąć będzie, i tam z grobu powstaną umarli,
I kłąć będą, i wołać o zemstę wszechwładną,
I głowy wasze w końcu pod żelazem padną,
A wiara.....

XIĄDZ.

Stój! nie więcej!!...

* *

Zegar bił w téj chwili,
I na hymny wieczorne księża nadchodzili.
Twarz swoją nieznajomy płaszczem więc osłonił,
Coś jeszcze prędko wyrzekł, zwrócił się z pośpiechem.
Idzie — krok nagli — śpieszy. Nim zegar wydzwonił,
Trzask drzwi mocném się odbił o sklepienie echem.

II

POWRÓT Z KOŚCIOŁA.

Zachód się blaskiem purpurowym pali;
Jako żar węgla, chmury błyszczą w dali;
Już słońca nie ma. Po dziennych mozołach,
Wieśniak znużony powraca do domu;
Jest co zastawić, jest usłużyć komu,
W chatce ma żonę, dostatek w stodołach:
Szczęśliwi ludzie zagrody ubogiej,
Macie skarb wielki, nie żądając więcej!
Cóż, że na palcu błyszczy kamień drogi,
Że skrzynie ciężkie krociami tysięcy:
Kiedy myśl, dusza w ustawicznej wojnie?
Wam dni i noce mijają spokojnie,

Nie chciwi sławy, nauk nie żądliwi,
Zdała od świata życie szczęśliwi!

Lecz co za tentent? Patrz — krzyknęły dzieci,
Że jakiś czarny jeździec przez wieś leci.
To on — pan młody. Wybiegają z chaty
Widzieć go; bo on rzadko jest widziany.
Na czarnym koniu, sam czarno ubrany,
W cwał leciał, dziko rozpuściwszy szaty.
Płaszcz jego czarny, jako skrzydło ptaka
Wiatr pod się chwytął; a piana rumaka,
Pęd jego nagły, nozdrza rozognione,
I jeźdźca oczy na dół pochylone:
Że wracał gniewny i spieszenie, świadczyły.
Przeleciał wioskę. Drogą tylko pyły,
W kłęby się wznosząc z piasku ciemnej chmury,
Długo wisiały jak orle pazury,
Nim ptak drapieżny ciała swęgo brzemie,
Znużony wiatrem, opuści na ziemię.

Tak uczą gminnych poetów ballady:
Że w dzień zaduszny, o północnej porze,

Duch świeżo zmarłych z wysoka zejść może,
I dzielić z ludem zastawne biesiady.
W chmurnym on, mówią, z nieba ciągnie dymie,
Z gęby żar ognia płomieniem wybłyska,
A czyje naprzód wywoła on imie,
I czyje naprzód wywoła nazwiska,
Tym lub przekleństwo, albo śmierć jest blizka...

SNY PROROCZE.

Śpią wszyscy. W całej wiosce milczenie grobowe.
Jeden jest tylko człowiek, który spać nie może.
Oczy jego biegają, niby czujne stróże
Dzikich marzeń, które mu zawiechrzyły głowę;
Myśli jego, na wieki potępionę więźnie.
Gdy wioska cała w miękkim spoczynku zagrzęźnie,
J sen, jak chmury niebo, zasuwą powieki :
Podróżny go spotyka, u spienionej rzeki
Leżącego na brzegu, albo też u wzgórza,
Gdzie rozpadlin bez liku, bystrzej wody ścieki;
On się w bystrzejszych myślach, w dumaniach zanurza.
Wacław jest imie jego, lecz ojców nazwisko,
I herbów rzędy zwykle milczeniem pominę.

Z przodków, wslawionych może od trzech wieków blisko,
Niejeden za brzeg Elby, za Dniepr i za Dźwinę
Dosięgając orężem, obcym był znajomy ;
Niejeden w radzie siedział i sławnym był w radach :
Wiele mówić o jego dziadach i pradziadach ;
Jednym słowem, Waclawa wielkie rodzą domy.

Czyny z ducha wynikną; ale i krwi związki
Pokoleniem tajemnie zarzekają ducha.
I jako kiedy dębu spadnie gałąź sucha,
Z niej pewno nie wyrosną zielone gałązki ;
Jak z nocy, choćby trwała czasy nieskończone,
Światło nie błysnie, ani gwiazda się zapali ;
Jak z struny, choćbyś długo w jedną brząkał strunę,
Głos nie wyjdzie dźwięczący harmonijnej skali:
Tak człowieka duch, myśli, czyny, przewinienia
Są dźwiękiem różnych śpiewów, pieśni tajemniczój,
Którą długo tworzyły całe pokolenia,
Którą echem tajemnym późny wnuk dziedziczy.

O syna dziwnych losach, sny prorocze wcześniej
Ostrzegaly Waclawa matkę przed pologiem.

Widziała chmury, niby czarne byki we śnie,
Co rycząc jako gromy, błysk ciskając rogiem,
Uderzały na siebie; i jak morze w burzy,
To raz piętrząc swe wody okręt w niebo miecie,
To znowu przyczajone, na splaszczonym grzbiecie
Okręt aż do mielizny w piasku dna zanurzy:
Tak one rogi swoje raz wspięły wysoko,
Aby ich żadne ludzkie nie mogło dojść oko,
To znowu karki niżąc, ostrym zębem roga
Z dołu sieką, prą, gonią ryczącego wroga;
I nie tak błysk za błyskiem leci w pędzie dzikiem,
Jak rogiem najeżonym ścigał byk za bykiem.
Tak jój się we śnie zdało. Wtém zgóry czy zdołu
Nie wiedzieć, jakiś nowy olbrzym w szranki bieży;
On jeden pragnie walczyć, zbić wszystkich pospołu:
Był to człowiek jój znany, z twarzy i odzieży,
Młody, miły, powabny; wielki miecz miał w dłoni,
Jasną zbroję na piersiach, przyłbicę na skroni.
Zaczęła płakać matka; wyciągnęła dłonie
Ku niemu: lecz na próżno; on nie widział matki.
Wyciągnęła ku niebu: Bóg przyszłe wypadki
Skrył w zasłonie.

Drugi raz sen był inny : śniła się jój łąka,
Którą zdożyły kwiaty i ptaki i trzody;
Wszystko piękne, piękniejszy jednak pasterz młody,
Siedzi obok kochanki, i na lutni brząka.
Chłodem tchnęło powietrze, słońce błyszczy mile;
Ptaki śpiewem, pasterza powtarzały tony;
Aż nagle wichur zawył. Przeciągły motyle
Z wschodu w zachód, i było ich jak myśli, tyle:
Różne, kraśne i w wstęgach jak pawie ogony.
Spójrzała na dół matka... Gdzieś znikła kochanka;
Pasterz tylko sam jeden błądził po tém polu,
I plół wieniec; lecz zamiast kwiaty brać do wianka,
Brał pokrzywy, chwast oset, i liście kąkolu.
Gdy skończył, wieniec włożył sobie sam na czoło;
W rękę strzelbę ognistą piastował za lutnię,
I spoglądał ku niebu dziko i okrutnie,
I na głos śmiać się zaczął — ale nie wesolo,
Rozpaczy jednę tylko takie jest rozśmianie.
Długo czekał, noc przyszła, znów błysło zaranie,
A z niem z chmur jakiś orzeł wyleciał straszliwy.
Szpony nad nim zawiesił, okiem mu bił w oko,
Pióra jego groźniejsze były od lwa grzywy,
I olbrzymem się здаwał, choć wisiał wysoko.

Widziała matka walkę. Zwarli się zarazem:
Jeden groził szponami a drugi żelazem.
Młodzieniec pierwszy strzelił, i krew z orła boku
Prysnęła nawalnicą jako deszcz z obłoku ;
I orzeł na dół zleciał, — ale swoje pióra
Jak wachlarz roztoczywszy przed obliczem słońca,
Skrył ziemię czarnym puchem, od końca do końca,
A w głowę dumną wroga wcisnął ostrz pazura.

Takie były sny matki, Waclawa proroki...
W sny nie wierzym ; lecz często i znaczą nie mało :
Gdy oczy noc zasunie, martwe leży ciało,
A duch zbywszy zmysłowej, ómiącej go powłoki,
Na granice przyszłości lekkim skrzydłem wzleci,
Okiem twórcy, na wszystkie spójrzy swoje dzieci,
I w zmysłów chmurę znowu obleczony wcześniej,
Tém okiem i w te chmury tęcze rzuca we śnie.

Dzień Boga narodzenia był i dniem Waclawa.
Później gdy wyrosł chłopiec, czy jego chęć dzika,
Czy myśli religijno, matki snu obawa,
Dały powód — to mniejsza — habit zakonnika

Włożono Wacławowi, zamknięto w klasztorze.
Śród murów rosło dziecko i piękne i hoże,
Jako owa roślina co w cieniu dojrzewa,
Gdy inne w słońcu tylko kwitnąć mogą drzewa.
Opuścił klasztor z czasem, nie wiem w jaki sposób,
Chociaż znajomych jemu wiele znałem osób.
On często — później jeszcze — zwyczajny nalogiem,
Samotny lubił jeździć do klasztoru swego;
Dla czego? nie powiadał nikomu dla czego.
Może lubił samotnie mówić z Panem Bogiem;
Może Bóg go natchnieniem czasami obdarza;
Może głósnięj przemawia grobowiec cmentarza,
Kościół pusty, szmer liści lub strumienia mruki,
Do serca czującego, duszy skołatanej,
Nad świat pełny, trzask ludzi, książki i nauki.
Bez tchu, blady, w noc późno, i łzami zalany,
Wracał z klasztoru zwykle. Wtenczas pióro chwyta:
W oczach jego myśl jakaś dzień zaczyna skryta;
Były to chwile wieszczca, zachwycenia chwile.

Mnie dziennik podpadł jego. Na czele dziennika
Czytam wiersz— myśli dumne— pieśń, melodya dzika
Ale silna, zaświadcza o wewnętrznej sile.

O D A

NA CZELE DZIENNIKA WACŁAWA UMIESZCZONA.

Geniuszu, ty jeden nie opuść mnie w życiu !
Skrzydłem twém boskiem obwiewaj mą duszę;
A śpiewać będę, i śpiewem poruszę
Siły tajemne, choć w piekła ukryciu !

Kiedy chmury jak duchy powietrznego gmachu,
W olbrzymich kształtach, odzieniem ciemnoty
Niebo zakryją — zadrży świat w przestrachu;
Niechaj mnie wzniosą skrzydeł twych poloty
 Tam — w chmury czarne —
 Pieśń i tam zadźwięczy ;
 A okiem tęczy,
 Chmury w krąg ogarnie !

Geniuszu ! gdy burza ześle wiatry mściwe
I niebo morzem ognia się zapali,
Chcę jak rumaka schwytać fali grzywę,
I twojém skrzydłem popędzić na fali !

Niechaj nadpowietrzne żagle
Serce moje, duszę wzmogą ;
Wiatry zdepcę moją nogą,
I do jarzma wiatry znaglę !

Geniuszu ! gdy ludzie uśpieni bezwładnie
Od burzy legną, co zmysły ich głuszy,
Śpiew ty mój natchnij ! a z duszy do duszy
Jak słońce w oko, śpiew mój błyszcząc wpadnie.

Wszystkie siły wstrząśnie na dnie,
Wstrząśnie cały świat uśpiony,
Jako lutni mójjej stróny
Kiedy niemi ręka władnie !

Geniuszu ! ty i piersi natchniesz zemsty pieśnią,
I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,
Mściwy jak w piekle zemsty sobie nie śnią;
I ludzie — niebo — staną mu na świadki :
Jako sercu — myśl wysoka,
Jako myśli — czynów dzielność,
Jako czas — pieśniom proroka,
Jako prawdzie — nieśmiertelność !

A gdy przyjdzie godzina, wieszcz słaby zaginie,
Geniuszu! ty i w śmierci bądź moim aniołem!
Niech życie kończę, jak życie zacząłem,
Życie i śpiew mój, ach w jednej godzinie!
 Niech ostatnie głosy moje,
 Jak dźwięk lutni w echa brzmieniu,
 We śnie miłym tam dostroję,
 Tam dosłyszę w przypomnieniu!...

IV

NAUKI.

Przyjemną była wioska rodzinna Waclawa.
Dworzec ojca mieszkalny, wspaniała wystawa,
Budową staroświecką przedrzeźniając wieki,
Stał na górze opodal wielkiej, spławnej rzeki.
Dwa skrzydła i dwie wieże wyrastały z dworca;
Z obydwóch wiewał przez dzień biały znak proporca,
Godło bytności pańskiej; a gdy po zachodzie
Wiatr chmury rozpędzając zatlił blask wieczorny,
Z obydwóch widzieć było na obłoków spodzie
Meteorem błyszczący — krzyż wieży klasztornej.
Klasztor to był fundacyi Waclawa pradiada.
Grono ojców wielebnych świętego Bernarda
Liczne cele wypełnia i zakon ten składa :
Znane jest ich ubóstwo i świata pogarda.

Tamto w dziecinnych latach Wacława zamknięto:
Tam, choć kościół daleki, pobożna gromada
Ze wsi spieszy obchodzić każde wielkie święto.

Trzeci dzień wielkanocny przemijał z wieczorem,
W tysięcznym osiemsetnym dziewiętnastym roku.
Chłopi drogą wracali w posuwistym kroku
Z nieszpórów dnia świętego; a w rzece, za dworem,
Prócz trzciny wiatrem kwietnia lekko kołysanej,
Albo jaskółki rychłej co wodę przelata,
Cicho... Inaczej w dworcu: krzyk wypadł z za ściany,
Przytłumiony lecz mocny — to jego komnata,
Jego głos — przecież nikt mu na pomoc nie bieży.
On pracuje, bo dawno światło w oknie mruga;
Słysząc ilekroć nogą w posadzkę uderzy;
Widzieć przez okno — zdala jakaś postać długa,
To cień Wacława — widny w szybach zwierciadlanych
Jak w przezroczystym niebie słup tumanów rannych.
Znów głos — woła służących — wierny wchodzi sluga:
« Ciemno! nie dosyć światła — czyż na ogniu zbywa?
Zapalić drugą świecę, trzecią świecę, czwartą! »
Uciął — ale wzrok podniósł — ową broń wypartą
Z duszy — która jak gwiazda błyska nieszczęśliwa,

Zadrzał przełękły sługa; bo choć pan łaskawy,
Takiego coś ma w mowie, takiego coś w oku,
Że gdy spojrzy, nikt nie śmie dotrzymać mu kroku,
Że gdy mówi, z sług każdy jak liść drży z obawy.

Już w trzech lichtarzach światła zabłysły na stole:
Jemu ciemno — « Niech ogień zagrzmi całą siłą
Tam » — na komin pokazał — i w gardle komina
Świeci — dym się ulatnia w czarnych kłębow kole,
Ogień buchnął, skier tysiąc powietrze rozcina:
I w pokoju się wszystko razem wyiskrzyło.

Z rozwartych ksiąg na stole, czarnych liter półki
Wyjrzały, jak z pod śniegu pnie zgorzałych borów;
A z szafliczne narzędzia, maszyny, ampułki,
Służące do fizycznych, chemicznych rozbiórów,
Raz pierwszy z pleśni kurzu krwawą świecą luną.
Dwa tylko twory inne — czaszka martwa trupa,
Błada między księgami, jakby kawał słupa
Który z marmuru cięży wznosi się nad truną,
I twarz blada Waclawa: ona jak śnieg góry,
Światłem się nie maluje, dymem się nie plami;

I kiedy myśli czasem w kształt przechodniej chmury
Zawichrzzone ze sobą w wewnętrznej niezgodzie,
Po twarzy się przesuną jako wiatr po lodzie,
Nikną na nią. Dziś jednak widać w jego chodzie
(Bo gwałtownemi mierzy komnatę krokami,
I pot z czoła mu spada gwałtownemi łzami),
Że ta bladość jest czucia gwałtownego świadek.
Włos spadał mu na czoło w dzikim nieporządku,
A wzrok jego? — tak czasem okiem dziko strzeli,
Że gdybyś chciał aniołów malować upadek,
Owych przed światem jeszcze nieba wichrzycieli,
W jego oku szatańskich myśli badaj wątku.

« Ciemno jeszcze, daleko ciemniej niż z początku —
Okna wszystkie otworzyć! » — i okna otwarte —
I chustkę z szyi zrywa : duszno — suknie zrywa;
Znów stanął — nagle księgę przed sobą rozłoży,
Ciekawie okiem śledzi rozpostartą kartę,
I jakby wyrok jego na nią odpoczywa :
« Eritis sicut Deus » przeczytał — znów czyta —
Milczy — ale myśl jego jak magnes żelazem
Rozdrażniona słowami — jak strumień alpowy,
Pędzi gdy go raz wypchnie z góry moc ukryta :
Jak koń spięty ostrogą mknie na wiatr kopyta :

Tak myśl jego wzbudzona tym jednym wyrazem,
Na skrzydłach oka rwie się z zadumanéj głowy,
Pewna swojego lotu, jak orlica z gniazda.
Zaiskrzyły się oczy — widzi ogrom świata;
Przeszłość — przyszłość — z trzech liter wybija się gwiazda,
Pędzi za nią — wzrok podniósł — do góry ulata —
Zadrżała — on ją okiem dogonił na niebie —
W niebie — w ziemi — on jeden — on Bóg — on zna siebie.
Wstaje — myśli że głową obłoków dostanie,
Że wielki!... Kiedy nagle z rąk mu pada księga.
W duszy coraz to mniejsza przestrzeń widnokrega;
Przed okiem znowu tylko pokój — księgi — banie:
Wszystko tak jak przed chwilą, sługa przy drzwiach czeka.
Na stole świece — ogień skry do koła ciska —
A dusza! — dusza która Boga była bliska,
Jako pielgrzym do domu, wraca w kraj człowieka!!
« Precz mi z oczu! » drzwi wskazał — sługa na znak idzie.
On nie zniesie, ażeby człek go jaki w wstydzie,
I to przed sobą samym, przydybał z nienacka.
Gdy wyszedł, znów krokami zadrżała posadzka:
Wacław samotny chodzi. « Niechaj gmin zwyczajny
Serce swoje jak papier na jaw pokazuje! »
Wacław inny — im większą boleść w sercu czuje,
Tym bardziej w słowach skąpy, w myślach swoich tajny.

Przejrzeć go jednak można! — spojrzij mu w oblicze,
W oczy, na usta jego — i choć świadkiem gardzi
Myśli swoich — wysłedzisz myśli tajemnicze;
Wysłedzisz, że od ludzi, cierpi, czuje, bardziej.
Oczy ma jasne — przecież jakaś mgła, powłoka,
Jakoby w żalu ciągłym wieczna łaza stopiona,
Spojrzenie mu łagodzi, żar mu studzi oka.
Na usta śmiech nie zbłądzi; ale nieraz z łona,
Dawniej może z potrzeby, dziś zwyczajem częstym,
Westchnienie się wrywa i na ustach kona.
Czoło jego ściemnione spadkiem włosa gęstym;
Krok wolny, twarz bladawa — i zwyczajne szaty
Czarne i zaniedbane dodają żaloby.
A kto słyszał głos jego, gdy mówi — i ktoby
Ludzkie serce rozumiał, ten zrozumie postać;
Lecz myśli jego tajnie, daremnie kto bada:
Jak z przepaści nic z niego, nie można wydostać.
Gdy kto mówi do niego, krótko odpowiada.
Sam nigdy nie zaczepi — dla czego! — nikt nie wie.
Czasem słów kilka znanych z pism lub ojców świętych,
Z dumą rozumnym ludziom prędko rzeknie w gniewie,
I zamilknie — czasami nie skończy zaczętych,
Jakoby słów żałował: może byź że z dumy,
Albo że głupstwem mieni zwyczajne rozumy.

Był czas — i on pracował. Nie raz zorze raune
Bezseennego zdybało przy książek czytaniu;
A gdy późno w noc usnął, wstawał o świtanu.
Znękały go zapewne prace nieustanne,
Bo później długo w rękę żadnej książki nie brał.
Dziś znów szal przyszedł dawny. Nad stołem od rana
Zasiadł i tysiąc książek prędką dłonią przebrał;
Czytał i składał znowu — do skąpca podobny,
Któremu choć na rozkaz skrzynia złotem tkana,
On się z tém złotem zamknie, jak pajak osobny,
I liczy i przelicza, lecz chleb suchy gryzie.
Jedna przecież w Waclawie wielka jest odmiana :
Dawniej, myśli powagą ksiąg trzymane w ryzie
Nie wznosiły rokoszu chociaż jarzmo czuły ;
Dziś inaczej, sam siebie w odmiar nauk kładzie,
I jak śmiało rozdarłszy ornaty i stuły,
W serce, w czyny religii posłanników wgląda,
Tak dziś nauk zdał formę, i w myśli osadzie —
Nie sentencyi, nie zabaw — prawdę znaleźć żąda.
Żąda, lecz nie dostrzeże, chyba cień za ciało:
Kreski planów za gmachu węgielne kamienie;
Osobno mur do niego — dach — ściany — sklepienie,
A gmach ? — na powiązanie gmachu rąk nie stało.

Czuł to Wacław — czuł więcej — bo dumne nauki,
Jako w białosc papieru nasadzone druki,
Splamiły mu niewinność — serce mu wykradły.
Tak mówią, że na ludzką krew upior zajadły,
Gdy ofiarę wybierze z której soki pije,
Ofiara umrzeć musi; lecz zmarła ożyje,
I mordercy swojego postępując torem,
Zuów niewinnych krew chlepcąc, staje się upiorem.
Tém jest rozum nabyty, alboli też raczej
Tém przez rozum z krwi dusza wyszana człowieka;
Jaka śmierci opieka, taka jój opieka.
Komu serce drga w piersiach temu nie przebaczy.
Czujesz świata cudownosc, i myśl w świecie bożą?
Nauki ci świat, Boga, na części rozłożą;
I poznasz bład twój dawny. Kiedy niebo gromy
Ręką rzuca olbrzymią, błysk świeci po błysku, —
To chmury trą się z sobą: a co chmury, niebo?
Fizycy wytłómaczą, wiedzą astronomy.
Kochasz się — patrz czy miłość przyniesie co w zysku;
Gdy nie — miłość jest głupstwem bo pieniądz potrzebą.
Masz przyjaciół, ojczyznę? — jeśli kraj cię wzywa,
Rozpatrz się jakie cele, korzyści i skutki? —
Czy co zacząną dokończą, czy pora szczęśliwa,
Czy po nagłej rozkoszy nie nadejdą smutki:

Inaczéj — niechaj inni krew swą marnie leją,
Tobie lepszej przyszłości cieszyć się nadzieją!

Wacław przecież za dumny, aby naksztalt węża
Zatruwał jadem złego niewinności serce :
Toć on sam w pomoc książki nie wziął lekkomyślnie,
Kiedy blask wiary dawnéj zciemnili mu księża!
Myślił tedy, że z nauk iskrę po iskierce
Zsypując, znowu światłem jasnym duch zabłyśnie.
Oszukał się okropnie ! Rozumowań słowa
Słyszał ciągle : w nich jakaś treść—ziarno—osnowa,
A duszy ani śladu. Czasem niecierpliwie
Rzucając książkę z ręki, wołał na głos cały :
« Gdzież jest bóstwo, które ja w piersiach moich żywię?
Przyjaźni zapal — miłość — wolności zapaly,
I myśl co czleka tworzy i różni od zwierza ?
Gdzie jest Bóg, stwórca świata? » Książki nie wiedziały.
One jak taktyk stary, gdy wojnę zaczyna,
Zwycięstwo liczbą kreśli, ustawi żołnierza,
Ale mu wiara wyższa nie staje jedyna.
Wiedzą ile jest zwierząt, z kąd która roślina,
Tylko czém zwierzę, kwiatek, czém człowiek—nie došli.
Byli i tacy prawda, co innych przerošli

Myślą o rzeczach wyższych, lecz w ich nauk szkole,
Kto wytrzyma? gdy w słowa myśl — jak w nurt potoku.
Ziarno zboża rzucone tonie — a na dole,
Na dnie choćby i rosło — nie dojrzyć je oku!

« Rozbrat więc z niemi wieczny » — pomyślił — wykona:
Wacław czucia i myśli na frymarkę nie ma.
Raz jeszcze w świat ów martwy zatoczył oczyma
Dzisiaj — i nic nie znalazł : dusza przesilona,
Kurzem już żyć nie może, głupcom ku podziwie.

Z pogardą więc pchnął stolik ręką niecierpliwie.
Słowa na wpół ucięte, nie wyraźne z razu
Chwilowo usta miecą, aż w głosie pomału.
Wyraz się coraz bardziej łączy do wyrazu;
Z dumań mowa wypada — jak deszcz śród upału :
« Niechaj mól życie nędzne w starych księgach pędzi,
Niech się w kartę zbutwiałą z ciekawością wżera;
Moja ręka napróżno tysiąc ksiąg otwiera,
I warzy doświadczenia z tysięcznych narzędzi.
Któż jak ja z potem czoła męczył się i czytał?
Dziś gdym na równi z wami, gdybym się zapytał

Czegoście nauczyli i co sami znacie,
 Wstydyby wam czoło, serce i rozum wypalił,
 Jeśli wstyd znacie jeszcze—wam gdybym się żalił!
 Zamknijcie księgi dumne, i w nauk warsztacie,
 Na każdej ścianie, każdej książkowej okładce,
 Zapiszcie jedną prawdę — wypadek zagadce;
 I ja z wami zapiszę : że człowiek zrodzony
 By wszystkiego dociekał, sam niedocieczony ! »

CHÓR MŁODZIEŃCÓW w oddaleniu.

Hulajmy, hulajmy — póki w worku grosze,
 I dziewczyna, jak malina,
 Młodości po trosze — młodości po trosze.

 Tańczymy, tańczymy — poki noga skoczy;
 Toć jest śpiewka — toć jest dziewczka,
 I skrzypek ochoczy — i skrzypek ochoczy !

 Dziś pijmy, dziś pijmy — kiedy gardziel sucha;
 Dobry miódek, i dzban wódek,
 U naszego drucha — u naszego drucha.

 Bo potem, bo potem — starość nas opęta,
 Młodość zniknie — człek odwyknie,
 Odwykną dziewczęta — odwykną dziewczęta.

CHÓR STARCÓW.

Bodajto czasy dawne — człowiek miał pieniądze,
Piękne śpiewki — hoże dziewczki,
Od nich cacka, wstążki — od nich cacka, wstążki.

Każda się uśmiechała — każda była rada,
Dziewka, wdówka — z mego słówka,
Dziś żartują z dziada — dziś żartują z dziada.

Nawet przyjaźń inną była — dobrzy przyjaciele,
Wsparli ciebie w twój potrzebie,
Dziś nie warci wiele — dziś nie warci wiele.

Piję więc zdrowie dawnych — starcze w ręce twoje!
Choć w pamięci, niechaj święci
Człowiek szczęście swoje — człowiek szczęście swoje.

Śpiew ustał — przepadł drogą, w mętym tonów zlewie,
Tylko echa dalekie zawrzały po śpiewie
Coś o szczęściu i znikły. Przy rozbiegłym chórze
Ciekawych gwiazd tysięcy, księżyc na lazurze
Twarz swoją bladą chyląc z błękitnego łoża,
Na którym zadumany żegluję w przestrzeni,

Włosy swe w kształcie srebrnych rozwiesił promieni ;
Rzekłbyś że czołem bije u niebios podnoża.
I z okna dworca widać — czy muru kobierce ?
Nie, to postać Waclawa po murze się łamie,
I ku ziemi roztacza coraz większe ramie,
I rośnie, jako płomień zawarty w iskierce,
Gdy wiatr zarzew rozdmucha, rozprzestrzeni gwałtem ;
Az w końcu cień olbrzymim ziemię dopadł kształtem,
I zniknął — słyszeć tylko jak się okno zwarło ;
Szyby brzękły z łoskotem, a ganek głęboki
Glucho odbił znajome, prężkie, mocne kroki.
Cicho — tylko po chwili dozorcze psa gardło,
Szczekaniem kilkakrotném wiejskie strzegąc domy,]
Dało znak, że ktoś po wsi przeszedł nieznajomy.

V

OBCY CZŁOWIEK.

Za wioską stała karczma. Przy karczmie trzy drogi
W różne ciągnęły strony: jedna szła ku miastu,
Druga w lewo, a trzecia pełna głogu, chwastu,
Dawno widać nie tknięta od człowieka nogi,
Do zamku pono wiodła za dawnego czasu
Rycerzów tych okolic. Dziś bujna w pokrzywy,
Przerzynając wężykiem urodzajne niwy,
W gęstwinę wchodzi leśną, i ginie wśród lasu.
Słup drewniany przy drodze, i krzyż nad mogiłą,
Oto wszystko co widzieć na rzut oka było.
Tylko gdy pies zaszczekał przeraźliwym głosem,
A na hasło wzbudzone kundle wioski całej,
Długim, przeciągłym wrzaskiem, nagle zaszczekały,
Z krzyża wrony przelękle rwały się ukosem,

I śladem drogi starój gdzieś lecąc na prawo,
Odciągały z loskotem i szumem i wrzawą;
A ze wsi jakaś postać, nie wyraźna z razu,
Coraz to prędzszym krokiem, gwałtowniejszym bieży,
I im bliżej podchodzi, tym oddycha szerzej;
Aż w końcu u starego staje drogoskazu,
I spoczywa. Tu zmiana całego obrazu :
W karczmie jakby z pod ziemi śpiew, tańce, kapela,
Słychać grzmią śmiechy, krzyki, hulanka, zabawa :
Wędrowiec okiem gniewu na około strzela
I opuścił drogoskaz — idzie bliżej — stawa :
« Oni się bawią — słudzy — a pan wasz majątny !
Napiętnowany pracy i rozpaczy godłem,
Na świat cały — rozkosze — wszystko obojętny.
Marzyłem. Ach okropnie duszę mą zawiodłem !
Oni się bawią — słyszę ich śpiewy, ich tańce,
A pan wasz ! panu gdyby świat rozwiódł swe krańce,
Ciasnoby jeszcze było ! Gdyby Rzym, trzy Rzymy,
Dla niego ogniem buchnął, roztoczył się w dymy,
Nudnoby jeszcze było ! — gdyby nektar boski,
Anieli w złotych czarach przynieśli mu z nieba,
Gorzkooby jeszcze było : — gdy oni — bez troski,
Mając zaledwie codzien kęs suchego chleba,
Świat w duszy ciasny jak ich codzienne potrzeby,

Szczęśliwi i spokojni! — a nam — a mnie, żeby
 Bóg się w płomiennym krzaku pokazał Mojżesza
 I morzem wszystkie świata wylały się skarby,
 Mnieby Bóg nie pocieszył — mnie jednego darby
 Żaden świata nie zajął — jak dziś nie pociesza!»

SPIEWY W KARCZMIE.

Hulajmy, hulajmy, póki w worku grosze!
 I dziewczyna, jak malina,
 Młodości po trosze — młodości po trosze.

JEDEN Z MŁODZIENCÓW.

Pisz palkę, krések nie chcę — wódki tu! półkwarty!

STARY ŻOŁNIERZ.

W marjasza? kiksa? ówika? — karty? kto chce w karty!

(Śplewa sobie.)

Héj! tam na górze
 Stoją rycerze!
 Puku, puku, w okieneczko,
 Otwórz, otwórz panienczko,
 Bo ułan jedzie!

MŁODZIENIEC.

Jakież nudy przekłete! — siedzicie jak mruki.
 Bodaj was kaduk porwał! Lepiej zbijać bruki
 Niż w takim łyc' barłogu.....

DRUGI na pół pijany.

A w jakim barłogu ?

Ej z nami nie zaczynać !

PIERWSZY.

Patrzcie — dajgo Bogu !

Zuch, frant, tego mi trzeba !

DRUGI.

Milcz ty darmojedzie !

PIERWSZY porywając się.

Co ? mnie ? ty kręciwasie, moczymordo, trzpiocie,

Ja cię gwizdać nauczę !

JEDEN ZE STARYCH.

Sąsiedzie, sąsiedzie !

Po co te swarki głupie przy naszej ochocie ?

Toć cygan się obwiesił dla dobrej kompanii.

Héj wódki ! Czyż to od nas lepsi są cygani ?

W ręce wasze !

MŁODZIK do dziewczyny.

Tam miejsce. U tamtego stołu

Przy miodu szklance sporzój siądziemy pospołu.

NAUCZYCIEL SZKÓŁKI do młazczanina.

Ależ ja wam tak mówię. Ksiądz dziś na ambonie

Nie o tém prawił; mówił o Chrystusa zgonie,

O jego śmierci za nas.

JEDEN Z MŁODZIEŻY podając szklankę i akalarzowi.

W ręce panie kumie !

NAUCZYCIEL. .

Dziękuję. Człowiek niby czasem zarozumie
Słówko jakieś, i zaraz chcę kazanie prawić.

MŁODZIK pokazując na szklankę

To mi to jest kazanie, lepiej się zabawić !

MIRSZCZANIN.

Ależ przecie jam myślał.....

NAUCZYCIEL przerywając mu.

W waszej mózgownicy

Wygląda jako w pustej odludnej dzwonnicy :
Jeśli człowiek nie przyjdzie, serca nie poruszy,
Cicho; rozkołysz serce, brzęk ciebie zagłuszy.

GOSPODARZ.

Prawdę mówi pan Józef. Co tam gadać o tém !
Mamei ja innym głowę nabitą kłopotem.
Pokupu nie ma w mieście — robotników mnóstwo,
Dzieci huk — żona krzyczy — wszyscy krzyczą chleba.
O tém to raczej myśleć i mówić potrzeba,
Jakby powiększyć zakup a zmniejszyć ubóstwo,
Niżli bajac w około co tam ksiądz zapowie :
Nad wszystko panie bracie, miłsze życie, zdrowie !

NAUCZYCIEL.

E, bo wy też znów tylko myślicie o grdyce.

MŁODZIK.

Cóż to znaczy, czy ducha nie ma już w muzyce?
Rznać od ucha! Niech skrzypek odwrotnego utnie!

JEDEN Z STARSZYCH.

Kościuszki!

DRUGI.

Dąbrowskiego!

WSZYSCY.

Kościuszki! Héj zgoda,

Tylko żwawo i ostro!

— Rozmowy i klótnie

Ustały jak deszcz, kiedy zaświeci pogoda,
Albo gdy kur zapieje, złych upiorów harce.
Na jednej stronie w myślach zatopione starce,
Słuchając znanj nuty w milczeniu głębokiém,
Spoglądali na młodzież smutném, łzawém okiem.
Dalej chór śpiewał nótę — lecz w téj nócie słowo,
Tak dziwnie w ustach brzmiało młodzi śpiewającj,
Tak każdy ton był czuły, i wolny, i drżący,
Że wziąłbys hymn wesela za pieśń pogrzebową,

Albo za pieśń rozstania i zinnój rozpaczy.
Wacławowi jednemu inaczej się zdało :
Wacławowi jednemu zabrzmiała inaczej :
Bo w myślach, w duszy jego, obudziła ciało,
Ciało z letargu, wspomnień wywołała znakiem :
Uczuł że ma ojczyznę — wspomniał że Polakiem.
Tak często tonącemu w bezdennój topieli,
Rzuć z brzegu nitkę słabą rwącój się kądzieli,
On za nic jak kotwica za grunt morski chwyci :
Ale patrz ! Ledwo sięgnie, wiotkie rwą się nici.
Tak słowo w dobrój ludziom powiedziane chwili,
Jak trąba archanioła, stworzy ich czém byli.
« Ojczyzna ! — krzyknął Wacław, o dzięki wam, dzięki,
Za znak życia nowego ! Póki stanie ręki,
Ręka do niój należy. Póki myśli stanie,
Myśli jej niechaj będą ! — Zabłysło zaranie
Światel nowych — Bóg w nowój zabłysnął postaci !
Nie w księgach Go wynaleźć, On w żywocie braci
Mieszka, jak w swym kościele, jak w arce przymierza !
Niebo rodzinne — oto świątyń jego wieża :
Ziemia rodzinna — oto, budowa kościoła ;
A w piersiach tron jest Jego ! W piersiach głos anioła
Postyszałem — uczulem — rozumiem cię Boże !
Chcesz ofiar ? ja mój żywot w ofierze położę,

Przyszły i terazniejszy! Chcę jak lud na puszczy
Łaknąć byle ojczyźnie tém dopomódz można :
Każda myśl moja, będzie jako hymn pobożna ;
Język mój, ustom słowa samój czei poduszcy ;
W modłach noce przepłaczę, dni przemęcę w trudzie,
Tylko niech kraj mój wolnym—wolni będą ludzie ! »

Tak Wacław rzekł ze łzami i padł na kolana.
Lecz i śpiew nagle ustał. Czyby okna ściana
Mowę jego w głąb wniosła ? — i słuchacz ciekawy
Chciał śledzić jego myśli i mowy i sprawy ?
Wacław z obawą, trwogą, porwał się z pośpiechem.
Inaczej przecież było. Placz się mija z śmiechem
Na téj ziemi, jak orszak weselny z pogrzebem,
Albo słońca blask czysty z zachmurzoném niebem.
W karczmie, kędy przed chwilą zadumani wszyscy
Śpiewając piosnkę dawną płaczu byli bliscy,
Zapomniano o smutku, śmiano się z kolei :
Bo jakiś nieznajomy, krzepki, rzeźwy, młody,
Wszedłszy nagle do karczmy, zażądał gospody,
I zdumionym młokosom plóttł smalone duby.
To w dowcipnym słów zwrocie wspomniął o nadziei,
To śmiał się z zbytniej starcom właściwój rachuby,

I przepijał niezgorzėj do gromady całej.
 Z ubioru zdał się Polak — z wzrostu nie był mały.
 Wytartą miał bekieszę, pas u niėj wytarty,
 Przecież śmiech wiecznie prawie do twarzy przyrosły.
 Oczy hystre — włos rudy — nos w górę zadarty,
 Nie najlepsze świadectwo duszy jego niosły.

W ręku kij i tłomoczek na plecach zwieszony,
 Świadczyły podróżnego. Jakoż gdy pytano,
 Zkąd idzie, rzekł z uśmiechem, że dziś wyszedł rano
 Z miasta o pięć mil drogi; że rodzinne strony
 Chce zwiedzić, bo tam pieniądz ma do podniesienia;
 Właściwie z Zgorzelskiego księstwa prosto idzie (*).
 Dodał w końcu twarz niby zapuściwszy w wstydzie :
 « Co się zaś tycze mego nazwiska, imienia,
 To ukrywam; bo z resztą komuż chodzi o to.
 Kto tam teraz ciekawy jak kto się nazywa?
 Jan, Paweł — Niemiec, Polak — czyż to daje złoto?
 Imie spaśłym nie czyni. Więc lepiej z ochotą
 Wypić jeszcze! »

(Śpiewając przytłumionym głosem jak gdyby dla siebie, tak jednak żeby
 wszyscy słyszeli.)

« Gdzie dobrze urodzajna niwa,

(*) Kromer nazywa Zgorzelskim Księstwem Brandeburgią.

Pop ma litość, król z ludem przyjaźń zobopólną ;
Gdzie wszystko myśleć wolno, wszystko mówić wolno,
A sędzia ubogiemu sprawiedliwość przyzna,
Tam kraj mój— moje imie— rodzina — ojczyzna ! »
A czyż jest kraj gdzie taki? zawołali młodzi,
Dziwnie kręcąc głowami— «Czy jest?— odrzekł na to—
Zapewne kiedy człowiek nigdzie nie wychodzi,
I życie spędzi między stodołą i chatą,
Trudno żeby go znalazł, i wy nie znajdziecie.
Ale świat jest obszerny, dziwy różne w świecie !
Wódki tylko, héj wódki, cuda wam opowiem.
Tylko pijcie! Jakiémże rozpoczniemy zdrowiem ?
Dziewcząt ładnych ! nie prawda?— Niech żyją dziewczęta !
Co mają piersi pulchne i lubieżne oczy.

(Piją wszyscy powtarzając zdrowia.)

Drugie zdrowie młodzieży, młodzieży ochoczej !
Lepszy młodzik pijany, niż osoba święta.
Niech żyje jak przystoi !

(Piją.)

Héj — na trzecie wódki !
Wesołości i śmiechom ! — Niech przepadną smutki.
Więc śpiewać !— kto zaśpiewa?— ha— pieśń na myśl wpada,
Słuchajcie tylko pilnie ! » To rzekłszy usiada,
A cała koło niego kupi się gromada :

Na pewnego króla dworze (*)

Żyła wielka, piękna pchła

I kąsała, była zła.

A cóż pyszczkiem pchła nie może!

Król piękności każdej zuawca,

Kochał ją jak dziecko swe,

Dla tego że dobrze ssie,

Toć dla niej zawołał krawca.

Krawcze, rzecze, weź mu miarę,

Paniczowi zrobisz frak,

I wykroisz sukno tak

Żeby miał i spodni parę.

Pchła się stroi w axamity,

Na ramieniu duży pęk,

Orderowych wieszka wstęg,

Na piersiach ma krzyż wyszyty.

A że i wykręty w głowie,

Skoczne nogi koło łba,

Pieczęć państwa, władzę ma.

Pchlami wszyscy są panowie.

(*) Z Goethego.

Była ich ogromna mszyca,
Cały był kęsany dwór,
Król, królowa, dwoje cór,
Babka, ciotka, siostrzenica.

I nikt nie mógł się podrapać,
Bo nie drapał pan i król.
Co za męka, co za ból,
Kiedy pchły nie można złapać.

WSZYSCY śmiejąc się na głos.

Ha, ha, ha, to komedia!

MIESZCZANIN poważnie do nieznanego.

Ale gdzież podobna
Ażeby pchła tak mała, gadzina tak drobna,
Miała mieć frak i spodnie, pęk orderów przytém,
Toćby trzeba ażeby frak był dla niej szytym
Chyba łapkami mrówki, i tkanką pajęczą.
Dla tego niech mi wszyscy ludzie za to ręczą,
Ja wierzyć w to nie mogę.

WIELU.

Jaki on też głupi!

OBCY CZŁOWIEK.

Dobrze mówi. Któż kota w worze ślepo kupi?

Na tym świecie wąpienie do mądrości drogą.
 Lecz do rzeczy. Widziałeś drzewa liść co wiewa?
 Nie prawda że ma szewki? a krawiec zkąd?—z drzewa.
 Gdy więc drzewo tak szyje, cóż ludzie nie mogą!

JEDEN Z MŁODZIEŻY do drugiego.

A to mu jak kotowi utarł z pyska mleko.

DRUGI.

Widać że się gdzieś w świecie wycierał daleko.

OBCY CZŁOWIEK (wclął dalej mówiąc.)

Wszak dziś już po powietrzu latają nad ptaki,
 Owym dymami z kądziś worem wydmuchanym;
 Mierzą słońce i księżyc; wiedzą gwiazd przychody,
 I jeszcze czas nadejdzie, dziwaczny czas taki,
 W którym człowiek nie kontent że jest ziemi panem,
 Węborkiem czerpać zechce w chmurach czystej wody.

(Wszyscy milczą. — Nieznajomy znowu po jakimś czasie dalej mówi.)

Wy prawda, biedni ludzie; wy nie wiecie o-tém.
 Dla panów waszych z czoła pracujecie potem,
 Dla drugich; a ci drudzy! — Wściekłość mnie pożera!
 Każdy z nich próżniak, skąpiec, obłudnik, kostera,
 Robi z wami jak z młynkiem, co mu się podoba.
 Ależ prawda! was święta uczyła osoba,
 Choć świętość więcej grzeszy niż wy wszyscy razem,

Że panów słuchać—wiecznym religii rozkazem.....

Że.....

JEDEN z młodych przerywając.

Co tam gadać o tém — nie zmienić wszelako.

Lepiej więc Waszmość powieść kredensuj nam jaką!

WIELU.

Powieść! coś o pchle znowu!

KILKU.

Nuże — wódki żwawo!

OBCY CZŁOWIEK.

Nie mogę — pilno mi jest — zbyt późna dziś pora;

Gdzie jutro stanę ledwie — miałem już być wczora,

A i jutro uciecze z dzisiejszą zabawą.

No! — z resztą — jedną jeszcze — ale pod warunkiem,

Że potem ni pytaniem, ni mocą, ni trunkiem,

Niczém mnie nie wstrzymacie.

KILKU.

Spiesznie mu za katy!

OBCY CZŁOWIEK.

Przed stu, dwustu może laty,

Kościelne, wychudłe szczury,

Widząc co dzień msze — ornaty,

Wszystkie razem wyszły z dziury,

Bo im bardzo w gust przypadło,

Naprzód białe prześcieradło,
Dalej pasek, a za paskiem,
Ornat ze złotym obrazkiem.
Lecz krom tego, co nie lada,
To co ksiądz codziennie zjada.

Więc na radzie jeden rzecz :
Do pomysłu dobra pora:
Proboszcz gdzieś wyjechał wczora,
A zwodne zmysły człowiecze.
Jutro więc niech na dzwonnicy,
Kilku w spiz wali ogonem ;
Ręczę, wszyscy katolicy
Na mszę przyjdą za tym dzwonem,
A ja w ornat się ubiorę,
I zaśpiewam miserere.

Jak uradził, tak się stało :
By czém przykryć szczurze ciało,
Strzygli ornat przez noc całą.
Gdy się na niebie dzień bieli,
Był to właśnie dzień niedzieli,
Kolo siódmój zadzwoniono.
Cóż ? — zaledwie w dzwon urznięto,

Katolików na mszę świętą,
Jedno, drugie wali grono.

Szczur na ołtarz wlaź w galganie,
Inni grali na organie.

Próżna praca -- modlitw, płaczu,
I krzákania, dzieci krzyku,
Było wprawdzie aż bez liku,
Lecz któż myślił o kołaczu?
Próżno szczurek okiem strzyże,
Rychło która pani matka
Przyniesie choć kęs oplatka;
W ręku same książki, krzyże.
Więc z ołtarza prędkim szustém —
A i kościół stanął pustym.

Śród odludnej, chudej fary,
Szczury więc na radę znowu.
Wtenczas ojciec siwy, stary,
Wszystkie były jego chowu,
Tak im rzecze : głodni, chudzi,
Cóż nam zwodzić ludzi potem ;
Glupstwo prawda w sercu ludzi,
Ale w myślach człowiek kotem,

Nuż nas zdybie! — lepiej zatém
Będąc szczurem, przestać na tém!

Wacław z całej powieści nie stracił sylaby,
Odgadł ją — wyrozumiał — i zdradę ocenił;
Chciał wołać — lecz głos jego przesilony, słaby,
Skonał w ustach. Wzniósł rękę — ręka mdła upadła;
Spojrzał — źreniczne oba ciemnią się zwierciadła,
A twarz jego żar jakiś rozpalał, rumienił;
To znowu jak z zapалу ostudzona bladła,
I Wacław był podobnym do owych zbrodniarzy,
Którym sędzia gdy wyrok z dziejów czyta zbrodni,
Czucie winy, występku, jako strach przechodni,
Siły zniszczy — wzrok stępi — i siądzie na twarzy.
Słuch jeden zimny został — słuch — ów świadek skryty
Tysiaca grzesznych myśli — jak Tantal niesyty,
Jako skąpiec łakomy, bystry jak sumnienie,
Podobny do Charona co przewozi cienie,
Na powodzi zdań własnych myśli żeglarz innych,
Sto razy potępionych, raz może niewinnych, —
On umie wszak i zdania dla wiecznej katuszy
Podobieństwem złowioném, śpiewem, słowem, rysem,
Wpędzać w duszę, lub raczej wywoływać z duszy,

Jak mistrz z księgi gdy karty obciążył zapisem; —
On śpiew przejął — już ucichł — drzwi skrzyły w zawiasie,
I szmer jakiś — i większy — coraz większy — głosy!
Byli to starcy którzy krzyczeli po czasie
Językiem prawdy wiecznej : « Nieszczęsne młokosy!
Miecz boskiej zemsty na was z nieba ciężko spada;
Słuchacie głosów kłamstwa pożądliwem uchem;
Opętani jesteście nieczystości duchem, —
Poprawcie się bo biada, stokroć na was biada ! »
Ledwie zmilkli, ktoś przeszedł jak kłęb liści z szumem,
I w kształt ognia, co z dymem wlecze się po ziemi,
Zgniłym pniem lub drewnami wzbudzony mokremi,
Schylona jakaś długa przeciągła się postać.
« Stój nędzny ! krzyknął Wacław, jakby wspomnień tłumem
Do życia przywołany — « Stój krzyknął raz drugi,
Choćbyś był i szatanem, musisz kroku dostać!
Kto ci dał moc kupczenia twym nędznym rozumem?
Trujesz ludzi pod barwą zabawy, usługi;
Płamisz im czystość duszy, obudzając chęci,
Których nigdy dopędzić, uścić nie mogą.
Jak złodziej drzesz się w serca — wrywasz z pamięci
Wszystko co świętém mieli — świętość depcesz nogą!
Szatanie czy człowieku ! jeśliś twarz człowieka
Oblekł, by zbrodnie szczepić, jeśli... » Tu powieka

Odsłoniła źrenicę — nie było nikogo.
Wiatr tylko gałęź drzewa przeginał z daleka,
Słup głuchawo przy drodze skrzypił drogoskazu,
A cień do wytartego podobny obrazu,
Mknął się nagle przed okiem i przepadł gdzieś drogą.
Lecz wrażenie zostało — bo kiedy po chwili
Zamyślony do domu krok Waclaw obrócił,
Pozór go jeszcze w myślach uwodzi i myli,
Stawał często i słuchał, jakby pieśń kto nucił.

VI

ODMIANA.

Młodym był Wacław jeszcze; — ledwie rok dwudziesty
I wiosen może kilka liczył w paśmie życia.
Młody i smutny ciągle; — od ludzi pożycia
Jak od węża uciekał — z téj przyczyny ? nie z téj ?
Różnie twierdzą, bo trudna duszy jest zagadka.
Mówią tylko że kiedyś umarła mu matka,
Ale ją ledwie zaznać mogło chłopczę młode.
Przyjaciół nie miał żadnych, i kochanki żadnej.
Wacław choć sam z postaci przyjemny i ładny,
Zimném okiem spoglądał na dziewcząt urodę.
Z nikim serca swojego, czucia nie podzielał,
I nigdy myśli swoich nie zwierzał innemu;
Gdy czasem z śmielszych który zapytał się, czemu
Tak samotny — pytanie dowcipem rozstrzelał,
Albo gorzko się rozśmiał — milcząc po dawnemu.

Jedna mu przecież droższa istota nad inne,
Siostra jego Helena : twarz — oczy niewinne,
Często go zająć mogły — westchnął nie raz przy niej;
Czulój rękę uściskał, łzę uronił w oku.
Tak Pan Bóg się zakocha w ołtarzu świątyni,
Tak potok kroplę ściśnie, tak w szumnym potoku
Kropla rosy uwieźnie !

Kiedy czasami błędząc w odludném ustroniu,
Albo na rozhukanym, na zdziczonym koniu,
Jakby ciała sileniém, smutek cieńczał w sile,
Pędził chciwie za czémsiś, z wiatrem się uganiał,
I cios jakiś wymierzał i piersi odsłaniał :
Gdy powrócił — przy siostrze wypoczął na chwilę;
Bładość nikła mu z twarzy — pierś mu wolniej biła,
Dusza jeszcze czasami o szczęściu zaśniła.

Co knuje w samotności ? naproźnobyś badał.
Powiadają, że jakieś stare miewa księgi,
Z których moc dziwną czerpie — zaklęcia — przysięgi :
Słyszeli go jak nieraz, sam ze sobą gadał,
Pozawieszał na siebie różnofarbne wstęgi,

I znów książki brał do rąk, i karty rozkładał.
Druga wieść przebąkuje o smutku, rozpaczy;
Inna mówi — świadkowie zazwyczaj niezgodni —
Że nie duchy zwołuje, lecz przekleństwa zbrodni,
Jakiż? czemu? — nie wiedzieć co to wszystko znaczy,

Uływały tygodnie, miesiące i lata —
Wacław jak dawniej dziwny. Gruchnęły posłuchy
Że choruje — a nawet język jakiś głuchy
Więcej dodał — że jasna jego zmysłów strata;
Że nie po ziemi chodzi, po niebiosach lata.
Jedni radzą spokojność, drudzy miękkie puchy;
Inni znowu rozrywkę dla myśli otuchy,
A biedna siostra płacze — przyjaciela — brata?

Lecz słuchajcie! odmiana wszystkiemu zagraża,
Odmiana choć nie zmiana — bo człowiek nie zmienia
Głosu wiecznego — prawdy — głosu przeznaczenia!
Tak się roślina każda na wiosnę przetwarza,
Tak potok zmienia wody, a przecież potokiem,
Tak upływa dzień za dniem, ginie rok za rokiem,
A czas jak świat odwieczny!

Wacław przestał być dzikim — nawet i oszczerce
Jego rozumu, widzą odmianę w Wacławie;
Dawniej żył tylko we snach, dziś żyje na jawie.
Każdy chwali poprawę, nikt nie spojrział w serce!
« Podajcie kielich rozkosz młodzi przyjaciele,
Wacław spełni go z nami! Dawniej — ale na co
Przypominać co było? Niech myśli i dумы
W nabożnych pieśniach zabrzmia w parafii kościele;
Niech starzy głowę żują, gdy siły utracą,
Nam młodym nie potrzebne książkowe rozумы.
My — kiedy tryskać zacznie płyn czystego wina,
Kiedy w gronie przyjaciół pieśń zabrmi dokolna,
Kiedy wdzięków użyczy lubieżna dziewczyna,
Dusza podobna wiatrom, swobodna i wolna. »
Takie i tym podobne dziecinne łakocie
Rzucali Wacławowi młodzieńcy radośni;
Tymczasem wieść gruchnęła — głośniej, coraz głośniej,
O jego nagłej zmianie — o zmysłów powrocie;
Ztąd mnogie zapraszania, powinszowań krocie.
Wacław wszystkie przyjmował, zimno lecz uprzejmie,
Jak zręczny wódz przyjmuje wroga przy rozejmie
Zanim skutków pewniejszy, nowe bitwy zacznie.
Wesołym nie był przecież — chociaż go zabawa
Na pozór zająć może — weseli — rozśmieszysz.

Smutek się mocny ściera jako rdza — nieznacznie,
Choć żelazo trzesz, plama długo świeci krwawa!
Często więc wśród biesiady i krzyczącej rzeszy
On jakby obcy wszystkim w milczenie zapadnie,
I że duma o czemś dostrzedz z oka snadnie.
Zrywa się postrzeżony — coś mówić zaczyna;
Uśmiecha się zmieszany — sięga do kielicha,
Nieprzytomnie nalewa w kielich pełno wina;
Spelnia go nieprzytomnie, lub znowu odpycha,
I patrzy wzrokiem dzikim. Czasem w jego stroju
Coś widać dziwaczego; czasem w jego mowie
Jakby wszystkie pięć zmysłów razem nie miał w głowie!
Obląkanie wyraźne. Na środku pokoju
Stanie i patrzy — milczy — nie nie odpowiada,
A przytém oko smutne, twarz jak dawniej blada.

Ale dla czegoż Wacław odmienił swe życie?
Czemu, jeżeli myśli niezgodne ze światem,
Własnego serca zostać zaprzysięgłym katem?
Ciemne wieści, i jakieś mistyczne zakrycie
Na wszystkie kroki jego zwieszono szeroko.
Czy może chciał badawcze w świat zatopić oko,
Aby lepiej zdrożności i błędy ocenić?

Szuka ludzi, jak dawniej uciekał od ludzi ;
Najmniejsze słówko często ciekawość mu wzbudzi ,
Ale zimną ciekawość. Dawniej bez powodu
Zwykł się był gniewać, lica wybladłe płomienić;
Dziś serce i myśl jego podobna do lodu,
Zwierciedli wszystko, aleć i wszystko odbija !
Jedno go wzruszyć może : jeśli mowa czyja
Wspomni czasem o kraju.

Jak rosa spada słońca wyplakana okiem
I ta co we mgle ćmiła, ożywia naturę,
Albo lotna w tumanach rozklebi się w górę,
Aby mdle części z złotym połączyć obłokiem,
Tak myśl jego na kraju, na wolności wzmiankę
Nowém życiem oddycha — oko się rozzarzy,
Usta drgają od czucia — mieni się na twarzy.
Powiedziałbyś że śmierć mu zabrała kochankę
I że z nią w niebie mówi, anioł odpowiada.
Czasem w gronie znajomych dawną pieśń zanuci,
Albo przodków waleczne przypomina dzieje;
Lecz gdy skończy, zaledwie wargą pieśń wyleje,
Znów się nagle zasmuci, w milczenie zapada,
Z nim wszyscy — jako ludzie z nadziei wyzuci,
Gdy serce czasem stworzy, myśl strzaska nadzieje !

Szczęśliwy ! ty przynajmniej miałeś komu śpiewać !
Moich uczuć i pieśni, nikt ze mną nie dzieli;
Ty masz przed kim zapłakać, ulgi się spodziewać,
Ja daleki od moich — nie mam przyjacieli !

Nie mam rady z kąd czerpnąć — trudno wyżyć z niemi;
Jeśli łza czasem spłynie, upływa samotnie;
Szczęśliwy kto świat zwiedził, szczęśliwszy stokrotnie
Kto nigdy nie opuścił rodzicielskiej ziemi.

Sam jeden pośród tylu, wicherzę się po świecie,
Może nawet powieki obca dłoń mi stuli.
O bracia ! czém kraj własny, jeśli nie czujecie,
Opuście go na chwilę, a będziecie czuli.

Ileż razy myśl moja w wasze grono leci,
I goni mile duszy, przeszłości obrazy,
I do śnieżystych, zimnych, ojczystych zamieci
Wzdycha z raju natury ach po tysiąc razy !

U nas ziemia zmrożona, ale serce w wiosnie;
U nas mgła często niebo zachmurzone trzyma ;
Ale przyjaźń ma błękit — ścisną dłoń radośnie,
A tutaj słońce grzeje, ale w sercu zima.

Gdy o kraju przemówię, żaden nie rozumie;
Gdy westchnę, ledwie echo westchnienie powtórzy;
Sam jeden ginę w obcym, nieznanym mi tłumie,
Jak listek wiatrem zdjęty od wiosennej róży.

Pierś tylko jeszcze kiedyś czucie z myślą żeni,
I co dusza w ukryciu stworzy i wymyśli,
Łaknącém kradnie uchem, w słabą pieśń zamieni,
Albo służebna ręka w martwy papier kryśli.

Życie nasze upływa jako chwile gończe,
Które ledwie zabłysną, znikają na wieki.
Kto wie, czy nie zapadną i moje powieki,
Albo wasza nie skona, nim śpiewu dokończę!

Obcy, nieznanani ludzie spotwarzą me chęci,
Zelżą przyjaźni tylko poświęcony datek,
Rzucą wzdychania czule w otchłań niepamięci,
I zniknę, jako we mgle konający kwiatek!

« Precz, precz z mego oblicza — co chcecie odemnie?
Zimny księżu, dla czego zbliżasz się do łóżka?
Chcesz mi myśli wysączyć, i serca tajemnie?
Mylisz się — to nie twoja okoliczna duszka. —

Cudzoziemiec umiera — uciekaj od niego!
Ty jeszcze stoisz — patrzysz — czekasz niby czego —
Kto jest ten drugi z tobą? — nieznane mi twarze —
Wasze oczy ciekawe śledzą na zegarze
Każdy popęd skazówki, jak gwiazdy obrotów;
Dla czegoś tak utopił we mnie wzrok ponury?
Rękę twoją podnosisz, wskazujesz do góry.
Ja śmierci się nie boję — umrzeć jestem gotów!
Otwierasz puszkę księżę? — czy lekarskie zioła?
Mnie Bóg nie chciał dopomódz, czemuż kwiatek polny!
Schowaj pokarm dla ciała co pokarmu woła;
Schowaj trunek, dla duszy nędznej, nieudolnej.
Kto mógł żyć pośród burzy nieugięcie wolny,
Ten bez cudzej pomocy i umierać zdoła!
Światło błysło — ha! noc już — myśli krążą ciemno;
Zimno mi — twardo w puchach i miękkiej bieliznie;
Słyszę głosy — anioły śpiewają nademną;
Ta myśl — wam, przyjaciele — rodacy — ojczyźnie! »

Lata przejdą niejedne i kamień grobowca
Mech okryje, i zielskiem mogiła porośnie;
Zamilkną wszystkie dawne o życiu krajowca
W kraju własnym — w rodzinie — nowiny donośne.

Nie widać go, nie widać — nawet nic nie pisze —
Jeden westchnie, zapłacze może dusza czuła;
Czasem jeszcze ktoś wspomni — i znów ciągle cisze —
Grób ci drugi młodzieńcze pamięć już usuła.
Wieść jedna tylko w dalekiej krainie,
Jak strumyka szmer zimny, w ustach zimnych płynie,
Że kiedyś — przybył zdala — samotny młodzieniec —
Pokażą gdzie spoczywa — i śmiertelny wieniec
W kościele wisi dotąd u wstążek zawiązki.
Tam na wschodzie grób jego, i ta na wschód rzeka —
Mawiał on że daleko, gdzieś pędem ucieka;
I dla tego w nią wrzucał zerwane gałązki,
I z łzami na nie patrzył — i tam spoczął przy niej.
Na twoich brzegach może wyrośnie sitowie,
I z liścia tego wianek kochanka uczyni;
Rybka może nie jedna spląta się w połowie,
Która łzę wędrownika w obcym kraju piła.
Gdzie serce — tam przeczucia niezgadnięta siła!
Gdy listeczek sitowia w rączce białej wiewnie,
Wszyscy zapłaczą rzewnie;
Gdy rybka uwięziona w mętnej wodzie pluśnie,
I kropelka na siostry czule lica pryśnie,
Jéj myśl młoda w marzeniu o przeszłości uśnie
I na startym obrazie pamięci zawiśnie.

W jego strony popłyn rzeko,
Tam daleko — tam daleko!

Nielitościwy, łzami wykarmiony duchu!
Więc i po śmierci jeszcze pragniesz łzy za datek?
Łzami ma być żywiony grobu twego kwiatek?
Wzdychaniami twa pamięć! i cóż masz z pamięci?
Już ci się kark twój pyszny dzisiaj nie łabęci;
Lica zawrzały zsiadłej krwi twojej sinością;
Ręka się już nie ruszy, by wydać rozkazy.
Jedna pamięć, podobna do błędnej oazy,
Będzie pływać gdzie wszystko znikomem — nicością!
Może zawsze? niestety nazbyt, nazbyt krótko!
Gdy kochanka — przyjaciel — jak ty żyć przestaną,
Co będzie twych przypomnień u innych pobudką?
Jak pył z wiatrem, z ich śmiercią pamięć twoja zwianą
Z ich śmiercią? — Nie — za życia zapomną cię jeszcze,
Za miesiąc — rok najdalej — skoro od ich szyi
Odczepisz się — alboż to pamięć w mocy czyjś?
Ta ręka, którą dzisiaj w ręku moim pieścę,
Te usta, które wierność przysięgły ci nieraz,
Wiesz czém były — czém dzisiaj — najlepiej czém teraz —
Ależ o jutro tylko nie pytaj się próżno,
Świat postaci ma różne — ludzie duszę różną.

Więc żartować z pamiątek — z owych mar i cieni,
Gdy umrę, nie chcę modlitw i ciężkich kamieni.
Mniejsza że obcy prochów moich nie odgadnie,
Niech każda pamięć o mnie wieczyście przepadnie;
Niech się wiatr z trupem bawi — a drapieżne zwierze
Zbierając rozniesione po przestrzeni szczątki,
Niech ostatnie istnienie, ostatnie pamiątki
Spokojności grobowej, paszczką odbierze !!

CZĘŚĆ DRUGA.

Was machst du an der Welt — sie ist schon gemacht!
Der Herr der Schöpfung hat alles bedacht!
Dein Loos ist gefallen — verfolge die Weise
Dein Weg ist begonnen — vollende die Reise
Gottes.



I

BAL W ZAMKU.

(STOLICA.)

Z zamku wiewa chorągiew królewskiej bytności.
Cesarz na przywitanie, przyjazd cesarzowej,
Daje ucztę wspaniałą, wielki bal maskowy :
Na bal zewsząd ciekawych tłumy jadą gości.
W podwórze oświecone, jak błędne komety
Wpada tysiąc powozów — jeden drugi goni,
Przytém krzyk, kół warczenie, dzikie rżenie koni,
Dzwon odwachu, żołnierze, panowie, kobiety,
Francuzi i Polacy, Anglicy, Moskale, —
Zgiełk powszechny jakoby w rzymskim karnawale.
Schody kobiercem słane prowadzą do sali;
Dwudziestu czterech laufrów z pochodniami w ręku
Wiewają ogniem u stop — im kto idzie dalej
Tém ich więcej—aż w końcu drzwi otworzą w szczękę,
I sześciu razem imię gościa zawołali.

Głos i gość wleciał nagle i każdy przepada:
Tak wrzask mocny, tak liczną balu maskarada.

Wszystko jak w czarodziejskiej suwa się latarni.
Maski w różnych kolorach, i dziwacznych strojach,
Biali — zieloni — żółci — czerwoni i czarni,
Przebrani w wieki różne chodzą po pokojach.
Ten w żelazo okuty z oszczepem u boku
Waży się w śmiałym, mocnym, niezachwianym kroku;
Tuż przy nim Pers ubrany w kaszmiry bogate;
Tamten znów oblokł dworu francuzkiego szatę;
Lub trubadur zaśpiewa słuchać ballad chcącym
O kochanku nieszczęsnym, o kochance drogiej :
Przy śmiertelnych boginie, bogi i półbogi,
I oko widza błądzi między mask tysiącem
Jako wśród elizejskich różnorodnych cieni,
Którzy jakkolwiek różni — do nieba stworzeni.
Tém niebem, cesarz dzisiaj — on gwiazdą Syonu,
Jemu chcą służyć wiernie do samego zgonu.

Wtém zagrzmiała muzyka, trzask drzwi, cesarz wchodzi.
Jak w kościele gdy boskie podnaszają ciało,
Tak zmilkli wszyscy razem — tak się cicho stało.

On jeden był bez maski ; bo jemu się godzi
Pokazywać wszém w obec, i twarz swą i czyny.
Cały kraj prawa swoje czyta z pańskiej miny.
Twarz jego państw obszernych żywym barometrem:
Gdy brwi zmarszczy—Jowisza brwią pioruny budzi,
I jeśli Piotr był wielkim, on krok ma nad Piotrem;
Tamten brody ciął ludzkie — ten głowy tnie ludzi!
Dziś łaskawy — za rękę wiedzie cesarżową —
Uśmiechnął się — bal cały odetchnął na nowo!
Dwóch tylko ludzi do stóp pana się nie tłoczy.
Obadwa w czarnych maskach, w płaszczu zawieszonym,
Widocznie pogardzają wielkością i tronem,
Bo ku sobie ich ciągle obrócone oczy,
I coś mówią pocichu; żyć muszą w przyjaźni,
Kiedy na społeczeństwo — zimni — nieuważni.
Czasem nagle zamilkną — znak im pewnie dano —
Z pośpiechem wstają nagle, i znowu przystaną,
I znów coś jeden mówi — « Siedem lat w więzieniu! »
« Tak jest — któż ujdzie kiedy swemu przeznaczeniu!
Ale widzisz ten przepych — tę dumę — tę postać, —
Widziałeś wojska jego, którym rozkazuje?
Patrz, na te piersi biedne — on światu panuje!
A z tej ducha przepaści nie mógł nic wydostać!
Czuje całą moc w sobie — i wyższość nad niemi!

Gdybyś wiedział com cierpiał... Śród wilgotnej ściany
Ściemnionego więzienia, okuty w kajdany,
Leżałem lat trzy blisko. Łóżem, kawał ziemi;
Strawą chleb, woda była — i nic nie wydałem!
Przenieśli mnie gdzieindziej. Pokój był obszerny,
Ale w pokoju ciągle, noc i dzień, oddzwierny
I sześciu drabów stało; nocą nie sypiałem,
Bo sześć świec zapalonych wnieśli co dnia z mrokiem,
I jak stado drapieżne za umarłym ciałem,
Tak oczy drabów, światła, za mém biegły okiem:
I tak lat dwa przeżyłem i nic nie wydałem.
Później znów w loch zamknięto; nie widziałem słońca,
Ani świec, ani ludzi — w ciemności zamknięto.
Dni okropne, bez światła zdały się bez końca.
Sznurem mi chleba kawał i wodę zsyłano.
W nocym tęsknił do rana — do nocy znów rano;
Bo gdym usnął noc była. Później w jakieś święto —
To święto być musiało — ktoś nagle wszedł do mnie
Ze światłem w rękę słabém. Zrazu mówił skromnie
I prosił o wydanie, i płakał nademną;
Lecz gdym milczał, zakrzyknął z gniewem i zapalem
Żem wiecznie potępiony — i znów było ciemno.
I wszyscy mnie odeszli - i nic nie wydałem! »
Skończył. Słuchacz już w własnym dumaniu zagrzechły,

Widać myślom się zwierzał — i myśl go uniosła
Do reszty stargać duszy narzucone węzły.
Wypłynąć chciał na ocean wolności, swobody;
Wznieść maszt większy, uderzyć z całą siłą w wiosła,
I bujać, jak po niebie buja orzeł młody.
Stały mu w pamięci ludzie i narody;
Gdyby on je mógł zbawić! — Tak myśląc wznosił ręce,
I kiedy głowę podniósł chociaż w czarnej szacie,
Jemu się należały godności książęce,
On w duszy — na wolności zasiadł majestacie!
Obudził się nakoniec: «kończ, kończ, rzekł z pośpiechem,
Twoją powieść — jam prawda — bo wrzawa i tańce, —
Kiedyś wyszedł?...» «Przed rokiem uznany niewinnym.»
«I odtąd?» — «Myślę równo, nie liczę różańce.
Słuchaj, nieczynność bracie jest największym grzechem;
I tobie, tak jest, tobie potrzeba być czynnym.
Dziś jeszcze — chcesz ze mną?... godzina już bliska
Naszych schadzek, brat brata z przyjaźnią uściska.
Rękę twoją!» — «Tę daję» — Muzyka balowa
Zagłuszyła ostatnie nieznanomych słowa.
I znikli — tak dwa listki lżejsze do polotu,
Z tysiąca które drzewo otrząśnie w jesieni,
Lada wiatrem powiane, rwą się bez powrotu,
I popłyną tam gdzie je spólny wiatr pierścieni.

II

ZWIĄZEK.

Śniegiem ziemia pokryta, noc jasna i mroźna.
Z szafiru niebios gwiazdy jakby pełną dłonią
Wysypane brylanty w szatę nocy wbito;
Roziskrzzone świeciły — pora była późna —
Śnieg błyszczał — w spiz zegary czasami zadzwonią;
Ulice puste, niby z wód wyschłe koryto.
Gdzieniegdzie tylko słyhać chód krokiem mierzonym:
To szyldwach, z bronią w ręku głucho się przechadza;
Albo gdy rond nadejdzie, lub policyi władza,
Do przeglądu żołnierzy, woła głośnym dzwonem.
Czarno sterczały domy — jak w księżycu blasku
Pompejum wygrzebane z popiołu i piasku.

W jednym tylko coś miga na bocznej ulicy;
Słychać szmer jakiś w górze, i światło od świecy
Łuną z okna wygląda choć je w głąb wciśniono,
Choć okno czarną jakąś opięto zasłoną.
Tam idą dwaj nieznani — przyszli — patrzą wszędzie —
Cicho — nikt ich nie zoczył — więc jeden w dłoń kłaśnie
«Hasło?» — ktoś pyta z sieni — «Jest, było i będzie» —
«Dobrze» — drzwi się otwały — «czy są?» — «wszyscy właśnie.
Tak mówiąc znowu mocne zatrasnął podwoje,
Ręką wskazał — i w górne wiedzie ich pokoje.

W niezamieszkałej dawno sali wielkiej, pustej,
Zwykły stół był na środku — krzyż czarny na stole,
A przy nim osadzeni związkowi w półkole.
Milczenie głucho w sali — trwożliwemi usty
Nikt nie śmiał ruszyć wprzód aż doszedł z pewnością
Czy sami bracia tylko między liczną gością;
Bo dzisiaj wielkie rzeczy mają wnieść na radę,
Koniec mąk — wolność kraju — ciemierzcom zagładę!
Tak więc nim do słów przyszło, każdy wzrok badacza
Podnosi na przytomnych i wkoło zatacza;
Każdy chciwy znać drugich, ich myślenia sposób,
Ściga oczy, i okiem maca duszę osób.

Wtém drzwi się otworzyły. Wszyscy wzrok podnieśli
Ku drzwiom. Drzwi znów zamknięto : dwaj nieznani weszli;
Maski czarne obydwom taily oblicza.

« Kto jesteście? — najstarszy zawołał śród grona. —

« Ja — jeden z dwóch odrzeczę — między was się liczę.

« Ten chce być policzony. » — Tu twarz odsłoniła
Stwierdziła mówcy słowo — skłoniono się nisko.

« Bracia! — rzekł dalej przybysz — on krew i pieniądze
Niesie w darze ojczyźnie, dar ten godnym sądzę.

Wacław jest imię jego — znajome nazwisko.

Bracia, dajcie mu w związku narad wolne krzesło,
Niech ja pierwszy uściskiem bratnim go przywitam. »

Gdy skończył, wiele głosów o przyjęcie wniosło. —

« Dobrze więc, rzekł najstarszy, wprzód jednak przeczytam
Rotę przysięgi naszej którą wykonano;

Młodzieńcze — ot znak krzyża — zegnij tve kolano,

Rękę podnieś do góry i słowo po słowie

Powtarzać za mną będziesz w następnej osnowie : »

Umilkł—wziął księgę — wszyscy powstali za stołem.

« Przed rzeczą nieznaną, bić nie umiem czołem;

W kościele jednym tylko gnę kolano moje.

Przeczytaj a obaczę » — tak Wacław powoli,

Pewnym głosem i z śmiałą odrzeknął postacią. —
Ta mowa niespodziana, jego czarne stroje
I twarz — wszystko zdziwiło. Choć więc między bracią,
O wyjątkach zdań mnóstwo, każdy dziś zezwoli. —
Przeczytano wprzód rotę związku z czarnej księgi,
I Wacław z chęcią słowa powtórzył przysięgi.

Po skończonym obrzędzie do rad przystąpiono :
W bliższe, węższe półkole skupiło się grono,
A najstarszy wskazując ręką na swe łono,
Wzniosłszy do góry oczy, tak mówić zaczyna :
« Patzcie bracia na ten włos siedemdziesiątletni,
Starzec mam życia mało ; lecz jeśli godzina
Nie wybiła mi dotąd, chwilę pożyć wolno :
Chciałbym dłoń moją jeszcze podnieść nieudolną
Na obronę praw naszych — a wtenczas mi zetnij
Głowę, Boże ; a wtenczas niech olśnią te oczy,
Niech sam wróg krew niewinną po ziemi rozbroczy,
Ja będę najszczęśliwszy ! — Mnie prawda pacierze
Albo psalmów Dawida odświeżone żale
Bardziejby w wiek przypadły, niż mowy, zachęty ;
A przecież słowa moje dziś od Boga dzierżę.
Bóg raz jeszcze to serce roznieca w zapale :

Mówić — prawo jest moje — obowiązek święty!
 Słuchajcież tedy bracia! — Codzień z słońca wschodem
 Okropności zwiększają : pełne są więzienia
 Ofiar, niewinnych ofiar jak syn Abrahama.
 Dzieci nam zabijają — z niemi ród za rodem;
 Ojców w kajdany kują — giną pokolenia —
 Ledwie że ziemia pusta ostoi się sama!
 Prawa nasze zgwałcone jako kiedyś ludu
 Wybranego od Boga. Podłość, nicią złotą
 W tkankę ojczystej sukni, podstępem się wdziera :
 Woła lud i ja wołam wszechmocnego cudu;
 Wołam co dzień do Boga, że niewinność gniotą,
 Że lud jego, że naród — ojczyzna — umiera!
 Bóg cudów dziś nie czyni — a więc własnej sile
 Poruczeni jesteśmy : ratujmy — czas jeszcze ;
 Wkrótce zapóźno będzie — bo znaki złowieszcze
 Wróżą zło — krzywd już tyle — i ofiar już tyle...
 Ratujcie bracia moi ! »

WIELU SPISKOWYCH.

Zemsta wrogom naszym!

JEDEN Z NICH.

Lukasiński w kajdanach, Dobrogojski, inni —

DRUGI.

Tysiącni naszej ręki wołają niewinni.

TRZECI.

A więc czego się wahać — przetnijmy pałaszeni
Ten węzeł który żadne słowo nie rozprawi;
Czwarty półk jest za nami — cesarz w naszej sieci!

CZWARTY.

Jutro więc.....

PIĄTY przerywając.

Niech się słońce w zachodzie zakrwawi!
Niech dłużej niż codziennie, szkarłat zorzy świeci!

WIELU RAZEM.

Śmierć tyranom!

INNE GŁOSY.

Śmierć z hańbą!

Z GRONA JEDEN który milczał dotychczas.

Słowo — bracia moi!

Zapał was za granice słuszności uwodzi;
Bez doświadczenia majtków burza niepokoi,
Bez sternika rozumu często błądzą młodzi.

WIELU RAZEM.

Sternikiem naszych czynów — zapał nasz i serce!

POPRZEDNI.

Zapał słuszny, rozumu nie ma w poniewierce;
Więc słuchajcie rad moich — słowo i nic więcej.
Chcecie czynów — a z działań czyż pewne wypadki?

Chcecie czynów i śmiałych — a ze stutysięcy
Ledwie się jeden uda, i ten jeszcze rzadki!
Cóż tedy! — broń zachwycić — zabić — zginąć łatwo.
Ale coż po nas będzie — co z żonami, dziatwą,
Co z ojczyzną, jeżeli sprawa chybi celu?
Nas tu mało — lecz w kraju, w potomności wielu.
Tym wszystkim miecz wrazimy nieuwważną dłońią,
Tych wszystkich zabijemy niedojrzałą sprawą;
Pytam więc tych co dzisiaj za czynami gonią,
Kto im nadał zabijać, i mordować prawo?—
Nikt mi nie odpowiada? — milczą wszystkie głosy,
Więc ja wam chcę odsłonić kraju przyszłe losy :
Zginiemy? --- to na wieki — jak wał jeden ginie,
Gdy szturm morze rozsadzi, wiatr tysiąc napędzi.
Porwiemy się i zginiem jak ów głos łabędzi
Który dźwięczy i kona w téj saméj godzinie.
Wojska ich niezliczone — a nasze orszaki...
Garstka słaba. Skarb u nich — u nas skarbu nie ma.
Cesarz dwie części świata w dłoni swojej trzyma;
Skinie — a zewsząd lecą pod cesarskie znaki,
Nie żołnierze, narody! — tak, narody całe!
My prawda rękę mamy, serce mamy śmiałe;
Ale coż jeden znaczy wśród licznych zastępów?
Skowronkiem jest, orszakiem wytropiony sępów

Wywinie się do góry — zaśpiewa — i padnie!
Przyszłość jak morze zdradza, burzę chłowa na dnie:
Człowiek jak majtek często, czas nagli do biegu,
Uderzy raz — dwa wiosłem, odbije od brzegu,
Aż łódź chwiać się zaczyna — wiosło pada z dłoni,
A wały rozpienione w kształt zbieganych koni
Łódź, majtka, w mgnieniu oka mokremi kopyty
Przelecą — popchną na dno — i wbiją w otchłanie.
Nieostrożny! on marzył wód podbić błękity,
A jak błoto uliczne zdeptanym zostanie!
Bracia! tak my zginiemy, jeśli nieroztropnie
Myśl wasza celów swoich, i zamiarów dopnie.
A z resztą gdzie szlachetność? — który Polak w domu
Zdradził kiedy gościnność, śpiących rzezał mieczem?
Dotąd życie wziąć zdradą nie umiał nikomu;
Myż tylko wyrok hańby na siebie wyrzeczem,
Myż gościnność Polaka zhańbimy na wieki?
Cesarz nie wyszedł dotąd z świętych praw opieki;
Bęben jeszcze nie wyciął hasła krwawej wojny:
Jestem pewny, jak w Moskwie, spać może spokojny.
Za odroczeniem wszystkich planów śmiało radzę! »

Skończył — i usiadł w zwykłej rozsądnym powadze,

Oczekując w milczeniu związku odpowiedzi.
Dano znak do głosowań. Z rzędu jak kto siedzi,
Głos swój wznosi z kolei, a w sprawie tak ważnej
Każdy w myślach rozumny, zimny i poważny.
Zbierają kréski — Wacław jeden wstrzymał zdanie;
Gdy nagle jakby duchem obudzony bożym —
« To on! » krzyknął i z krzesła gwałtownie powstanie,
I rzucił okiem swoim jak zabójczym nożem
Na mówcę poprzedniego — « to on, dodał znowu,
Znam cię dumny podstępco! » Co za on? szmer wkóło.
Żaden nie wie jak wierzyć dwuznacznemu słowu:
Znać się dawniej musieli, szeptano po cichu;
Może jakie zatargi, klótnie przy kielichu,
Bo obydwóch wzrok gniewny, zachmurzone czoło:
Tak szeptali i zmilkli. — « Jutro, rzekł nareszcie
Oskarżony, pojutrze, znajdziemy się w mieście;
Dziś do klótni czas nie jest, czas nie był. » Wstał z krzesła
I Wacław, widać obu jedna myśl wyniesła,
Pobiegł spiesznie — gdzie poszli! — śledzą ich ciekawie.
Noc obydwóch zakryła. Czyliby na jawie
Jeden z nich był czém inném i w sercu czém inném?
Czyby chciał zdradzić braci? — przecież od zawiązku
Pokazywał się zawsze tak gorliwym, czynnym!
Dziś tylko — długo bracia rozmawiali związku,

I radzili co czynić, — aż gdy kół turkoty,
I miganie się światel i stangretów wrzaski
Dały znać, że już z balu wyjeżdżają maski;
Związkowi tajemnemi wynieśli się wroty,
Każdy płaszczem obwinął zadumane lice,
Wszyscy się w różne miasta rozpierzchli ulice.

III

OBRAZY.

Gdzie mnie wiedziesz? — stolica została za nami,
Księżyc schodzi z niebiosów — zorza nie daleka —
Kiwasz i kiwasz ciągle — czy mnie wzrok nie mami?
To cmentarz — grobów pełno — z trumien zdjęte wieka,
Groby porozwalane — oszukańcze podły!
Słowa twoje bezczelne serca mi nie zwiodły,
I strachy niczem dla mnie — znam się ja z strachami.

NIEZNAJOMY.

(Siada na grobowcu, bierze dwie truple głowy i bijąc jedną o drugą poważnym głosem mówi.)

Geniuszu! kiedy burza ześle wiatry mściwe,
I morzem ognia niebo się zapali,
Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę,
I twojém skrzydłem popędzić na fali.

Niechaj nadpowietrzne żagle
Serce moje, duszę wzmogą;
Chmury zgniotę moją nogą
I do jarzma wiatry znaglę (*).

(Do Wacława.)

Tyś mój pan — jam twój sługa!

WACŁAW.

Jakto — co to znaczy?

NIEZNAJOMY.

To moje wieczne prawo — tak jest, nie inaczej —
Moje prawo, mój w końcu obowiązek święty,
Temu się z chęcią oddać w poddaństwa usługi
Kto jak Mojżesz, jak i resztą wielki prorok drugi,
Przeszedł ludzi — w swój duszy boski, niepojęty.
Jestem na twe rozkazy!

WACŁAW.

Pochlebco nikczemny!

Myślisz, w dumę podniosłszy, w obłok wzbiwszy myśli,
Duszę prędej ujarzmić — stopić ze złem ściślej!
Nie Szatanowi będę przyjazny, wzajemny!

NIEZNAJOMY.

Krzywdzisz mnie, bardzo krzywdzisz!

(* Z pierwszej części.

WACŁAW.

Znam cię dokładnie.

Człowieka postać wzięłeś, ale w duszy na dnie
Piekło całe — tém parzysz kogo schwycić łatwo.
Znamy się już oddawna — czy nie pomnisz o tém ?

NIEZNAJOMY.

Widziałem cię dwa razy : raz pod karczmą, potem —
Nie—wprzód—gdyś z kościoła między mnoga dziatwą
Na czarnym twoim koniu przez wieś pędził czwałém,
A raz trzeci dziś cię na radzie spotkałem.
Więcej nigdy, zaręczam !

WACŁAW.

By poznać dość wiele
Że prędej ogień z wodą w jedno zlejesz ciało,
I czucie bijącego serca z zimną skalą,
Niżli nas dwóch pospołu.

NIEZNAJOMY z udaną pokorą.

W jakim my rozdziele,
Wiém za nadto : jam sługa, tyś wszechmocnym panem.
Boli mnie tylko jedno, że nad moim stanem
Masz wątpienia — przysięgam, nie jestem Szatanem.
Chcesz dowodów? na piersiach, patrz, krzyż święty wisi.
Chcesz abym się przeżegnał? — żegnam się w trzy znaki
Ojca, syna, i ducha. Czyż może być jaki

Dowód większy? — Ten szkaplerz darowali mnisi,
Mam i koronki z sobą — nabożeństwa księgę.

(Do siebie.)

Dawno te wszystkie znaki straciły potęgę!
Zewnętrzność martwa kiedy dusza jój nie grzeje,
Ludzie już braćmi memi — i ty, mam nadzieję,
Śmiałku, nim ty zostaniesz!

WACŁAW.

Jeśliś katolikiem,
Jak mówisz, czemuż język twój czarta językiem?
Najhaniebniejsze rady z ust twoich wychodzą.
Pamiętasz rzeczy któreś chłopstwu niewinnemu
Kredensował bez liczby? — czemu, powiedz czemu,
Ludzi nieobeznanych z myśli wartką wodzą
Rozumowaniem wicherzyć? — czemu dzisiaj znowu,
Szatański dając stempel i myślom i słowu,
Rozchwiałeś w mgnieniu oka wszystkich wolę świętą?

NIEZNAJOMY.

Jeśli śmiało nie poszło jak było zaczęto,
Widać że sprawa jeszcze niedojrzała była.
Kiedy co w czasie leży, tego żadna siła
Wstrzymać nigdy nie może.

WACŁAW.

Lecz opóźnić może.

NIEZNAJOMY.

Chwilę tylko, — niech całą obronę rozłożę.
O chłopstwie mi wspomniałeś. Jak od cedru fiałek
W królestwie roślin różny, tak różni są ludzie.
Czyliż wart który z chłopstwa kłótliwego śmiałek
Ażeby mu o wiecznym mówić, prawić cudzie,
Jak o piątém z przykazań żołnierzowi w boju ?
Wszedłem prawda, jeżeli pomniesz, do pokoju
W innym czasie : śpiewali piosnkę narodową,
Ale właśnie ten śpiew mnie rozgniewał na nowo.
Ciebie widziałem smutnym, i rozpaczy bliskim;
Widziałem twego ducha, jak nowym rozbłyskiem
W nowe się światła stroił, w nowe tajemnice.
Szczycić się będę wiecznie jak się dzisiaj szczycę
Żem cię wtenczas mógł przejrzeć, i wielbić tajemnie;
Zdawałeś mi się wielkim — tak wyższym odemnie,
A przecież serce moje, twe serce odgadło!
W natchnieniu, w snach uroczych, nie marzyłem cudniej.
Rozchwiali mi sen cały ludzie w sercu brudni!
Łzy pjaństwo zastąpiło — śpiew ojczysty, jądło.
Gniewny, nadzwyczaj gniewny, chciałem im, przyznaję
Myśl zwichrzyć i umęczyć : dla tego im kraje
Inne, obce chwalilem; dla tego im pieśni
Śpiewałem nieprzystojne. I gdybym miał koło,

Koło na myśli zawrót — byłbym ich wesoło
W zawrót puścił, i kręcił, i nie wstrzymał wcześniej
Ażby ich myśli nędzne wartkości nabraly.
Jeśli to grzechem, oto zbrodnia, grzech mój cały ;
Ty mnie potępić możesz, inny nie ma prawa.
I ja cierpiałem w życiu, i mnie praca krwawa
Zmęczyła w mój młodości, zgubiła niestety !
Straciłem wiarę wcześniej. Książki mnie znęciły ;
W książkach ostatnie ducha wytępiłem siły ;
A świata rozkosz płocha, miłość i kobiety
Obaliły do szczytu : oto życia powieść
Krótka, lecz dostatecznie powinna ci dowieść
Czém byłem, czém być chciałem, czém jestem niestety !
Nieszczęśliwemu jedno zostało w podziale
Wyższych wielbić — o siebie z wzdargą nie dbać wcale !

Wichrzę się z dnia na drugi, bez zamiaru, celu.
Gdzie przyjdę, rzadko znajdę przyjaznych mi wielu ;
Bo trudno na tym świecie o szczerých przyjaciół. —
Tu inaczej — tu zaraz do tajemnych związków
Wprowadzony zostałem, z których później... z czasem,
Przyznaję, gdybym myśli, serca ich był zaciął,
Cóżby nie przedsięwzięli ? — lecz z suchych gałązek
Drzewo się nie urodzi — nie rozrośnie lasem.

Tak więc, to com powiedział — jest — było koniecznem,
 Jak czas który ma nadejść kolowrotem wiecznym !
 Przyjdzie — przyjdzie zapewne — i ja zdanie zmienię,
 Ale to całe zginąć musi pokolenie,
 Z tego już nic nie wzrośnie !

WACŁAW.

W przyszłych losów urnę
 Chwytasz ręką zbyt śmiało.

NIEZNAJOMY.

Bo przejrzenia górne
 Zwiastowanie poprzedza.

WACŁAW.

Bóg świat stworzył wolą !

NIEZNAJOMY.

Ale i prawa z światem — podług tego prawa
 Słońce choć codziennie ginie, codziennie powstawa.
 Planety i gwiazd tysiąc koło słońca kołają:
 Człowiek pewnym sposobem z dzieciństwa wyrasta,
 Narody jednym trybem powstają i giną.
 I Polska, kolebana od rodziny Piasta,
 W młodości ciało swoje, Elbą, Dnieprem, Dźwiną,
 Jak potrójnym łańcuchem opasała silnie.
 W trzech stolicach, Królewcu, Krakowie i Wilnie
 Orzeł z zamku powiewał — a ręką rozrosła
 Ująwszy flag tysiącznych sternikowskie wiosło,

Dwa morza zholdowała — północ i południe!
Po téj wiosnie, niestety, — nieszczęśliwe grudnie,
Sily jéj...

WACŁAW.

Dość już tego. Wam zimnemi słowy
Kredensować i bluzgać, gdzie czynić wypada :
W wielkich rzeczach nie z myśli, z serca płynie rada.

NIEZNAJOMY do siebie.

Nie trafiłem, choć przecie jako szczur grobowy
W jego się ciało, myśli i duszę wżerałem ;
Spróbujmy teraz z większym przemówić zapalem.

(Do Wacława.)

O gdybym klucz mógł znaleźć do serca podwoi,
Pokazałbym ci ducha ludzkiego narodu!
Dwa lata człowiek tylko ma serce za młodu,
Potém i w myśli nawet działania się boi.
Tobie ludzka przewrotność ledwie w słabém echu
Zdaleka znana była — lecz rozpatrz się bliżej!
Egoiści, obłudni, głupcy i nieszczerzy!
Rozpatrz się tylko bliżej, a pełen pośpiechu
Wciągniesz skarb twojéj duszy do wiecznych kryjówek!

(Jakoby myśli mu niespodziana przyszła.)

Ha !! — czy wierzysz w magnetyzm ?

WACŁAW.

Nie widzę w tém grzechu !

NIEZNAJOMY.

Zmianą miejsca i czasu, dawniej czarem zwano,
 Dziś głupstwem, przesadzeniem nazywa półgłówek.
 A przecie, czém dla duszy wieczór, noc lub rano?
 Czém dla myśli granice? — kiedy w mgnieniu oka
 Przeszłość w czas terażniejszy zmienić dusza może,
 Przez najciemniejsze do gwiazd przedrze się bezdroże
 I w przyszłość strzelić umie źrenicą proroka.

WACŁAW.

Nie rozumiem dotychczas do czego to wiedzie.

NIEZNAJOMY.

Napomknąłem jedynie, że nie zawsze czarem
 Co z czasu albo miejsca mija się rozmiarem.

(Do siebie.)

Dziś wszystko ich sposobem tłómaczyć wypada!
 Ale od czegoż zacznę? niech na samym przedzie
 Serce mu zajmie piękność nieszczęśliwa — błada!
 Bądź co bądź — ja od czynów odstraszyć go muszę!

DO WACŁAWA w ciągu poprzednim.

I dusza ma swe oczy i przegląda w duszę!
 Umiejęm magnetyzować!

WACŁAW.

Cóż ztąd?

NIEZNAJOMY coraz prędej.

Poznasz w chwili

Tych, którym życie twoje chcesz ponieść w ofierze.
 Ha! już mnie pierwsze drganie magnetyzmu bierze!
 Na ciebie je przelewam — niech w kształcie motyli
 Co prędko bawią oko i nigdy nie znudzą,
 Obrazy się mijają — rzucam ręką na cię.

(Robi magnetyzmu znaki.)

Raz pierwszy, drugi, trzeci, — w białej, pięknój szacie
 Czy nie widzisz osoby?

WACŁAW w letargu.

Nieznajomą, cudzą —

NIEZNAJOMY.

Ja przez mgłę tylko widzę — bo oko i ucho
 Stępione już jest moje!

WACŁAW.

Głosy jakieś słyszę!

NIEZNAJOMY z ironią.

Wielki duchu, ty w słowa możesz ubrać cisze!
 W moich piersiach jedynych, w wrzasku nawet glucho.

(Obrazy różne pokazują się jeden po drugim.)

OBRAZ PIERWSZY.

(Młoda dziewczyna w bieli ubrana na łóżku spoczywa, przy niej
 trzy inne osoby.)

GŁOS DZIEWCZYNY.

Płyńcie, lzy moje płyńcie, ostatki pociechy!

Gdy się dzień zabieli,

Ujrzycie lica blade w małżeńskie­j pościeli,
Z niemi serce zastygnie, i ciężkie oddechy
Z ostatnią łzą skonają. Pożałujesz córki,
Smutek ci marszczki gniewu z czoła wypogodzi,
Ale córki nie będzie, córki nie odrodzi.
Nie szukaj ję­j dokoła; na rzeki i wzgórki
Nie wybiegaj, i drogi nie krzyżuj daremno.
Tam gdzie ja będę ojciec — tam wieczyste ciemno,
Słońce nigdy nie błysnie, ani dróg tam nie ma.
Bez celu, bez dą­żenia, wycień­czone duchy
Chodzą tylko i milczą i myślą — i sluchy
Wyciągają ciekawe — i trupa oczyma
Gonią w ciemności jakieś obce, dziwne ślady!
Ale tam same tylko szkieletów pokłady.
Jeden chce wyrzec słowo, a słowo w paszczęce
Wypalanej jak w puszczy ciemny wiatr zawieje;
Drugi wyciąga zeschłe, potrzaskane ręce!
Lecz próżno gonią pamięć, stracili nadzieję.

(Mocniej.)

Ha! jakąż obca, nagle, nieznaną mi trwoga,
Jak dręszcz śmiertelny wszystkie żyły wskrós­z przenika,
Ojciec, ojciec, ach ojciec! — oko się zamyka,
Tracę blask — tracę życie i Boga i Boga!

(Po pauzie.)

Kto woła Ludmiłę?

Toś ty, o duszo moja — ty serca aniele,
I ty tutaj? — tak zimno, tak smutno w kościele.
Ty mogłeś żyć — twe życie tyłom drogie — mile —
Ale nie... tyś winny!! —

Dla czegoś mnie nauczył że nad ojca, matkę
I ciebie kochać można? — tyś mi tę zagadkę
Która w postaci obcej jak motyl zdrętwiała
W głębi leżała serca — wskrzesił, rozgrzał okiem;
Stałeś się wróżką duszy i szczęścia prorokiem,
Pokazałeś mi z ziemi nieba okrąg cały,
A dzisiaj...

Dziś dla mnie ślubny wieniec z rozmarynu plotą!
Jutro, o Boże wielki, skronie mi uwieńczy:
Tak chmurę czasem zwiąże żywa wstęga tęczy,
Póki wiatry jój kształtów jasnych nie rozmiotą!

Słyszysz Ludmiło! dzwonią — gdzież jest ślubna szata
I mirtu gałązka?

Białą mi suknię dajcie, bieluchną sukienkę,
Lekką, żebym ją w wieczność, za tysiączne lata
Unieść mogła... Nie dobra — za ciężka — za wązka —
Lekką dajcie i białą do tego sukienkę!

Księżu, wiąż prędzęj ręce — Czy chcesz tego męża?
— Wy zawsze woli chcecie niedorzeczni księża!
Wiąż prędzęj, mówię, ręce — zimna twoja stula,
A dziewczyna ma serce — a dziewczyna czuła —
Mój ojciec — słuchaj córki — chmurne twoje czoło!
Już po ślubie, i czegoż stoicie w okolo?
Dalej w weselne tany!
Ojciec łzami zalany,
Pan młody ściska usta — gdzie ojciec córeczka?
Księżu, gdzie twa owieczka?

Dzwonią—dzwonią—i dzwonią! Któs umarł z okolic,
Kto umarł? jakiś obcy, nieznamy pyta.
Toć zobacz! — patrz — dziewczyna kirem jest okryta,
A kir nie jest kamieniem — ni przyrosłym do lic.
Odkrywa i zakrzyknął — czegoż krzyczysz bracie,
Czy tę biedną dziewczynę, czy Ludmiłę znacie?

Umarła gdy ślub brała,
Nazbyt, nazbyt kochała !

A on ściska i płacze i tuli do łona !
Ale darmo, zapóźno — nie żyje już ona !

DOKTOR.

W malignie dywaguje —

OJCIEC.

Ale gdzież w malignie,
Szał romansów — kochanie — oto jój nieszczęście.

DOKTOR.

Puls jój coraz wolniejszy — serce bardziej stygnie.

OJCIEC.

Ludmiło słuchaj! Wiecznie zerwane zameście,
Ty sama sobie męża obierzysz do woli.

DOKTOR.

Puls mocniejszy — przychodzi do zmysłów powoli.

LUDMIŁA budzi się.

Gdzież jestem? — toś ty ojczy — czemuś nie wesóły ?
Ja w tej chwili słyszałam mówiące anioły !
Trzech ich było — mówili — ah o czém — nie powiem.
Jeden wziął suknię ślubną — tę samą złoconą
Którą mam — drugi rączką obdarzył mnie zdrowiem,
Trzeci wzbil się do góry, zwabił większe grono,

I wszyscy mi śpiewali (z bojaźnią), ojcze, wszak ja żoną?
Chcę być — będę — tyś kazał — głowa moja głowa!!

INNY GŁOS.

Tylko jój dobrze pogróż a wnet będzie zdrowa.
Udanie! — sztuka kobiet! — a ty przyjacielu
Który żagle popuszczasz kaprysom dziewczyny...

TRZECI.

Jak wieść gruchnie — przepędzi dom wojewodziny,
Księżnej pani i innych uszu dojdzie wielu,
Utracisz sławę twoją, dotąd utrzymaną;
Wiesz dobrze jak się wczoraj z takich rzeczy śmiano.

DOKTOR.

Być może — ale jednak podług Hanemana...

GŁOS KOBIECY.

W ustach sina, na twarzy już blada jak ściana —
Księdza, księdza co prędzój. —

DOKTOR.

Za późno — umarła!

WACŁAW z uniesieniem.

Krzyczcie ze mną co mocy, co siły, co gardła!
Biada, ach biada ojcom, gdy dzieci zabijają!

NIEZNAJOMY dając znak.

Giń obrazie — niech obłok przepaścistą szyją
Połknie senne zjawienia! —

(Do siebie.)

Rozdrażniłem serce,
Teraz tylko iskierkę rzucić po iskiecie.

(Robi zn: kl.)

OBRAZ DRUGI.

(Pokój — kilku wyższych oficerów grają w karty.)

JEDEN Z NICH do ciągnącego bank.

Piątka — czwórka i wyżnik — wygrywa dziesiątka —
Cały bank pękł od razu; niech żyje ojczyzna!
Od ran, głodu, niewygód, lepsza to pamiątka.
Z resztą każdy czy volens czy nolens mi przyzna,
Że złoto nie jest słowem.

(Chowa pieniądze.)

DRUGI.

Żarty, wolne żarty.

Ale teraz bank ciągnij! —

POPZEDNI.

Nie gram więcej w karty!

INNY.

Rewanz nam dziś dać musisz.

POPZEDNI.

Służba przed zabawą,
Jutro na mnie przypada, żegnam was koledzy.

JEDEN z przegranych.

Otóżto parafianom wdawać się z Warszawą!
Przyszedł, zabrał i poszedł prawie bez méj wiedzy.
To brzydko — wam odnoszę pod sąd czyn tak czarny!
Postąpił nieuczciwie.

WIELU.

Honor military

Nic o tém nie wspomina, grać każdemu wolno.

POPZEDNI.

Ale przecież grać można z wiarą zobopólną
I z uczuciem, nie ślepo.

JENERAŁ.

Gra jest jako wojna;

Żołnierzowi nie wchodzić w cele i zamiary.

Na posłuszeństwie ślepém stoi siła zbrojna :

Gdy podniosą sztandary, stawaj pod sztandary;

Uderzą w bęben — bij się — śmierć, rany, niewola,

Wszystko niczém — grunt rzeczy nie uchodzić z pola.

PULKOWNIK.

I honor swój zachować! — dla tego z méj strony

Nigdy nie zaprzestanę potępiać legiony.

Z czegoż powstały? z zbiegów : zbieg, zdrajca toż samo.

Gdy służy się królówi — cześć, honor wojskowy

Żąda abyś go bronił do deski grobowej.

DWÓCH grających z sobą.

JEDEN.

Za pozwoleniem — kralkę twoją biję damą,
I areszt.

DRUGI.

(Rozgniewany już na wygrywającego, już na mówiących.)

Mniejsza o to — mniejsza mówię o to.
Przegrałem — dobrze — u mnie kruszcem tylko złoto.
Ale tych maksym waszysz nie myślę podzielać,
Więc człowiek niczém więcej prócz nędznej machiny?
Gdy każą strzelać — musi ślepo bić i strzelać?
Ojciec do swoich dzieci? do swych ojców syny :
I to honor wojskowy — to wasze wawrzyny?

(Obraz się chmurą zaszuwa.)

NIEZNAJOMY.

(Patrząc na tworzący się obraz nowy, mówi do Wacława.)

W starzej gotyckiej sali zbierają się goście ;
Na sześciu dużych stołach kilkaset talerzy,
Jako w sześciu okrętach, na pokładnym moście,
Żołnierzy pięćset w zbrojach snem ujętych leży ;
Srebra w górę sterczące i wetów zastawy,
Jak maszty podniesione żeglującej nawy,
Wspinają się ze środka — a śnieżne kryształy
Malowane kosztownym, różnofarbnym sokiem,

Sypią iskry na obrus rozpostarty biały,
 Jak gwiazdy kiedy błysną nieśmiertelném okiem
 Za jasném lub w lazurze rozbitym obłokiem.
 Dano znak. Jak na flocie w tył zbiegłe armaty,
 Patrz, krzesła się ruszyły — i jak od naboju
 Każde cięższe na powrót wlecze się do stołu.
 Miękkie jedwabne kobiet powiewają szaty.
 Czy słyszysz brzęk talerzy? — wyzywa do boju —
 Przyjaciół, nieprzyjaciół siadają pospołu.

OBRAZ TRZECI.

(Biesiada.)

DAMA do sąsiadki.

Jutro bal jest u księżny.

MŁODY CZŁOWIEK do sąsiada.

Czy panu znajoma

Świeżo przyszła broszura francuzka z Paryża?

INNA GRUPA.

On został panie hrabio, kawalerem krzyża...

MŁODA DAMA do drugiej.

Co za czule małżeństwo — obok męża żona.

DRUGA.

Widać że im nieznanym obyczaj, świat wielki.

MŁODY CZŁOWIEK do towarzysza.

Nudy okropne, gdyby nie było butelki!

INNA GRUPA.

Ależ tak panie pośle — sprawiedliwość, prawo,

Jest najświętszą człowieka i ludów ustawą.

Pereat mundus, fiat justitia divina!

DRUGA GRUPA.

Patrz, patrz, otoż znów swoje formułki zaczyna.

POSEŁ na ucho drugiemu.

Konstytucyi chcę uczyć dzieci przed pacierzem.

DRUGI.

A jak królów nie będzie?

POSEŁ.

Cicho tylko, cicho!

Przynajmniej krząknij mocno, lub brząknij talerzem.

INNA GRUPA.

Cóż pan za książki czyta? —

DRUGI.

Jak zwykle, Woltera.

To pisarz, to poeta!

PIERWSZY.

Dowcip nie umiera.

LITERACI STARZY.

W tak młodym wieku jeszcze, a już z taką pychą,

Powstaje na prawidła nieśmiertelne sztuki.
 Nam odmawiać talentu, zdątności, nauki...
 A jego czémże dzieła?

DRUGI.

Czas wszystko obali.

PIERWSZY.

O! temu nie dowierzać — z czasem rosną mali;
 I chociaż pewny jestem że on w nic zapadnie,
 Jednak, tak nas pohańbić, oczernić szkaradnie,
 To za nadto. —

WACŁAW.

(W letargu myśląc że i on na biesiadzie, mówi do nieznanego.)

Patrz — kielich — witajże kielichu!

NIEZNAJOMY korzystając z jego błędu.

Nie tak głośno Wacławie — po cichu — po cichu.

WACŁAW.

Chcę im zdrowie zawrzasać, z całej duszy, z serca;
 Każdy zadrzy jak listek prawdy przeniewierca.

NIEZNAJOMY.

Ha! już ze złota niosą rostruchan ulany.
 Patrz, patrz! — przeżył on zmianę niejednej kolei;
 Nad ludzi droższe takie stare rostruchany!
 Ten zabytkiem jest jeszcze Batorego wieku;
 W różnych on czasach różne myśli budził w czeku,

Dawniej bytu trwałego—dziś słabiej nadziei!
Tak z portu migająca wysoko latarnia
Szczęśliwych, nieszczęśliwych do siebie przygarnia.
Gospodarz wznosi toast—

PAN BIESIADY (w obrazie mówi).

Kielich przy biesiadzie,
W dniu dzisiejszym, jest jako myśl w słowa osadzie,
Nierozdzielny, konieczny; kielich z dawnych czasów
Jest jako droga wolna wśród zarosłych lasów :
Daleko nią iść można. Któż więc zdrowie wzniesie?

WACŁAW podnosząc rękę.

Ja—kielich, do mnie tutaj—na zdrowiu niezbywa!

NIEZNAJOMY dając znak.

Za cieniem, marą tylko ręka twoja drze się.
Niechaj na obraz cały spadnie chmur pokrywa.

(Obraz znika.)

WACŁAW obudzony.

To czary są szatańskie!

NIEZNAJOMY.

To magnetyzm zwykły;
I skutkiem przytém myśli, które świat przenikły!
W powietrzu widzę zdala, jeden obraz jeszcze.

(Do siebie.)

On poetą—ostudzę mu zapalę wieszczę.

OBRAZ CZWARTY.

(Sala — na środku trumna — ludźl pełno.)

NIEZNAJOMY do Wacława tłumacząc obraz.

W sali gotyckiej znouu pełno światel błyska;
 Nie biesiadnicze przecież widzę w niej kielichy.
 Na żałobne obchody zmienione igrzyska;
 Koło trumny rzędami zasępione mnichy.

Patrz—usta ma w uśmiechu, oczy lekko mruży,
 Jakby do obudzenia przeznaczone z czasem;
 Białą atlas pod głową a lilia przy róży
 Wygląda z rozpuszczonych włosów nad atlasem.

I wiele ludzi płacze przy dziewczyny trumnie!
 Trzech tylko lzy nie spuści—spoglądają dumnie.
 Wyżsi oni od gminu, choć niemożni w lata,
 Każdy z nich ma czeigodny tytuł literata!
 Niechaj więc inni płaczą, ich pisać rzemiosłem;
 Niech żołnierz z prawa życie wystawia na kule,
 Oni piórem po czasie pływają jak wi-słem,
 I kiedy kto umiera, oni piszą czale.—

(W obrazie.)

JEDEN Z POETÓW.

Nie zła treść do ballady.

DRUGI.

Co mi tam ballady!

Historya to prawdziwa do kopania mina;
Alboż to nie posiada skarbów Ukraina,
Litwa, Wołyń, Podole? niech więc stare dziady
Jęczą, płaczą gdy umrze znikoma dziewczyna.
Mnie innych trzeba rzeczy, wyższych lutni strojów :
Śród niepogód, zdrad, nieszczęść, walki, krwawych bojów,
Tam wiersz płynie : gdzie indziej wlecze się z oporem;
Teatrem moich marzeń są całe narody.

PIERWSZY.

Między literatami nigdy nie ma zgody,
Któryż na swe kopyto nie chce być autorem!

POPZEDNI.

Trzeba patrzeć jak stwarza, nie na to co stwarza.

PIERWSZY.

Ależ to tym sposobem każdy co wiersz skleci,
Bajkę jaką napisze, lub powieść dla dzieci,
Byle dobrze, na imię zasłuży pisarza.
Dla czego tak rzadkimi wielcy są poeci?

POPZEDNI.

Styłem dobrym, w dźwięczącym poematów rymie,
 Nieśmiertelności łatwo przekazać swe imie.

TRZECI POETA.

Słuchajcie! i ja prawo mam do odpowiedzi.
 Kto nie ma serca, bracia, ten próżno się biedzi.
 Pisać choćby wiek cały, lecz i serce—mało.
 Tylko ten kto w natchnieniu wiek swój porozumie,
 Komu ów tajny popęd jak stworzenia słowo
 W świat się cały rozłoży, rozrośnie się w ciało,
 I on to ciało wodzi—w samotności—w tłumie,
 W dzień i w nocy—i tego ciała jest połową;
 Tylko ten który jako ksiądz w ubraniu świętym,
 Ludziom wszystkim mszę czyta przed wielkim oltarzem,
 Czy od razu pojęty—czy będzie pojętym,
 Tylko ten mistrzem w sztuce—wielkim jest pisarzem.

(Obraz snlka.)

NIEZNAJOMY do Wacława.

Widziałeś różnych ludzi. Ciż więc powołani
 Do czynów nieśmiertelnych, do myśli wysokićj,
 Ciż spełnić mają Stwórcy, wszechwładne wyroki?
 Spełnione będą z czasem; lecz słuchaj—nie ranićj
 Aż całe pokolenie w proch się i kurzawę
 Rozsypie ręką śmierci. Wtenczas boje krwawe

Inaczej rozumieją : honor, cześć wojskowa,
Owe bożyszczą wszystkich przejdą w pośmiewisko;
Ojczyzna, wolność, wiara, bitew będzie hasłem;
Wtenczas prawników zimnych na wiatr pójdą słowa;
Bentama, Benjaminów, zaginie nazwisko,
I jak martwą tę czaszkę o kamień roztrzaskam,
Ich nauka, ich formy, w zaburzonym czasie
Na prochy się rozprysną; wtenczas ludów masie
Przewodniczyć olbrzymi, wielcy ludzie muszą.
I powstaną poeci—natchnieni prorocy;
I lud jeden drugiemu pójdzie ku pomocy,
A narody zostaną Stwórcy jedną duszą,
Wmysłach tylko odmiennie—wtenczas działać przyjdzie!

WACŁAW.

A teraz? każdy niechaj utajony w wstydzie
Ręce swe założywszy zdaleka, swobodnie,
Zimném okiem spogląda na męki i zbrodnie!
Otwórz więzienia wszystkie, ty który w rozumie
Wieszczów natchnienia dzierzysz, i spojrzuj w więzienia;
Przybliź się do serc młodych, jeśli z przeznaczenia
Serce ci w dział przypadło, i czuć mocno umie;
Komu te serca biją!—spytaj lud prostaczy;
Spojrzuj na naród cały w smutku i rozpaczy,
Dowiesz się że czas blisko i będzie inaczej.—

(Słońce wschodzi — z miasta przybliża się orszak pogrzebowy — słychać śpiewy i modlitwy księdza.)

CHÓR DZIEWCZYN.

Nie każdy kwiat ginie w lecie,
Róża wędnie często w wiosnie;
Życie jako sen na świecie,
Ledwie zaśniesz, już ci po śnie.

CHÓR CHŁOPCÓW.

Ojcze, za córeczki wiano
Złóż na trumnę deski cztery,
I lżę w oku — żal miéj szczery,
Łzy przyjęte tam zostaną.

(Ksiądz posępnym głosem odmawiając modlitwy.)

Domine exaudi orationem meam!

NIEZNAJOMY do Wacława.

Słuchaj? to są dla ciebie, dla nas głosy wieszczce.
Raz ciebie proszę jeszcze, raz zaklinam jeszcze,
Dla miłości ojczyzny, bliźnich i rodziny —
Zaniechaj przedsięwzięcia — opóźnij twe czyny!

WACŁAW.

Jam ci się z nich nie zwierzał.

NIEZNAJOMY, z zapalem.

Biada, stokroć biada!

Gdy człowiek wcześniej zedrze z czasów swych zasłonę,
I widzi pod nią stare bóstwa obnażone,
Kaźde jak Saturn z dzieckiem, kaźde swój plód zjada.
Wiem o tém, wyrok wyższy, i tych bogów strąca,
Bo żelazną koleją pędzi w czas pierzchliwy,
Ale tylko ten wielki, ten człowiek szczęśliwy
Który śród głosów mylnych, śród wrzasków tysięcy,
Uchem duszy rozpozna przeznaczeń kół grzmienie,
Wskoczy w rydwan wyroków, i zajmie siedzenie,
I po czasie przejedzie jako Przeznaczenie!
Tyś w myśli innych przerosł. Tyś ręką twą śmiałą
Sięgnął do Pana Boga po laury, po wieniec;
Tyś w myśli Bogu bliski — a jeszcze młodzieniec!
Poznaj godność twą całą — twą wszechwładność całą.
Nie brudź duszy tak wielkiej robakami ziemi,
Jak orzeł ty w obłokach wznosisz się nad niemi;
Czyń — rozmawiaj — lecz tylko z duchami świętymi,
Ludzie — niech tobie służą jak ja służyć myślę!
Rozkaż, a wszystko zrobię.

WACŁAW.

klź — puść mnie — dziś — teraz...

NIEZNAJOMY.

Trzeba — dobrze — lecz w sercu, w pamięci, w umyśle
 Z tobą będę — i ciebie wielbić będę nie raz.
 Jedno tylko mi przyrzecz — twą pomoc, opiekę
 W razie potrzeby nagłej!

WACŁAW.

Tego nie przyrzekę.

NIEZNAJOMY.

Z litości chrześcijańskiej — służę i bliźniemu!

WACŁAW.

Mniejsza o to. —

NIEZNAJOMY do siebie.

Więc dobrze — cmentarz moim świadkiem.

Ująłem cię sił ostatkiem,

Teraz nie wydrzesz się złemu!

(Pogrzeb się zbliża — wpuszczają trumnę do grobu.)

CHÓR DZIEWCZYN I CHŁOPCÓW.

Oczki młode żwir przypruszy,

Ziemia grzmi na trumny desce;

Dajmy jój po szczerój łezce

I paciorek dla jój duszy!

KSIĄDZ (kończąc swoje modlitwy).

Ex ore infantium — ut destruas inimicum!

(Nieznajomy znika, Wacław zamyślony odchodzi.)

IV

ODKRYCIE TAJEMNE.

Trzy tygodnie mijaly Wacława pobytu,
Gdy przedmiotem, gdy uwag ludzi został celem;
Nazwano go tajemnym prawdy przyjacielem.
Zkąd wyrosło nazwisko tak pełne zaszczytu?
Trudno badać. To pewna że czasem, w zapale,
Odpowiadał na zwykłe pytania, zarzuty,
Ale częściej zamilczał, i nie mówił wcale.
Bądź co bądź, wątku rzeczy szukano dopóty
Aż długa o Wacławie rozeszła się powieść:
Mówiono w niej o duchach, tajemnym upiorze,
O tajemniejszym jeszcze przyjaciół wyborze,
I w końcu, że czynami chce śmiertelnym dowieść
Czém prawda; że ukrytą wielkość w sobie chowa,
Wielkość duszy! — co więcej choć w nim skąpa mowa,

Choć każdą myśl przed ludźmi starannie zamyka,
 W obieg pismo puszczono; lub wyjątek raczej,
 Zapewne z codziennego Wacława dziennika;
 Ale jakim sposobem nikt nie wytłómaczy.
 Tak odgłos dział jęczący gdy chmury rozbije,
 Zarazem w otchłań ziemi wpada—i korytem
 Pewniejszym od powietrza, bo ciemnym, ukrytym,
 Płynie jak rzeka bystra w przepaścistą szyję,
 Aż gdzieś—uchem dybiącym, podróży daleki
 Zrozumie głos podziemny, nurt pojmie téj rzeki!

PISMO W OBIEG PUSZCZONE.

« Biada tym nikczemnikom w których duszy, jako
 W stepach północnych krajów; czy słońce zaświeci,
 Czy wichur skrzydłem nocy z mrozem w paszczę wleci,
 Zawsze głucho—samotnie—spokojnie—jednako;
 Bo przyjdzie dzień jasności dla jasności powiek,
 Czas nocy—jeśli w nocy duszą zagrzązł człowiek!

Biada obrońcom wiary! którzy bronią wiary
 Jako dawnych zwyczajów niedołężnik stary!
 Ale spójrzj w ich czyny, w ich zabiegi, cele;
 Podłe, wierutne lotry, to ich przyjaciele!

Ich celem ziemskie tylko błyskotki i zyski;
Zabawą, na bliźniego rzucane pociski,
A wiarą ich właściwą, ton jest towarzyski.

Widziałem ja i takich co w słowa bogaci,
W nauki jako w suknie dnia świętego strojni,
Tryb przytém pewny mając w ruchu i postaci,
Między głupimi mądrzy, szczęśliwi, spokojni.
Nigdy im niedostatek nauk nie dokuczy!
Nigdy głód celów wyższych nie cieńczył im duszy;
Uczą drugich czego się każdy z nich nie uczył!
I co dawniej słyszeli, uczniom trąbią w uszy.
Przyjdzie czas, ich nauki jako mgła na wietrze
Rozchwieją się, głos prawdy w proch ich głowy zetrze.
I Bóg wyrok pism świętych wszechwładnie dokona!
Mędrzec w głupca się zmieni — głupiec w Salomona.

Biada ludziom bez serca! ludziom wiary małej,
Biada tym którzy sprawie nie uwierzą świętej!
Dusza ich — dom to z drzewa na węgle zgorzały,
Od żadnego już ognia nie może być zjęty,
On do piekła na głównie od Boga przeklęty! — „

Słowa te tłómaczono, czytano dziwacznie.
Jeden w nich tylko widział zapal kaznodzieja;
Drugi że Waclaw pisać dzieło jakieś zacznie;
W innych przyszłej wstąpiła odmiany nadzieja,
Albo téż, myśli w żywych przekształcając ludzi,
Papieża, krwawych rządców, mędrków ganil trzeci :
Papieża— że go wolność z letargu nie wzbudzi,
Rządców— że naród cały obracają w dzieci :
Każdy jednak przyznawał Waclawowi cele,
Które ojczyźnie, ludziom obiecują wiele :
Tak prostak, wielkie często chcąc rozumieć myśli,
Plany robi dziwaczne, domniemania kryśli,
Aż w końcu, widzi biedak że pomimo woli,
Zamiast wielkiego człeka, półboga obrazu,
Myśl olbrzymią rozpoczął odgadywać zrazu,
Ale na swojej płaskiej zakończył powoli.—

Co pewna—Waclaw wyższy, od tych co z nałogu
Albo myśleć się uczą, lub cześć niosą Bogu;
Dusza ich piękna w słowach, w uczynkach jest inną;
Na próżno chcieć ją badać, bo nikt jój nie zbada,
Każde ziarno w nią wpadnie jak w ziemię rodzinną,
Ale i każde zmiecie lada deszcz, wiatr lada.

Wacław co czuje, myśli, to w życiu, to w czynach
Odgadnąć jako ojca z podobieństwa w synach,
Jak wesołość w uśmiechu, jako żal w oku.
On cokolwiek do duszy wielkiego wpłynęło,
Jako piasek Paktolu, wybiera z potoku
I na wieczyste, trwale przeistacza dzieło,
Czasom przyszłym i ludziom, na dzieło nauki!
Ale nie — któż w uczuciu cel sobie zasadza!
Myśli w zapale twórczym jak napięte luki,
Tam czyn, tam strzałę pędzą gdzie sięgnie ich władza!

V

WYJAZD ZE STOLICY.

Początek był już marca — rano zimny, śnieżny.
Ziemi białość błyszcząca jak piersi lubieżnej,
Chmur lekkie rąbki w górze niebu zasłaniały;
Słońce tylko ciekawe, kochanek jój śmiały,
Wciskając oko przez mgłę wiewającą fali,
Czasem lekkim rumieńcem lica swe zapali.
Taki dzień był wyjazdu Wacława z stolicy,
Śnieżny — zimny — ponury — sanki na ulicy
Zaprzężne w rzeźwe konie czekają od rana
Na znak pierwszy — na wyjazd pożądany pana.

Wacław przecież opóźnia — poranek już mija;

Wacław pisze—dwa listy przed nim rozpostarte :
Zapisał jedną, drugą i trzecią już kartę;
Nakoniec we dwa pisma odpowiedzi zwija;
I klasnął — bieży sługa — oddał. « Spiesz z powrotem,
Czas wyjechać » — rzekł — prędko odchodzi służący;
Wacław znowu przy stole zasiada milczący
I znów czyta : « Dla ciebie każdy moment złotym,
Szpiegi cię otaczają — wyjazd twój niezwłoczny;
Wszystkich podstępów świadek sam jestem naoczny,
Wyjeżdżaj — z kraju nawet — bo czas jest po temu,
Jutro już trudno będzie zapobiec złemu ! »
On mnie to radzi? — nagli — który pierwszy duszę
Wyniósł w górę, nad poziom znikomości świata,
I dał uczuć gwałtowną moc woli człowieczej?
Ja uciekać?— i przed kim?— darmo— przecież muszę,
Zaklina mnie na przyjaźń, obowiązki brata —
Jadę! ale nie długo przyjdę ku odsieczy;
Wybiegam piórem ptaka, z orła wrócę szponą ;
Kto cofnął się na chwilę czyż go już zwalczono!
I ten drugi list przytém! — jak siła z rozkazem,
Przybywa niespodzianie z pierwszym listem razem,
Czeka mnie za granicą podstępca nieznośny;
Dałem mu słowo—dobrze!» Tak w myślach swych głośny
Wacław czytając mówi. Schował listy wreszcie,

Wstał i poszedł do okna — nikt nie idzie drogą.
Co on robi? — znów słucha — nie słycać nikogo,
Tylko gwar zwykły ciągnie jako szum po mieście,
Albo krok własny, mocny, glucho się rozlega
O szczyty wzniesionego pokoju sklepienia.
Przyszedł w końcu. « Czy wszystkie spełnione zlecenia?
Nie oddałeś przypadkiem? — « komu? » — « w ręce szpiega,
Albo... » — « gdzie miałem rozkaz » — « jedźmyż bez odwłoki! »
Po schodach zatentniały przyspieszone kroki;
Wsiadł — ręką wskazał — na śnieżnej zamieci
Konie i sanki pędem naprzód leci;
On sam jak w chmurze grom spoczywa cichy,
W płaszczu zawojach, ściemnił swą postawę;
Tylko na twarzy przelotne uśmiechy;
Tylko westchnienie, wpół ucięte słowa,
Jak wiatr zwiastuje zbliżenie się burzy,
Zwiastują cele tak nagłej podróży,
Zwiastują falę co zagrzmieć gotowa.

Wacław przybył do domu — witają — on wita —
Cały dwór wesoły — tysiąc pytań, odpowiedzi:
« Jutro zjadą się wszyscy znajomi, sąsiedzi,
Jutro musi być uczta wielka, znakomita;

Ojciec nasz gońców wysłał» — Waclaw milczy na to ;
Przez usta czasem tylko ciemne słowa cedzi :
« Jutro — nie dla każdego — przyszłość nam ukryta,
Kto wie! dnia obecnego jutro zawsze stratą! »
I przytém, co się rzadko Waclawowi zdarzy,
Łza mu z oczu wytrysła — spłynęła po twarzy.
Co ta łza? co ta mowa? — nigdy dotąd jeszcze
Nie płakał, we łzach smutku nigdy on nie tuli;
Dla czego rękę siostry ścisnął mocniej, czulój?
Pieszczoty nazbyt wielkie znaki są złowieszcze;
Trucizna w żywym zwykle tai się kolorze;
Chmura piorunów pełna świeci jako zorze!
« Ale, żarty! powiada, wszak jesteśmy razem;
Tylkom ja drogą osłabł, i późna już pora.
Muszę iść — chciałbym jeszcze wyjść tego wieczora,
Nacieszyć się znajomym okolic obrazem.
Lubię z resztą powietrze czyste, mroźne, ostre,
Z tobą — jutro być może — później — rano — rychło!
Zobaczemy się! » — Skończył, pocałował siostrę,
I wyszedł ledwie słowo ostatnie ucichło.

Po prawej stronie dworca o dwa staje blisko,
Wpodłuż rzeki wieśniaków biedne stały chaty;

Po lewej widać było w ruinach zamczysko,
Wspaniałe może kiedyś przed stu, dwiestu laty.
Dziś jako szkielet pusty sterczy tam na górze.
Znać jednak po wyniosłym i kamiennym murze
I po wale, po mostach, wpół zapadłej wieży,
Że pan jego, że dziedzic był z owych rycerzy,
Którzy ufni w moc własną i warownię grodu,
Z łaski tylko słuchali króla i narodu.
Dziś inaczej — dziś jodła swojemi konary
Mur zdobyła, ramiona wychyla przez szpary;
Dziś, jakby czas zmienił ród ludzki w rośliny,
Bluszcz skromny pnę się w górę między rozpadliny;
Dziś tylko strumyk mruczy pod ciężkim kamieniem,
Który z wieżycy spadły przydusza bieg źródła,
I tam gdzie ludzie grzmieli całym pokoleniem,
Szmerze strumyk, bluszcz rośnie, i chwieje się jodła!
Ale w nocy — tam w nocy nie zachodź człowieku!
Głośna wieść postrach niesie : mówią że od wieku,
Od czasu kiedy zamku ostatni dziedzice
Mieszkać w nim zaprzestali — w samotnej komnacie,
Nocą się tak jak dawniej zapalają świece ;
Twierdzą, że coś strasznego, w jakiejś dziwniej szacie,
Naksztalt ducha rycerza, z górnej schodzi wieży,
Brząka w koło, i stąpa, i puka i bieży;

A gdy ranny kur, trzeci raz na dzień zapieje,
Wteczas jak mgła przed słońcem tak straszycło znika,
Wiatr wpada, z burzy szumem światła wszystkie zwieje;
Słychać jak drzwi zatrząska i groby odmyka.
Nieraz nocni pasterze, bydło pasąc zdala,
Słyszeli nad porankiem ów turkot grobowy;
Zdało im się jakoby łamano posowy,
Że mur cały z tumanem kurzu się obala,
I słyszeli jęk jakiś pogrobowy, głuchy;
I ze wsi nieraz widzieć, jak młode pastuchy
Pieczy ich poruczone opuściwszy bydło
Uciekali; zamkowe gnało ich straszycło.

Prócz strachów, zwykłych samotności dzieci,
Pająka, dawnych ruderów strażnika,
Sowa czasami w gmach ten nocą wleci,
I słychać smutne krzyczenie puszczyka.
Albo kurz wiatrem pędzony w półkole,
Przez drzwi otwarte wpada w to ustronie,
Albo myśl czleka puszczone na wolę,
Czasem w tym zamku przeszłości utonie,
Nie człowiek przecie — bo któż się odważy?
Młodź nie dla grobów — nie dla duchów starzy!

Dziś co za zmiana?... Jakaś żywa postać
Wchodzi i patrzy jakby dojrzyć chciwa,
Czy ją od świata dosyć gmach zakrywa,
I czy spokojnie w nim może pozostać!

Noc ciemniej coraz namiot z chmur utkany
Na światy rzuca, jak na paschy stoły;
Gwiazdy jak srebrne błysły rostruchany,
Z których blask czysty wypiją anioły,
A ziemię ledwie mętną kroplą darzą.
Księżyc obchodził z zamysloną twarzą,
Jak sługa wierny niebieskie obszary;
Dwónastą ziemskie wybiły zegary.

VI

SCENA ZAMKOWA.

(Rudera sali dawnéj — Wacław z pochodnią w ręku wchodzi.)

Sen pierzcha przed myślami, jak ptak płochopióry
Przed nagłym strzelca chodem porywa się zdala.
Tak! — czuję — duch mój wyższy nad prawa natury!
On wszechmocnie świat tworzy, on w proch go obala;
Zwierciedli się gdy zechce, jak w kryształe światło;
W całym świecie, gdy zechce, odbiega porządku;
Inny świat mistrza ręką rzuca sobie na tło,
Bo on jeden bez ciągu, końca i początku!

Brzmią mi w pieśni tajemnej słowa przyjaciela :
« Patrz na tę dumną postać, zarządcą jest świata;

Milionom śmiercią grozi, lub życie udziela;
Toporem zmiennéj chęci głowy ludzkie zmiata,
Z tych piersi nic nie dobył, z téj ducha przepaści! »
Zrozumiałem cię bracie, przyjęło się ziarno!
Czuję godność, wszechwładność, człowieczeństwa własci,
Wszystko mi wydrzeć mogą, ducha nie ogarną!
Cięgnij ciało na męki i wymyślaj męki,
Duch w postaci anioła wzbije się do góry,
Jak na łożu z bławatu, spójrzy na tortury.
Dumny kacie! duch jeden, żartuje z twéj ręki!
Ojczyzną jego świat jest wielki, niedościgle
Słońce, gwiazdy dziedzictwem—on odsuwa rygle
Zamku niebios, z niebieskich gmachów rzuca ognie;
On słowem, wody morskie w srebrne wały pognie,
On wiatrom technienie daje, gór pasma rozciąga,
On sprawił koło czasu, wiek sypcha po wieku;
Jemu stanęła ziemia w kształt chwały posaga,
A ty sam, Boże wielki, widzisz się w człowieku!

Co za brzęk?—ha—dwunasta godzina wybiła!
To czas w którym najtejsza nocnych duchów siła!
Zadrzałem?—ja?—i przed kim?—czym nie wyższym duchem?
Ja, który myśli mojej olbrzymim łańcuchem

Ludzi samych krępuję jak nędzne robaki!
Ja, który myślą moją jako ptak nad ptaki
Wzbijam się w oka mgnieniu gdzie skrzydło jej niesie!
Chcę—i myśl jako olów przeszłość do dna wierci,
Chcę—w przyszłość strzelam, przyszłość jako papier drze się,
Chcę—myślą czas uderzę, czas leci na ćwierci!
Ściganiem rzeczy ziemskich gdy uczucie znużę,
Duch mój do nieba leci błyskiem wyobraźni,
Da znak, i twórczym znakiem wydmie skrzydłachmurze;
Olbrzymią wołą chmurę do burzy rozdraźni,
I sam na haftowanym rojem błysków tronie,
Gdy siądzie—niebo nad nim, ziemia pod nim leży:
Orle, monarcho ptaków!—czém moc twoich pierzy?
On wiatry nieścignione ujarzmił za konie!!

Dziś przecie—ha—dla czego tak mi głucho, ciemno?
Ze wszystkich gmachu kątów dym się jakiś wzdyma;
Każda cegła, przeszłości rdzawemi oczyma
Spogląda, jakby cały stary wiek był ze mną!
Dreszcz mnie zimny przechodzi—to zimne powietrze!
Nic więcéj—czémże z resztą przeszłości obrazy?
Nicém!—są to umarłych języków wyrazy,
Którym czas życie dawne i znaczenie zetrze;

Potrząskanym przez piorun gałęzistém drzewem,
 Które było—a teraz wypróchniało leży;
 Strónkami—które kiedyś głośnym brzmiały śpiewem,
 Dziś ledwie brzęk wydadzą gdy w nie myśl uderzy!

Terazniejszy świat tylko jest wielki, jest boski;
 Przeszły, przyszły są niczém!—tak mi rzeźwiój, lepiój,
 Duch mój—czuje jak leci—jak się niebios czepi—
 Widzę gwiazdy!—nie gwiazdy, to stworzenia głoski;
 Pierwsze które Bóg skreślił; czytam w nich jak księżde,
 Czytam! czuję!—kto mojej zaprzeczy potędze?
 Uciekacie?—na próżno—ja za wami pędzę :
 Na lżejszych myśli skrzydlach, chcę, zrobię was niczém;
 Chcę—z wschodu w zachód wszystkie, woli mojej biczem
 Jak drogą trzodę błędną, po mlecznym obszarze
 Poprowadzę, i w wieczną przepaść was utopię!
 Ha—co to jest—gdzie gwiazdy?—ludzkie widzę twarze!
 Ludzi pełno, miliony, światy, przy ich stopie
 Leżą jak sługi wierne, gdy rozkażą pańy.
 To nie światy—to chmury—jako snop przy słońcu:
 To nie chmury—zawoje—ksnące się turkany
 Srebrem tkane—na wschodzie rozsypane w kłę,
 Ku wam wyciągnę ręce moje jak świat słońce czoło:

Niechaj zawój rzeźwiący jak laurowy wieniec,
Orzeźwi skronie moje!—niechaj z nieba rosa
Spadnie tutaj—niech w tęcze zegną się niebios
I dotkną czoła mego—potrzebne ochłody!
Nie słuchacie!—jam silny, jam w wieku młodzieniec.
W myśli jest dusza Stworcy!—nie słuchacie Pana?
Dobrze! a więc zginiecie. W kroplę mętnej wody
Ścisnę was—albo skórę—i na rozkaz duchy,
Niższe duchy, jak wiatry ostrożne z rana
Rozchwieją was na strzępki—na pierze—na puchy,
I bez śladu zginiecie! — Nie słuchacie jeszcze?
Wy więc duchy nadziemne sługi méj potęgi,
Posłuszne mi jak oku abecadło księgi,
Jak sercu czującemu są natchnienia wieszce,
Was wzywam—tu stawajcie! Ziemim prawda synem,
Ale wyższym od innych, bom wolnym człowiekiem;
Mnie piersi macierzyńskie nie karmiły mlekiem;
Męczarniami, jam wyrosł—myślą, czuciem, czynem.
I tak jak Cerber piekło wrzaskiem trójpaszczęki
Obszczekiwał przed laty, stróżem będąc czujnym,
Tak ja was grzmącą piersią, zakłębem potrójnym
Wzywam do stawania—znak daję méj ręki!

Ha—głosy?—to ich głosy!—jakiś akord dzwonią!
Słucham was!—jak duch wiatru na Eolskiej lutni
Tak miłe, ciche głosy—plyńcie, plyńcie duszy!
Mocniejsze—palce w biegu jedne drugie gonią—
Wolniej—z kąd ta żalność?—brzmią słabiej i smutniej,
Ledwie czasem strunami ręka lekka ruszy.

SPIEW ZA MUREM.

Pośród śniegów i zamieci,
Gdzie w przepaściach dróg są końce,
Przewodnikiem białe słońce,
Któż tak spieszy, któż tak leci?
 To młodzieniec, zapaleniec,
 Szuka dawniej serca straty
 U nóg Alpy lodowatej!

Tam w dolinie, przy leszczynie,
Pełno kwiatów, pełno drzewa;
Strumyk cicho mrucząc płynie,
Słowik nad strumykiem śpiewa;
 Lecz młodzieniec, zapaleniec
 Szuka dalej, swojej straty,
 Minął strumień, chłód i kwiaty.

Śmiech, zabawa — tańców wrzawa,
Ledwie miejsce wśród natłoku;
Jeden tylko w kącie stawa,
Białych liców, ze łzą w oku,
I żałobnej, smutnej szaty!
To młodzieniec, zapaleniec,
Staął — płacze serca straty!

Czegóż wzdychasz zapaleńcze!
Świat ci się wkoło uśmiecha;
Ja ci kwiatem czoło wieńczę,
Czyż kochanka nie pociecha?
Próżne miłości wypłaty,
To młodzieniec, zapaleniec,
On wciąż dawniej płacze straty.

Sen ci wieczny, żony może,
Przyjaciela zamknął oko?
Smutek i płacz cóż pomoże?
Przecież on wzdycha głęboko!
I młodzieniec, zapaleniec,
Jakby we łzy był bogaty,
Wciąż nieznaną płacze straty.

Czas się zmienił, ludzie z wiekiem,
Wiosna pierzchła, przyszła zima ;
Ten co młodym był człowiekiem,
Kij w zesłablój dłoni trzyma.

Znikł młodzieniec, zapaleniec;
Starzec z niego wyrosł siwy!
Ale starzec był szczęśliwy!

On z wędrówki smutnej, długiej,
Szukając straty nieznaniej,
O rodzinne trącił ściany
I rozpoczął żywot drugi.

Dziś weselne przywdział szaty,
Lubi ludzi, góry, kwiaty,
Bo w ojczyźnie jak przed laty!

Wojczyźnie?—kto to wyrzekł?—stójcie—nie już więcej!
Myśli moje się płaczą, gdzie jestem? gdzie byłem?
Obrazy krążą jakieś przed okiem zawilém :
Widzę krew!—głowy lecą ludzi stutysięcy—
To bracia moi!—gdzie kat? pomszczę się krzywd braci!
Broni! broni!—chcę—muszę—ręka moja dzielna,

Dusza wolna, olbrzymia, wielka, nieśmiertelna—
Gdzie oni?—gdzie ludzkości krwią spryskani kaci?
Co za orszak żałobny kurzem z ziemi krwawej
Kłębi się i wysuwa—w oczy mi zachodzi?
Wiatr go pędzi,—nademną płaszczem się zawiesza,
Spada—spada już na mnie!—wiatr jak powiew sławy
Dawniej, zamilkłej czuję—w przypomnień powodzi
Tak jasno—przy mnie, wemnie przodków wstaje rzesza.
Znam was duchy zagasłe—ziemia waszą matką,
Niebo ojcem—ha!—błysło gwiazd czystych zrzenicą!
W piersiach moich tak lubo—gwiazdy mi tak świecą!
Świećcie, świećcie, bo serce—bije wolno—rzadko.
Usypiam jak ta piosnka, śpiew młodzieńca straty:
On w ojczyźnie jak przed laty.

GŁOS ZA OKNEM.

Wacławie!

WACŁAW.

Moje imie?—kto woła me imie!—
Precz, precz, idźcie odemnie nikczemna gawiedzi!
Jak z spalonego drzewa dym w niebo wyrasta,
Tak z wieków ognia duch mój błyskiem ciągnie w dymie
Do wyższych światel, kędy Bóg na słońcu siedzi!
Depczę znikome groby, w gruzach ległe miasta;
W ciele mojem jedynie wasze jeszcze ciało;

W duchu moim duch wieków, tkanką w myśli szacie;
 Dziedzictwo wasze mojem dziedzictwem się stało :
 Duchy dumne, dumniejsze dziecko, syna macie!

GŁOS ZA OKNEM.

Wacławie!

WACŁAW.

Znam głos,—znikły—marzenia!—marzenia!

GŁOS ZA OKNEM po raz trzeci.

Wacławie!

WACŁAW przybliża się do okna.

Co za postać wyrasta z kamienia ?

Lutnia w ręku—włos dziko rozpuszczony z głowy
 Rusza się—blada jakby posąg marmurowy—
 Ten głos...

HELENA siostra Wacława wbiega i rzucając mu się do szyi.

Jest siostry twojej—przyjaciółki—więcej—
 Twoje słowa—sny dzikie—żał jakiś dziecięcy
 Burzą i niepokoją; wybiegłam więc z domu,
 Szukać ulgi, pociechy, której mieć nie mogę.
 Wiatrom skarżyć się chciałam gdy nie mam nikomu;
 Lutni brzmieniem łzom rzewnym przynieść zapomogę,
 I błdzić, płakać chciałam. Czy ręką anioła
 Wiedziona na tę zamku wyblądziłam drogę,
 Nie wiem—bo wszystko było tak ciemno do koła.

Ale bracie! tyś blady—oczy twe zbłąkane—
Co ci jest?—milczysz—Boże!...

WACŁAW.

Co mi jest?—nic wcale!
Jam wesół, lecz patrz—widzisz— (wskazuje.)

HELENA.

Starą widzę ścianę;
Twoja pochodnia gaśnie—to cień twój pochodni.

WACŁAW przychodząc do siebie.

Śmieję się! Prawda, człek czasem w szaleństwie, w zapale
Widzi—przecież nic nie ma. Teraz lepiej, chłodniej,
Ach śmieję się zemnie siostrze!—człowiek dziwny czasem!
Jakby od świata jakim czarnoksiężskim pasem
Oddzielony—ma swoje głupstwa, przywidzenia,
Gotów płakać choć nie jest w nieszczęściu, w ucisku;
Jak ten co na publiczném będąc widowisku
Łzy i śmiech, razem z sceną, z kulisą odmienia.
Czasem myśli że widzi—a pusto przed okiem,
Czasem myśli że słyszy—a w około głucho,
Czasem myśli że czuje—a to krwi drażnienia;
I tak płynie dzień po dniu, rok zbiega za rokiem,
I czas zwodzi—i serce—i oko—i ucho.—
Siostrze śmieję się—to wszystko głupstwo, przywidzenia.
Więc i myśl marą tylko?...

HELENA.

Uspokój się bracie!

WACŁAW żywił.

Ale czemuż litości nad nami nie macie?
Co tobie szkodzić mogły sny moje dalekie
Żeby je rwać i niszczyć? Kiedy myśli lekkie
Wzbiją nas choć na chwilę, wyżej, trochę wyżej.
Otóż ojciec już biegnie—siostra—brat—znajomy,
Choć żaden się do ciebie na krok nie przybliży!
Každy—jak ów przewodnik co z chmur sączy gromy,
Dla ostrożności domów wyrosły nad domy—
Stosunkami, przyjaźnią—wabi cię z daleka,
Póki na nowo w glinę nie wlepią człowieka!

HELENA.

Gniewasz się na mnie?

WACŁAW.

Gniewać?—tożby gniewem było?

O nie wierz temu; mnie zawsze tak miło
Być w towarzystwie ojca, brata, siostry!
Dziś tylko—bo wiatr tak zimny i ostry,
Dziś—noc tak ciemna—dziś—chmury tak płyną—
Gdyby nas ojciec, kto inny zobaczył?
Jakżeby dziwnie rzecz tę wytłumaczył!
Niewinna, sama byłabyś przyczyną

Szyderstw i obelg — kar i potępienia.
Ja może dzisiaj — jutro bez wątpienia...
Porzuć te płacze. Bóg czuwa nad wszystkiem :
On wszak i ciebie nie puści z opieki,
On widzi listek i czuwa nad listkiem,
On jarzmi wiatry, oprowadza rzeki;
Wszystkim strumieniom bieg po świecie znaczy,
Miałżeby ludzi opuszczać jedynie?
Smutek ci łzami z serca nie wypłynie,
Nadzieja słaba — noc wielka rozpaczy!
Porzuć te płacze — zapomnij! — z kim innym —

HELENA.

A! tak się świadczę Bogiem i sumieniem
Żem ja niewinną aleś ty jest winnym!
Więcze myśliłeś że jak wy — my zmienim
Za każdą chwilą — duszę — oltarz — Boga?
Ach! kto anioła ocenił w swój duszy,
Ten się na słowo śmiertelnych nie wzruszy :
W piekło i w niebo, nie też sama droga!
O nie — tyś mocny — i ja mam przysięgę,
I jak ty mogę przekleństwami władać,
I jak ty słowa okropne wygadać,
I jak ty... dusza wszędzie ma potęgę —
Więc słuchaj, słuchaj, zapóźna twa rada!

Bóg moim świadkiem...

WACŁAW.

Biada, stokroć biada!

Kto Boga wzywa w zabronionej sprawie!

Tys siostrą moją!

HELENA.

Czyż to sen na jawie?

Czyś mi sam lilią nie dawał w przykładzie,

Która kochanków w jednej ma łodydze?

Ależ ja błędna wierzyłam! Dziś widzę,

Nie trzeba sądzić serca po ust radzie!

Wacławie! — bracie! — nie, ja mocy nie mam

Robić wyrzuty, kiedy kocham szczerze.

Śluchaj! ja twoim wszystkim słowom wierzę;

Jako pacierza twych się sądów trzymam,

Tylko mi kochać nie zabraniaj siebie!

Przecież jeżeli Bóg w potężnym niebie

Grzesznika duszy nie odrzuca w gniewie,

I ty aniele, nie odrzucaj mojej!

Kobieta czasem powie, sama nie wie,

Dla czego jej się taka myśl uroi,

A potem płacze nad każdą literą.

Kiedy nam myśli uczucia zabierą,

Wtenczas — o przebac — przebac przyjacielu!

Jam cię musiała rozgniewać w zapale;
Może po latach upłynionych wielu
Widząc łzy ciągle, pokutę i żale,
Cudów nie zechcesz wymagać odemnie!

WACŁAW.

Wyrzutom służą wyrzuty wzajemnie.
O liliim gadał! — któż zaś nie pamięta?
I przytém ręce całował i usta!
I jam cię uczył że to rozkosz święta!
Błąd pierwszy, rajski? — to była rozpusta!
Nie prawda sestro?

HELENA.

Nieprawda!

WACŁAW.

Przypomnij!

To rzecz jest wielka — wiem, późni potomni
Uczyć się tego będą na wyścigi!
Jam ciebie — tylko wspomnij sobie lepiej,
Jam cię zachęcał żartować z religii!
Bo jedna zbrodnia drugą zbrodnię krzepi.

HELENA.

Nieprawda!

WACŁAW.

Także? — wszelako o lili

Mówilem długo — pamiętam — wieczorem
Jam wracał, jeśli pamięć mię nie myli,
Z kościoła — przyszłaś pytać czy nie chorym,
Wszyscy pytali — byłem słaby mocno!
Lecz nie na ciele — na umyśle słabym!
Czułość w słabości potrzebną, pomocną.
Żle ze mną było — bo wtenczas — ach jaby
Wszystkie roztargał człowieczeństwa węzły,
Byle te myśli co w duszy uwięzły,
Wysadzić z głowy, wyrugować z serca!
Siostró! tyś przyszła jako anioł do mnie,
Jam ci o lilii wspomniał bezprzytomnie,
I tak brat siostry własnej przeniewierca!

HELENA.

O nie — tyś wyrzekł — nie wtenczas — przypadkiem —

WACŁAW.

Więc z czystą duszą, Bóg jest moim świadkiem!
Czyż mogłem przeczuć że z słowa jak z ziarna
Kwiat zakazany w twém sercu wyrośnie?
Dostrzegłem ale za późno, niestety!
Z białości plama nie wychodzi czarna!
Siły rodzącej nie zatrzymasz wiośnie!
Miłości z serca nie wydrzesz kobiety!

Chciałem! napróżno! — cóż pomoże słowo!
Gdzie czucie nie ma ucha dla wyrazu?

HELENA.

Nie mów tak, nie mów! — jam była gotową
Każdy cień twego wypełnić rozkazu!
Tylko ta miłość!

WACŁAW.

Zbrodnią nazwij raczój!

HELENA.

Miłość czy przyjaźń — cóż mi słowo znaczy!
Miłość czy przyjaźń — jam ciebie kochała!
Ty że mnie kochasz, już od tego razu
Nigdy nie słyszę — gdzież nadzieja cała?
Twój głos codziennie zimny, groźny bardziej!
Wacław pieśczętą siostry swojej gardzi!
Mowa twa czuła, dziś jak księga mistrza!
Wiary nauką twoje myśli trącą,
Duszę mi lodem wyziębiasz gorącą!
Bodajby zimna, Bogu była czystsza!

WACŁAW.

I będzie pewnie. Słuchaj — czas już nagli —
Mnie wyższe z sobą porywają cele :
Wolność, ojczyzna, wrogi, przyjaciele!
Jutro — dziś jeszcze — pełnym wiatrem żagli

Ja płynąć muszę — ty módl się za brata.
Powrócę może — za rok, za dwa lata —
Nie płacz — o! prędkiej — skoro będzie można.
W świat mnie dziś gwiazda wywodzi podroźna!
Może i kiedyś... lecz patrz — co za luna?
Brzask dzienny świata, na dół zejść nam trzeba.

* * *

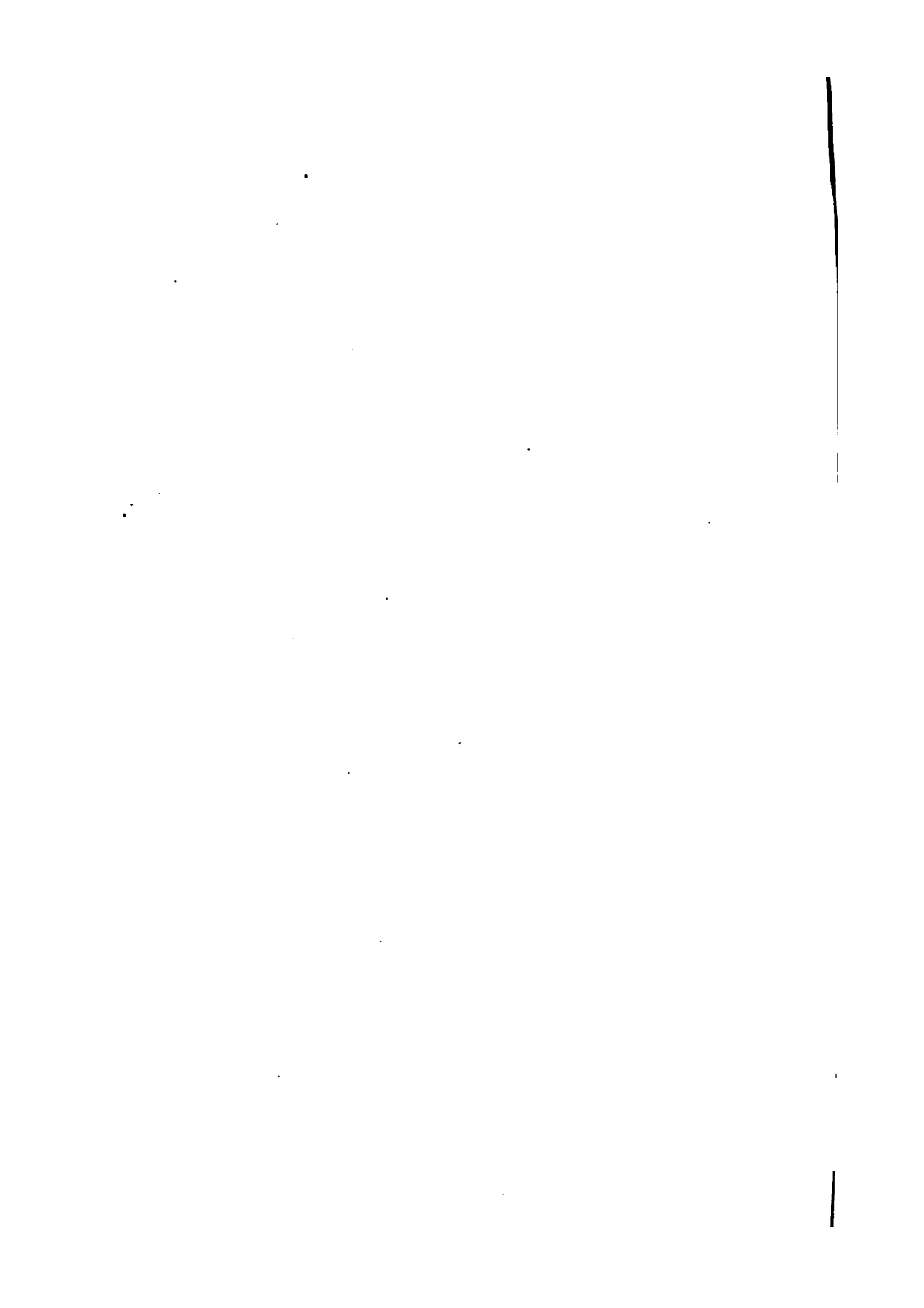
I w rzeczy samej, z nocnego całuna
Coraz się bardziej wysuwały nieba;
Z wschodu na skrzydłach porannej zamieci,
To śniegu tuman przez parowy leci,
To się na polach rozwietrza wir piasku;
A czujny rolnik wstawszy przed drugimi
Widział jak z góry przy głuchym stóp trzasku,
Człowiek, jakoby duch z tamtego świata,
Unosił dziewczę jako duszę z ziemi,
I znikł na dole, jak cień co przelata.

ZAKOŃCZENIE.

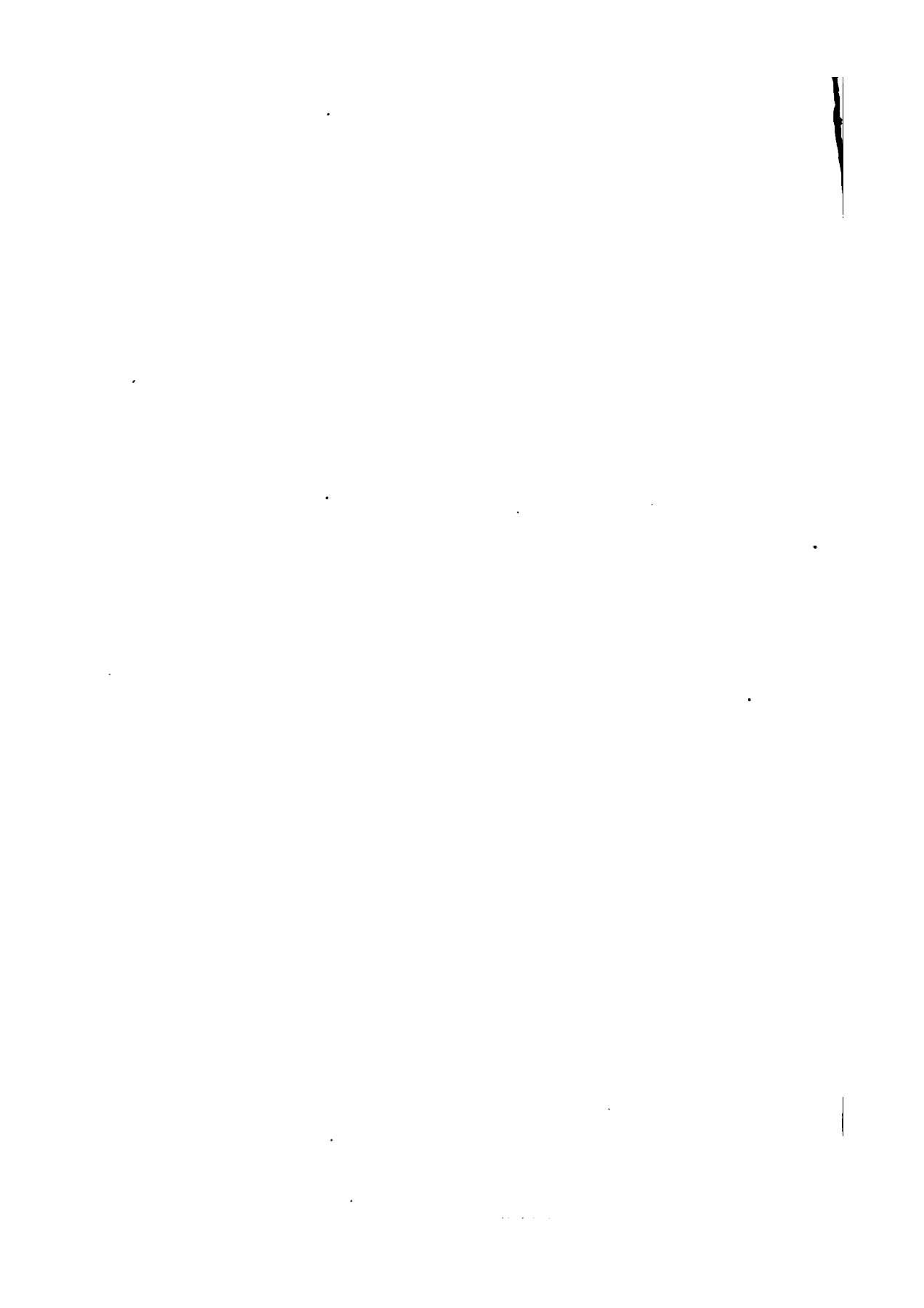
Wacław wyjechał — dokąd? — na świata obszary —
Krótkim był w pożegnaniu — uściśnienie dłoni,

Łza w oku, bądźcie zdrowi! — Czyż spełni zamiary?
Czas okaże — a pióro wieszczą wam odsłoni!
Jam chciał mu pieśń ostatnią, śpiew nócic podróży!
Ale zaledwie myśli skrzydłem się uniosły,
Wypadło pióro z ręki — bo pod piórem rosły
Inne, okropne słowa! i nie śpiewam dłużej!

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.



WIERSZE RÓŻNE.



WIZIA.

SCENA FANTASTYCZNA.

(Noc późna — pokój — na stole lampa, książki i papiery; przy nich młody człowiek siedzi zamyślony, rzuca pióro z niecierpliwością.)

Darmo! — pisać nie mogę : myśli jako mary,
Przesuwają się we mnie, bez duszy i ciała ;
Jak na wiatr rozpuszczone wojenne sztandary,
Rwą się w górę — unoszą, — ale w nich nie pała
Orzeł, ich godło święte : tak myśli bez ładu,
Wznoszą ducha, lecz drogi nie wskażą poecie !

Chciałbym mu wszczepić w rysy, w twarz, brzydotę gadu,
Wynaleźć co najgorsze, najpodlejsze w świecie,
I tém mu serce wypchać; oczy mu tygrysa
Wzrokiem zatlić, a usta przepelnić zarazą.
Niech mu się w piersiach serce jako miecz kołysa,
Niech zabija uczuciem ; a za każdą razą,
Gdy westchnie, niech to tchnienie, mór i dżumę szczepi.

Ale i to jest niczém — stokroć mógłbym lepiej —
 Ha! — godzina wybiła — północ — lampa gaśnie —
 Światła! światła! — nie słyszą; tak smutno, tak ciemno!
 Co to za głosy! — wrzawę gdzieś słyszę podziemną!...

GŁOSY.

My tobie na ratunek przybywamy właśnie.

POETA.

Czary! czary! na pomoc! w imie ojca, syna!...
 Sklepienie już zapada — ściana się ugina —
 Znow światło — jakieś cienie wzrastają na ścianie —
 Jakie ich oczy, uśmiech! — wszyscy patrzą we mnie —
 Pójdź precz w Imie Najświętsze przekłęty szatanie!
 Bo broń przy mnie, już w ręku, jak psu w łeb wystrzelę!

GŁOSY.

Próżno się srożysz, gniewasz i krzyczysz daremnie!
 Nie człowieka jest godném ustawać w swém dziele,
 Więc poznaj mnie prawdziwie, opiszesz dokładniej.

POETA.

Idzie ku mnie, a za nim tysiące tysięcy.
 Każdy rośnie w olbrzyma — znow więcej i więcej —
 Oczom moim nieznośni — okropni — szkaradni!...

(Cienie znikają, stara baba na klju wsparta wchodzi, i patrząc w oczy
 młodzieńcowi, mówi.)

He! — zkad ta wrzawa tutaj! — cóż ci to paniezu?

Krzyczysz, jakby złe duchy obsiadły cię rojem;
Litość mnie szczerą wzięła nad nieszczęściem twojem,
I dla tego przybywam.

(Śpiewa.)

Mam mego konika,
Trzaskawkę przy biczu;
On w czwał się pomyka.
Czarny jest jak smoła,
Mój koniczek drogi;
Gwiazdkę ma u czoła,
I gwiazdkę u nogi.

Gdy siadam, przyklęka,
Gdy wsiądę, wiatr goni;
Tak zwrotny jak ręka,
Najlepszy koń z koni.
Falą jego grzywa,
Błyskawicą oczy;
Strumienie przepływa,
Parowy przeskoczy.

Mam mego konika,
Héj! piękny paniczu,
Patrz jak się pomyka...

(Do młodego, widząc że na nią nie uważa :)

Cóż ci się stało? powiedz — nikogo tu niema,
A przecież gdzieś tak sięgasz głęboko oczyma;
Ocknij się!

POETA wciąż spoglądając w jedną stronę.

Tam — tam stoją — i grożą poczwary.

CZAROWNICA.

Dziwny z ciebie jest człowiek — tam pies leży szary,
I od niego na ścianę cień zwyczajny bije.

POETA przychodząc do siebie.

Kto tu jest — kto tu mówi?

CZAROWNICA.

Jak ty, człowiek drugi.
Widząc żeś przyjacielskiej potrzebny usługi,
I że ręce niczyje...

POETA spostrzega czarownicę, ale bez przestraszenia.

Co tu robisz — tak późno? W mojem całym życiu,
Nigdy takiej brzydoty nie widziałem jeszcze.

CZAROWNICA.

Wierzę temu — po wielkich domach się nie mieszczę;
Skromna, żyję nieznana w dalekiem ukryciu,
I ledwie czasem kiedy wychodzę na zwiady,
Albo udzielać rady, lub potrzebna rady;
Z téj to właśnie przyczyny do ciebie przychodzę.

POETA.

Zkąd? dla czego? sam błędę na złej świata drodze!
Drugiemu rad udzielać nie jest mym zwyczajem.
Więc prędko—czego żądasz?—krótko zbądźmy sprawę.

CZAROWNICA.

Ze snów cię wyprowadzić i wywieść na jawę!

POETA.

.. Szalona, w snach nie błędę!

CZAROWNICA

A jednak poznajem

W cieniu czarta— a w kundlu złego ducha z piekła.

(Pierwsza bje.)

Patrz— godzina znów cała na niczém uciekła.
Gdy kur wrzaśnie, noc zniknie, z najrychlejszym brzaskiem
Ja daleko być muszę — nie traćmyż więc czasu.
Ty jeśli diabła poznać zechcesz bez hałasu,
Ja go przywabić mogę — słowem — biczem trzaskiem—
Zakłębem— jak gdzie komu, bo różne sposoby.
Pewnieś i ty go nie raz widział, nie sto razy;
Tylko że zwykle w różne stroi się obrazy,
Tyś w nacisku prawdziwej nie odgadł osoby.
Dziś ci go więc dokładnie wskazać myślę palcem.
Złeś z resztą o nim sądził, że zmiją, padalcem;
Wyższym on tworem Boga, tak jak inni ludzie.
Patrz i słuchaj!

(Śpiewa, rzucając jakiś proch w lampę, która się jaśniej palć zaczyna.)

Niech w tym cudzie
Pierwsza postać się ukáže;
Robię znak potrójny w kole,
Krzyżyk górą, krzyżyk w dole.
Ukaż się, nim wszystko zmaże!

(Podeszłego wieku człowiek pokazuje się — siedzi on przy stole — przed nim
Biblia — pióro trzyma w ręku i pisze.)

CZAROWNICA do młodzieńca.

Czy widzisz, czy poznajesz? — to mędrak zwyczajny,
Może jaki profesor, albo radca tajny;
Greczyzną i łaciną wznioł się trochę z tłumu,
Umie z resztą i prawo — ma dosyć rozumu.
Słuchaj, bo czytać będzie:

(Człowiek ów podeszły mówi głośno pisząc :)

Trzech jest w jednym? — czyste duby —
Słowo ciałem? — co za myśli! —
Kto mi w koło kwadrat wkryśli,
Kiedy łatwo mieć z rachuby,
Że co prosto, to nie krzywo?
Ha? z tą Biblią nieszczęśliwą!
Stara wszystkim męczy głowy,
Gubi ich testament nowy!

(Znalka.)

(Czarownica syje nanowo w lampę prochu — płomień coraz jaśniejszy.)

(Śpiewa.)

Znak zrobiony, drugi — trzeci —
 Znak uczucia i natury;
 Niech się w tył posuną mury,
 Płomień jaśniej niechaj świeci!

(Mury się wysuwają — pokój się zwiększa — widać grupę ludzi — u nóg ojca
 leży córka we łzach — opodal stół oparty na worze pieniędzy jej narze-
 czony.)

CÓRKA.

Ojcze, ojcze, lica miękną
 Od łez które leją co dnia;
 On ma duszę taką piękną,
 Czyż aniola kochać zbrodnia?

Jego życie pełne troski!
 W jego sercu zapal rzadki;
 Nie ma ojca, nie ma matki,
 Wgnany z rodzinnej wioski.

Jeśli ty odrzucisz dziecko,
 Któż dziecku pobłogosławi?
 Żal mi duszę młodą strawi,
 Zginę jako cień na świecie!

OJCIEC odpychając gwałtownie córkę:

Precz od nóg moich — idź wiatrom nieść żale!
 Ja nie mam ucha na romansów bluzgi.
 Głupstwem, dubami wylepione mózgi,

Nicze z rozumu nie macie w podziale?
 Nigdyż waszego dobra nie poznacie?
 Od najbogatszych jeździł swat po swacie,
 Napróżno — czemu? — bo kocha biedaka.
 Dzisiaj, gdy znowu pan się wielki zdarza;
 O rękę prosi — jój odpowiedź jaka?

(Podrzeźniając.)

« Nie pójde za mąż — prędzęj do klasztoru. »
 A ja ci na to : pójdzies do ołtarza,
 Tak ojciec każe — nie ma tu wyboru!

(Znikają.)

CZAROWNICA śpiewa.

Kubkiem morze w dołek zlewać,
 Myślą nędną mierzyć bóstwo,
 Zaprzysięgło ludzi mnóstwo,
 Czegoż po nich się spodziewać!

POETA.

Stara to piosnka! ci wyzwani cudem
 Ludzie, są tylko ludźmi zwyczajnymi;
 Znałem ja takich między prostym ludem,
 Znałem ich tysiąc pomiędzy możnymi;
 Zwyczajne, codzienne, podobne wypadki...

CZAROWNICA.

Tém gorzej — widać że diabeł nie rzadki.

PORTA.

Lecz jego postać?...

CZAROWNICA.

Chwilę jeszcze, chwilę!

(Kreśli koła, rzuca nowego prochu w lampę — coraz jaśniej.)

(Śpiewa.)

O wy, co w zimnej mogile
 Spoczywacie;
 Wy co niegdyś brat przy bracie,
 Za cnotę, wolność walczyli,
 I czy legli w bitwie, czyli
 Dotąd jeszcze żywot macie,
 Tą przysięgą, tém zaklęciem,
 Temi prośby, tym rozkazem,
 Nam co pamięć waszą święcim,
 Ukażcie się wszyscy razem!

(Plac bitwy — widać dwa wojska daleko walczące z sobą — bitśej dowódcy radę składają wojenną.)

· NAJSTARSZY.

Tak stoją rzeczy: piędziesiąt tysięcy
 Mamy żołnierza — oni trzykroć tyle.
 Zbijemy tych tu — pięćkroć poślą więcej —
 I chociaż ufam narodowej sile,
 Choć pod sztandary starzec i młodzieniec
 Z zapalem biegnie, życie niosąc w darze,

Widzę, ach! tylko męczenników wieniec;
 Ten wam dać mogę, na śmierć was powiodę!

JEDEN z dowódców.

Cóż rzecz bez skutku — ja przekładam zgodę.

DRUGI.

Układy mogą zakończyć się z chwałą.

TRZECI.

Gdy dzieło wielkie zaczętem zostało,
 Niechaj krew płynie — a więc moją radą
 Wciąż bić, mordować i wojną i zdradą.

Tylko prędko, tylko śmiało,
 A zwyciężym niezawodnie.

WIELU.

Szał! nierozsądek! marzenie!

CZWARTY.

Próżno krew przelewać, mienię
 Zbrodnią! — nie dam głós na zbrodnie. —

PIĄTY.

Krew o pomstę woła z czasem.

SZÓSTY.

Ale kiedy złe za pasem,
 Kiedy żołnierz jest bez chleba,
 Nie poezye pisać trzeba.

WIZIA.

157

SIÓDMY.

Śmierć wymówić bardzo snadnie,
Tylko umrzeć nie tak łatwo.

ÓSMY.

Cóż się stanie z żoną, z dźiatwą,
Jeśli nam zginąć wypadnie?

INNY.

Nieszczęśliwym Bóg jest bliżki,

WIELU.

Do kreskowań — zbierać kryski.

NAJSTARSZY.

Sześć za wojnę — trzydzieści głosów za pokojem,

WIELU.

Przystajemy na układy.

INNY.

Więc skończone już narady.

WSZYSCY watając:

Z krwawym bojem!

(Zalkaja.)

CZAROWNICA śpiewa.

Wzgardzili myślą ofiary.

I dla tego upaść muszą!

POETA.

Widzę czary i nie czary!

CZAROWNICA.

(Znów koła robi — ogromny błask z lampy — widać kraj obcy
za powalonymi ścianami pokoju.)

(Śpiewa.)

A wy co bez duszy z duszą,
Co bez serca, mając serce,
Ludy! cnoty przeniewierce,
Tu stawajcie na me słowo!
Braci waszych ciężkim jękiem,
Złota miłym dla was brzękiem,
I mówców głupich czczą mową,
Zaklina was moje słowo.

(Lud się pokazuje — w środku trybuna — krzyże obalają.)

LUD wola.

Zrzucić krzyże!

MÓWCA na trybunie.

Posłowie ludu! żołnierze!
Minęły czasy ślepoty,
W których człek dla marnéj cnoty,
Krew przelewał — gardząc zyskiem.
Dziś wiek złoty
Już nadchodzi, już jest bliskim.
I dla tego śmiało sądzę,
Że krew nasza i pieniądze,

Jak i ludzie naszej ziemi,
Tylko — tylko są naszymi!

CZAROWNICA daje znak.

Precz szatanie!

(Znikają.)

(Robi koła ostatnie, śpiewając.)

Niechaj stanie

Teraz w oku

Szatana postać,

Jak po wieków, lat potoku,

Ma zostać.

POETA.

To człowiek!

CZAROWNICA.

Bez serca!

(Znika — lampa dogorywa — poeta się budzi z letargu.)

NABOŻEŃSTWO TEGOCZESNE.

SCENA FANTASTYCZNA.

Kościół. W głębi ołtarz, przy nim ksiądz w ornatach nieszpornych. Koło ołtarza chór kobiet i dzieci z jednej, chór starców z drugiej strony. Na środku zakrystyan ustawia katafalk na exekwie. Koło katafalku klęczy młoda dziewczyna w żałobie, przy niej młodzieniec stoi zamyślony. Lud w kościele. Babcia na przodzie, do której różnemi czasami różni wchodzi.

KSIĄDZ obrócony do ludu mówi.

Pokój z wami!

CHÓR STARCÓW śpiewa.

W wieków wieki,
Prosić ze łzami
Będziem wszechmocnego Boga.
On synami
Nie pogardzi;
Wrogów Boga zdepcze noga;
Oni hardzi,
Szydzą z dzieci wiary twojej!

CHÓR KOBIEC.

Jako przed Matki obrazem
Zawieszzone lilie, róże,

Tak my razem
W modłów chórze,
Niebo, Boga obwieńczemy.
Łaski chcemy, cudów chcemy,
Nie my, nie my!
Kraj, ojczyzna, wolność ludu.

Z Twego cudu,
Kiedyś człowiek trząsał światem,
Słońce w biegu się wstrzymało,
Słowo się przelało w ciało!
Dziś brat z bratem
Wojnę toczy, mordów chciwy;
Ojciec, syn nasz, mąż nieżywy;
I krew płynie, i krew płynie!
Ale Pan Bóg w niebios gmachu,
Słowo rzeknie, ręką skinie,
A z przestrchu
Padnie na twarz syn człowieczy.
Z twojej pieczy
Nie wypuszczaj nas, o Panie!

CHÓR DZIECI.

Cóż się z nami dziećmi stanie?
Matka nasza we łzach tonie,

Brat nie żyje;
Naś, na łonie,
Nie pieszczą ręce niczyje!
Jeśli ty opuścisz, Panie,
Cóż się z nami dziećmi stanie?

DZIEWCZYNA.

(Klęcząca przy katafalku w zachwyceniu.)

Raz tylko jeszcze spójrzę w twoje oczy!
Zamykasz — giniesz — chwilę tylko chwilę —
Słowo nie więcej — jeden znak proroczy,
Jedyne tchnienie — tyle tylko, tyle,
Bym twoich skrzydeł lekki ciąg słyszała!...

POSEUGACZ KOŚCIELNY.

Od zmysłów prawi — przestrzedz ją wypada —
Hem! — w górze nie ma ni ducha, ni ciała.

DZIEWCZYNA wciął w zachwyceniu.

Zniknął — nie — jeszcze plamka jakaś blada —
Patrz, patrz — to gwiazdka, jak błyszczący, jak świeci! —
Pęka sklepienie gwiazdka w górę leci —
W niebie — już w niebie — znikła — już jej nie ma!

POSEUGACZ.

Czegóż tak w koło spoglądasz oczyma?
Ocknij się przecie — toć to nasza fara.

KSIĄDZ u ołtarza do ludu.

Niebem jest wiara!

DWÓCH LUDZI.

(Wchodzi do babińca; jeden do drugiego.)

Ot patrzeć tylko jaka to oświata;
I tento naród o wolność się kusi?
Żal Święty Boże — próżna czasu strata,
Jeśli nie upadł, upaść w krótcie musi.

DRUGI.

Nie — to nie potrwa — choć ja z mojej strony
Robiłem wszystko, robię do obrony.
Wysłałem gońców z doniesieniem dworom,
Że chcąc kres jakiś położyć zaborom,
Dla dobra wszystkich wojna jest wydana;
Posłowie nasi, ludzie są z talentem;
Ale tak zmienić arbitralnie pana —
My? — darmo! — kończyć trzeba co zaczętem!

PIERWSZY.

Kończyć, zapewne, lecz sposobem jakim?
Do nieprzyjaciół trudno strzelać makiem;
A strzelby, kule, proch, nie starczą na to.

DRUGI.

Mniejsza o kule — ale cóż z zapłatą?
Skarb wycieńczony — w miesiąc, dwa najwięcej,
Wojsko bez chleba będzie i odzienia.

(W rozmowie wchodzi z bablńca do kościoła.)

KSIĄDZ u ołtarza do ludu.

Dziś ewangelia o chlebie nadmienia :

(Czyta.)

A wiarą stworzył chleba pięć tysięcy.

CHÓRY połączone śpiewają.

Błogosławiony Bóg w świętym Syonie!

Ufajmy Panu w życiu i przy zgonie.

(Dwóch młodzieńców w rozmowie zbliżają się do katafalku przy którym dziewczyna kłęczy.)

PIERWSZY.

Wiesz — ładna, bracie — zaczepić ją warto ;

Lecz patrz, czy widzisz — gębę ma otwartą,

Jak gdyby chciała ustami wiatr gonić :

A ręce jakże złożyła nabożnie!

DRUGI.

Tylko pomału — w tych rzeczach ostrożnie ;

Kto nie chce kłębka, niech nie sięga po nie ;

Początek tylko trudny na tym świecie.

PIERWSZY.

Ot to sentencya, jedna dobra przecie!

Bo co do innych, lepiej kopać w ziemi,

Niżli ich słuchać, lub się rządzić niemi.

DRUGI.

Rozumnie — widać żeś w naukach biegły,

I choć w obozie, myślisz po dawnemu.

PIERWSZY.

Tak — jam był — jestem — będę niepodległy;

Zagadka życia : nie dać się drugiemu.

DRUGI.

Dobrze! lecz cnota, lecz miłość bliźniego?

KSIĄDZ u ołtarza do ludu.

A on się spytał : czego ty chcesz, czego?

A czart mu na to : jeśliś Bożym synem,

Skocz z téj wieżycy i zatwierdź to czynem.

CHÓR DZIEWIC.

Strzeż nas, o Panie, od pokusy czarta!

Niech niezatarta

W pamięci naszej święta stoi męka.

CHÓR STARCÓW.

Patrz, przed Tobą lud twój kłęka :

I głosów tłuny

Krzyczą o pomoc sercem pełnym wiary.

Strzeż nas od dumy;

Niech w sprawie świętej,

Serca nasze i zamiary

Czyste zostaną; niechaj czart przeklęty,

Zdeptany już od ciebie, Boże, wielki Panie,

Drugi raz od nas zostanie!

CHÓRY POŁĄCZONE,

Niech w sprawie tak świętej
 Czart wiecznie przeklęty
 Zdeptany już od ciebie, Boże, wielki Panie,
 Drugi raz od nas zostanie!

PIERWSZY MŁODZIENIEC wciął z drugim w rozmowie.

O bliźnich, enocie, idź nauczać baby,
 Jeżeli która zaraz nie zadrzymie;
 Cnota — cóż więcéj nad czeze, marne imie? —
 W myśleniu, widać, bardzoś jeszcze słaby.

CHÓR DUCHÓW NIEWIDZIALNY z prawej strony.

Rozpuśćcie tylko myśli waszój skrzydła,
 A dzień dla was już ostatni;
 Jak ptaki w sidła,
 Jak ryby do matni,
 Złudzone wbiegną, i już, już ujęte;
 Jak orzeł ciągnie w słońce a w chmurach zatonie,
 Tak po rzeczy niepojęte
 Wy myślą chcecie sięgać — a Bóg wam w zasłonie
 Chmury, iskrę dał rozumu;
 A świat olbrzymi, człowieka krokiem
 Nie mierzyć nikomu:
 Bóstwo, zapału ujrzysz tylko okiem!

CHÓR DUCHÓW z lewej strony.

Głupstwo w świecie — żarty, żarty,
Żywo tylko w życia taniec;
Świat ten śmiechu tylko wart,
Jam jest zbawienia posłaniec!

(Tłum ludzi przechodzi na tę stronę z której głos ostatni był słyszany.)

KSIĄDZ u ołtarza.

Już się stało!

CHÓRY POŁĄCZONE.

Zagaśmy światło!

DUCHY z lewej strony.

Tylko śmiało!

CHÓRY POŁĄCZONE.

Już zagaszono! już ciemno!

(Młodzieniec który od początku całego nabożeństwa obok dziewczyny stał zamyślony, nagle budzi się jakoby z letargu i woła na wychodzących — lud się wstrzymuje.)

Stójcie! ze mną, bracia, ze mną!

Duszą wzajemną

Zatlimy zgaszone światło;

Ciemności na tło,

Rzucimy iskrę tajemną,

Iskrę wolności i wiary;

A słońcem błysnie gmach cały.

Czyn śmiały

Jak błysk strzaska w mgnieniu oka

Ich zamachy, ich zamiary.

Zgłuszymy myśli bezczelne,

A ramie dzielne,

A serce z ogniem świat stworzy!

Duch Boży

Przejmie śmiertelnych, jak słońce gmach nocy;

Wstaną prorocy,

I śpiewać będą tryumf dobrej sprawie.

Więc dalej, dalej!

A wy, co jako majtkowie wśród fali,

Żyjecie w obawie,

Syny ziemi! precz z kościoła!

Oto głos z siódmego nieba

Grzmiącą pierśią na was woła :

Wiary trzeba!

Wiara — mieczem archaniola,

Wiara z siłą — cuda czyni ;

Syny ziemi, precz z świątyni !

KSIAĐZ.

(U ołtarza, chóry połączone i lud cały powtarza.)

Wiary trzeba!

Wiara — mieczem archaniola,

Wiara z siłą — cuda czyni;

Syny ziemi, precz z świątyni!

**(Drzwi się kościoła otwierają — widać z daleka orły białe — słychać dźwięk
muzyki wojskowej — za młodzieńcem cały lud wybiega.)**

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ.

I

Za miastem w polu stoi drewniana wystawa,
I krzesło poręczowe stawiają na górze.
Lud się zbiera z okolic — to pewnie zabawa :
Zręczny sztukmistrz podskoczy w tancerskiej figurze.
Nie — na krzesle się spełni dziś ofiara krwawa !

Już z miasta turkot słyhać — lud z okolic czeka;
Idzie wojsko rzędami, karet liczne cugi ;
Na wystawie tymczasem zwijają się sługi,
Kładą chustę na poręcz — trumny zdięli wieka :
Taki zabieg na życie jednego człowieka !

Zbliża się wóz drewniany, i na słomy pęku,
Siedzi w bieli ubrany młodzian winowaty;
Przy nim kat, w purpurowym płaszczu, z mieczem w ręku;
Przed nim szarżą się księzca zakonnika szaty :
To dzisiaj wóz tryumfu — kaźnią był przed laty. —

Stanęli— wszyscy patrzą — weszli — sędzia trzyma
Wyrok — i po imieniu zawołał, i głowę
Przytęm schylił — i wojsko broń ze szczękiem ima —
Znów cicho — sędzia czyta wyroku osnowę :
Podpisano — zakończył — przebaczenia nie ma!

Patrzcie na to spokojne, choć blade oblicze,
Czyż zbrodnia w takim oku kryjówkę mieć może!
On jak baranek boży, obelgi i bicze
I krzyż dla braci dobra podejmie w pokorze :
Dziś ty go z mąk uwalniasz, umęczony Boże!

Płaczą wkoło — lzy ludu ściekają obficie;
On tylko nie zapłacze — jego wzrok niebieski!
On w życiu nigdy westchnień nie zawziął kobiecie,
I dzisiaj mocny w duszy u grobowej deski :
Czynem było, i czynem kończy swoje życie!

Próżno ksiądz z krzyżem w ręku do spowiedzi nęci,
Do wyznania ostatnich grzechów na tym świecie ;
Jego ducha już pieszczą aniołowie święci,
Do ojca swego wraca zatęsknione dziecię :
Nie dla niego są prawa — przeszłości — pamięci!

« Moja wiara na Boskiem objawieniu wsparta ;
 Bóg lepiej w sercu czyta niżli ziemscy ludzie.
 Tam uczucie, myśl jedna, więcej stokroć warta,
 Niż tu czyny wyrosłe przy mękach i trudzie :
 Tam życia mego cała zapisana karta ! »

Jeszcze, jeszcze nie skończył — a już kat przybiega,
 Więziowi oczy chustką zawiązuje białą
 I porywa młodzieńca jak nędznego szpiega,
 RzUCA w krzesło : od bębna powietrze zagrzmiąło —
 Ciało — krew wytrysła — na dół zwałiło się ciało !

II

Któż tam błaka się w nocy na rozstajnej drodze?
 Przy pochodniach ktoś w głębi ziemi rydłem maca.
 Natrafili na trumnę — ha! — szczęśliwa praca!
 Wydierają skarb krwawy wilgotnej podłodze,
 Tułają w płaszcz — uciekają — zbawienie w ich nodze.

Jest w głębi gór odludnych pieczara podziemna,
 Gdzie grzyby ledwie rosną, nikt z ludzi nie chodzi :
 Tam biegną tłumem wszyscy zapaleni młodzi,
 I światłem się rozświetla nocy jama ciemna :
 Tam każdemu cel wskaże przysięga wzajemna.

Składają ciało krwawe — najstarszy, z kadłubu
Płaszcz szeroki odrywa, i miecza dobywa;
Miecz na pierś trupa kładzie — jakieś hymny śpiewa.
Wtórują mu żałośnie towarzysze klubu :
Niech się każdy gotuje do czynienia ślubu !

Najstarszy dał znak mieczem, reszta broń dobyła ;
Wszyscy wkoło nagiemi błyszczą sztyletami :
«Przysięgamy! krzyknęli, jedność między nami! —
Pomstę za krew niewinną czyjaż wstrzyma siła?»
I « przysięgamy» — skała głucho powtórzyła. —

Znów ciało martwe płaszczem szerokim spowili,
Składają w grób starannie sypany w pobliżu;
Na znak mogiły stawią dwa krzyże przy krzyżu :
Nim poranek zaświtał — robotę skończyli,
I korzystając z nocy rozbiegli się, skryli!

III

Znacież ten gmach posępny, murem opasany,
Gdzie zaledwie ukradkiem wbiega promień słońca;
Gdzie od westchnień gorących zwilgotniały ściany,
Gdzie nadzieja dróg nie ma, a nieszczęście końca? —
Tam siedzi jeden z klubu, okuty w kajdany.

Słońce zaszło—on usnął—lecz patrz, czemu we śnie
Tak się rzuca gwałtownie? tak ciężko oddycha?
Imię jakieś po trzykroć wyrzekł z wolna, z cicha,
O kochance zapewne, marzy on niewczesnie!
Sen go zapewne wyniosł za więzienia cieśnie.

Zrywa się—ciemno jeszcze—wiatr tylko na dworze
Skrzypi smutnie dzwonnicy pobliskiej krzyżykiem;
Zerwał się—po więzieniu krokiem biega dzikim—
Sen miał jakiś gwałtowny—zabłysnęło zorze—
I znowu zmordowany rzucił się na łożo.

Chciałby usnąć—napróżno!—otwarte ma oczy—
A przecież widzi ciągle—wszędzie—w koło—w sobie,
Jak się duch koło ducha wolnym krokiem toczy.
To oni, krzyknął z jękiem, to oni—już w grobie!—
Widzę krew ich—jam winien! zapóźno! cóż zrobić!

Brząknęła muszka głodna, którą codzien żywi,
Przybiegła myszka mała zwyczajna ualogiem—
Towarzysze więzienia, jedyni życzliwi—
Zląkł się ich szmeru, we drzwi bije, i przed progiem
Pada na wznak—on z duszą już przed sędzią Bogiem.

Tymczasem zwykłym kluczem zaskrzypiały rygle ;
Wchodzi zimny oddźwierny, i nikczemną strawę
Stawia obok barłogu—spójrzął niedościgle :
Zdało się że w tym wzroku wyłożył na jawę,
Całego życia myśli, i uczucia krwawe !

Nigdy on tak nie milczał—nie spójrzął tém okiem ;
Jako wichur najgłębsze morza wody ruszy,
Tak ten wzrok w głąb się wcisnął niewolnika duszy ;
Zadrzał przed nim niewolnik jak łotr przed wyrokiem :
Ten wzrok był posłem nieszczęść, rospaczy prorokiem !

Ale cóż mu nieszczęście? — on ma łaskę pana !
On wolność swą okupił — zdradą — cóż mu zdrada ?
Drzwi otwarte — gdy zechce, jeszcze tego rana
Wolnym będzie! — a przecież upadł na kolana ;
« Biada mi ! » — krzyknął — mury powtórzyły : biada !

IV

Z bramy więzienia, wynoszą pod strażą
Ze czterech desek zbitą trumnę białą ;
Na wóz rzucają, za miasto wieźć każą :
To więźnia ciało !

Więc Bóg zakończył jego długie męki?

Wezwał go z jamy, do raj-u-ogrójca?

Nie — to bezbożnik, z własnej zginął ręki, —

To samobójca.

Nie był uczczony zgon jego dzwonami,

Nie odprawiono po nim mszy w kościele ;

Za trumną nie szli ni krewni ze łzami

Ni przyjaciele.

Bo żehy cara zyskać przebaczenie,

On narodowym stał się winowajcą,

I dawszy braci swych na umęczenie

Był wolnym — zdrajcą.

Grobowiec jego przy drodze rozstajnej

Pielgrzym ze wstrętem i ze zgrozą mija,

Nie zmówi nawet modlitwy zwyczajnej :

Zdrowaś Marja.

OSTATNIE CHWILE SAMOTNIKA.

Między skalami płynie bystra rzeka.
Po jednej stronie tam chata przy skale,
Po drugiej sterczy zamek okazale:
Chata i zamek mieszkanie — człowieka.
Tylko myśl pana i myśl pustelnika,
Jako ta rzeka wiecznie obu dzieli;
Pan ma sług tysiąc, licznych przyjacieli,
Samotnik jeden zabłysnął i znika!

W zamku jak w świecie — wesolo — bezładnie:
Krzyk — gwar — zabiegi — tańce i zabawy.
Żal z samotnika odgadnąć postawy;
Z dzikiej siedziby któż duszy nie zgadnie?
Cichy — jak skały odwiecznej urwiska,
Co ziemię kryją w kształt zbroi olbrzyma,
Myśli — jak strumień który z skał wytryska,
I w świat pędzony spokojności nie ma;
Tylko że jego dusza światem gardzi!

Musiał on w życiu przetrzymać już wiele,
 Kiedy od ludzi tak daleko stroni;
 Kiedy nad ucztę wspaniałą, on bardziej
 Woli korzonki i niewinne ziele;
 Nad puhar wina — wodę czystą w dłoni,
 Nad puch — to łoże co z liści uściele,
 A nad śmiech ludzki — łzę co w snach uroni.

Puszczyka krzyki miłsze jego uchu,
 Niż głos wrzaskliwy niewolniczej zgrai;
 Puszczyk przynajmniej w samotnym posłuchu
 Nie przyjmie tego co w duszy zatai;
 Z słowa błędnego rzeczy nie utworzy,
 Jeśli usłyszy przed światem nie zdradzi:
 I ludzi nie ma którzyby z szatanem,
 Ach od szatana stokroć jeszcze gorzej,
 Niewinnym płaczom byli w sercu radzi!

On światem gardzić nauczył się wcześniej.
 Łzami którymi był kiedyś zalany,
 Cnotą i bóstwem które widział we śnie,
 Myślą — że człowiek chce być świata panem,
 Wczarował w siebie nienawiść dla świata.
 Dziś — mało dbały co jutro się stanie,

Żyje samotny. Czarna jego szata,
Członków zesłabłych jedyne odzianie,
Z włosem który mu bujną wstęgą splywa,
Świadczą nie jedno samotności lata.
Może przyjaciel? — miłość nieszczęśliwa?
O nie! On pewno nie kochał nikogo,
Chyba promienie słonecznego blasku,
Chyba ton smutny dzikich ptaków wrzasku,
Które śmiertelnych przerażają trwogą;
Chyba huk gromu, gdy piorun uderzył.
O nie! On pewno nie kochał nikogo!
I lepiej stokroć gdyby nigdy nie żył!

W chacie — jak w sercu — i cicho i smutnie.
Łoże z gałęzi, oto sprzęt jest chaty.
Na ścianie widać zakurzoną lutnię,
Po której brząkał i śpiewał przed laty.
Otwór nie wielki za okno mu służy,
Przez dach nadpsuty wiatr się często zatnie,
Ściany drżą wszystkie przy namniejszej burzy;
I w tém ustroniu od ludzi daleki,
Samotnik chwile przepędza ostatnie,
Samotnik wiecznie zamyka powieki.

Co za dziw? dosyć cierpieniom i męce.
Któż drugi kiedy podobne wytrzyma?
Dziś — już ostatni raz rzucił oczyma
W krąg wielki świata, i w duszy świat drugi.
Przecież nie w modłach załamie on ręce;
Niech słaby grzesznik drżąc w swój nędznej duszy,
Bogu wylicza pacierzem zasługi,
Ażeby wiecznej uniknął katuszy,
Boga litości wzywa przy konaniu.
On — życiem gardzi jeszcze przy rozstaniu;
On wie — że nie ma i dziękować za co.
Jeśli za męki tam nadgroda płacą,
Tém lepiej — gdy nie! — do nieszczęść nałożny
Przyjmie zarówno i męki i dary.
On wie — że jeśli tam miejsce zabierzem,
Nie płacz przed Bogiem, nie pacierz pobożny,
Poświęci nasze myśli i zamiary;
On wie — że dusza sama jest pacierzem,
Jest źródłem szczęścia, źródłem wiecznej kary!

« Na bok więc, na bok, te nikczemne módlty,
I ta łza w oku i ten jęk grzesznika!
Dusza jak księga, wyrok swój zamyka.
Skrzydła ją wiodą — tam — jak tutaj wiodły;

Jak łódź z sztandarem życia w wieczność płyńie,
Jak kropla w morzu wiecznie może zginie.
Dziś kiedy słabną coraz bardziej siły,
Gdy śmierć już bliska i w nic się zamieniam,
Czemu choć śmierci nie umilić pieniem,
Głosami, które do życia wabiły?
Czyż śmierć pozdrowić od życia jest smutniej?
Dla mnie? — nie! — pójdź więc droga moja lutni;
Raz jeszcze tylko wydaj głos twój miły,
I odstrasż życie, życia przypomnieniem! »

Tak myślał leżąc na samotném łóżu,
Pustelnik słaby z omdlałem spójrzeniem;
Lecz w duszy mocny jako wiatr na morzu,
I nie zbadany jak przepaść ukryta.
Ledwie pomyślał — lutnię swoją chwyta,
Głowę podnosi — oczom blask się wróci —
Palce rozbiegłe uderzają w strony,
Śpiew jakiś wygrał — to śpiew ulubiony
W młodości jego — westchnął — i tak nuci:

« Kiedy ja umrę, zapadną powieki,
Nawet i listek nie wiewnie na drzewie;
Zginę jak głos mój — jak brzęk lutni w śpiewie,
Na długo — może na wieki!

Ucichną razem wszystkie serca żądze;
Jak żyłem w chacie, tak i usnę w chacie.
Dzwony nie będą bić mi za pieniądze,
 Ani ksiądz śpiewać w ornacie.

Swieczniki trumny, oto gwiazd orszaki,
Jeśli ich światło błysnie w tój ustroni;
Dzwonami — lutnia gdy stroną zadzwoni,
 Albo zakrzyczy ptak jaki.

Głos nieszczęśliwych ucha nie rozdrażni,
Choćby świat ginął — martwém będzie ciało;
Przyjaźń? — nie będę potrzebny przyjaźni;
 Z wiernych mi nic nie zostało!

Był czas — w snach błogich uludę gonilem,
W niebiem chciałem zbierać nieśmiertelne wianki;
Śpiewałem — śpiew mój był światu niemiłym!
 Serce nieczule kochanki.

Szukałem ludzi — jak wśród nocy ciemnej
Żeglarz gwiazd szuka na niebieskim globie;
Bo tutaj — w życia szalonej chorobie,
 Człek tylko ulży wzajemny!

Jam go nie znalazł — i dziś dalej płynę;
Ale też za to, nie w smutku, obawie.
Jam w życiu zimną napotkał drużynę,
Po śmierci zimną zostawię!

Dla mnie.... » Chciał jeszcze dodać więcej w śpiewie,
Kiedy z zesłabłej dłoni lutnia pada,
I głowa spada — i twarz jego blada,
Usta się ścięły — o pieśni już nie wie —
I tylko w oczach ducha przemoc włada,
Jakby w ostatniem przed śmiercią schronieniu;
Jakby w ostatnim światłości promieniu,
Jak skrzydło duszy ku niebu w powiewie!

Ale dla czego rzucił się tak nagle?
I oczy swoje tak daleko wlepia,
I ręce wznosi, ręką coś zaczepia? —
Duszy to pewno rozpostarte żagle
Ciagną na morze łódź urwaną z brzegu?
Nie — to ostatni sen duszy na ziemi,
I całe życie w błyskawic obiegu,
I wszystkie myśli i czyny za niemi,
Krzyżują pamięć i tłoczą się razem :
I błyskiem obraz pierzcha przed obrazem,

Świat cały, przeszłość, samotne ustronie
 W dziwne się kształty, w dziwną mienią postać;
 Żal i nadzieja razem w duszę wionie,
 Chciałby choć chwilę w życiu jeszcze zostać.
 Znów głosy—znane—słyszy—on ich nie śni,
 Ten ton—ach dawniej śpiewał on w tym tonie!
 A śpiew?—to koniec nieskończonej pieśni :

« Dla mnie już szczęścia, już nadziei niema;
 Kto nie znał w życiu krewnych, przyjacieli,
 Ten i wieczności z ludźmi nie podzieli :
 Samotną wieczność otrzyma! — »

Znów cicho w duszy—tylko widzi w górze
 Jak niebo całe do połowy pęka;
 Widzi aniołów, archaniołów w chórze;
 Tron jakiś w dali—każdy przed nim klęka,
 I tam przyjaciel przy swym przyjacielu,
 Kochankę trzyma oblubieńca ręka,
 Znajomych tylu, przyjaciół tak wielu,
 A każdy wabi miłemi uśmiechy,
 A każdy na dół wyciąga ramiona :
 Lecz nie dla niego szczęście i pociechy,
 On znowu czuje—że na ziemi kona.

Kona—i wieczność druga się otwarła;
Wieczność samotna—okropna—głęboka—
Tam nie wypuszczaj próżno twego oka,
Tam na wołanie, nie męcz próżno gardła,
Tam głos człowieka nigdy nie dochodzi;
A choćby doszedł, nikt go nie usłyszy,
Bo wszystko jedno w samotnej zaciszy,
Jako na wielkiej Oceanu powodzi,
Cicho—nie dostrzedz ani jednej łodzi,
Wschód, zachód, północ, wiecznością bez granic.

Bez czucia, jedne duchy samotnicze
Tam błądzą wkoło nieuważne na nic;
Dziki ich kroki—wybladłe oblicze,
Oczy bez blasku—mowa bez wyrazu,
Błądzą—nie widząc siebie ani razu,
Ani też końca nieprzetrwałej kaźni!

Próżno samotnik chce wrócić do świata,
Próżno z ocz słabych łza upadła szczerza;
Westchnął do ludzi—miłości—przyjaźni,
Wspomniał na krewnych, przyjaciela, brata,
Późno—już oczy zapadły—umiera!!

GROBOWIEC NA GRANICACH SYBERYI.

Obyście nigdy nie znali tych krajów,
Gdzie wieczna zima mrozem ścina duszę;
Gdzie gwałt i hańba—męczarnie—katusze,
Prawem narodu—godłem obyczajów;
Obyście nigdy nie znali tych krajów!

Między wiecznością i życiem doczesném,
Jeżeli wiara i nadzieja nie snem,
Zbawienia chwila jest w skonu godzinie;
Ale kto na wschód z zachodu popłynie,
Ten niech nadziei powrotu zaniecha!
Ach, kto raz dotknął nogą téj granicy, —
Biada wam, stokroć biada męczennicy! —
Temu zagasła nadzieja—pociecha!

Dziś nowych tysięcy prowadzą z zachodu.
Są to ostatnie pamiątki narodu,
Który żył chwilę i zginął wśród życia;
Są to ostatki okrętu z rozbicia

Płynące kędy żagiel burzy spycha.
Każdy w kajdanach wiedziony od kata;
Ubiór ich płachta podarta i licha,
Gospodą, w śniegach zakopana chata.

Młodzi są wszyscy — a przecież już godłem
Starości każdy dotknięty na twarzy;
Oko bez ognia — twarz blada i cicha;
Myśl, widać z oczu, o przeszłości marzy,
Pamięć jedyném serca, ducha źródłem.
Z niej jako z rogów złożonych ofiara,
Szczęśliwa jeszcze gdy się pysznić umie,
I w najemników pasożytnym tłumie,
Pogardza carem i służalcem cara!

Upływał trzeci tydzień ich podróży;
Połowa w drodze zasypiana śniegiem
Zmarła na zawsze — a reszta najdłużej
Jutro w Syberyi! — nad Uralu brzegiem,
Stanęli dzisiaj ostatnim noclegiem.

Noc była mroźna — na ziemi szeroko
Jak tylko może sięgnąć ludzkie oko,
Blado — okropnie — i na niebie blado.

166 GROBOWIEC NA GRANICACH SYBERYI.

Gwiazdy w mgle nocnej wisiały bez blasku :
W około śpiących przy ogniska trzasku
Sterczały piki ; tu znużone stado
Tatarskich koni, grzebiąc mech kopytem,
Błądzi po polu — dalej straż kozacka :
Księżyc się czasem za Uralu szczytem
Pokaże nagle, to ginie z nienacka.
Jutro znów pochód za najpierwszym świtem.

Zasnęli — cicho — szcęk kajdan i broni
Czasami tylko nie wyraźnie dzwoni ;
Albo przez usta senne niewolnika,
Imie się jakieś na wiatry wymyka.
O sny, marzenia, wy skarby człowieka !
Wasza opieka jak słońca opieka !
Świata całego ubieracie twory
W suknie jasności, w tężowe kolory.
Któżby chciał twierdzić że słoneczne cudo,
I blask i kolor, spojrzenia uludą ?
Albo gdy w nocy blask niknie z pomroką,
Że nierzetelnym we dnie było oko ?

Dwóch przecież nie spi. Na starszego łonie
Młodszy — brat może — głową swą oparty
Leżał i milczał. Starszy łąy na stronie

Długo ocierał—w końcu płaszcz podarty
 Z siebie zdjął nagle—i drżącego ciało
 Okrywa—tuli—lecz milczeli oba :
 Jednemu pewnie na słowo nie stało,
 Drugiemu usta zamyka żaloba.

Usta milczały—lecz usta milczące
 Język uczucia mają za rozmowę,
 Tkliwszy nad zimnych wyrażen tysięcy!
 Tak więc na głowę swego przyjaciela
 Przyjaciel starszy opuszcza swą głowę,
 Tchnieniem gorącym tchnienia mu udziela,
 Usta przycisnął miękkim całowaniem,
 Rękę przycisnął ręką swoją drżącą;
 Onby chciał ducha—życie i gorąco,
 Wyciągnąć z siebie i rozesać na nim?

« Ty mnie nie kochasz—umierasz bezemnie,
 Rzekł wreszcie z płaczem ów starszy młodzieniec
 Gdym cię rodzicom wydzierał tajemnie,
 Ze mną męczeński chciałaś dzielić wieniec,
 Ze mną przysięgłaś żyć, umierać razem!
 Uciesz kochanka jedynym wyrazem,
 Powiedz że żyjesz—że kochasz—żeś moją! — »
 Próżno!—przelotny na licach rumieniec

190 GROBOWIEC NA GRANICACH SYBERYI.

Błysnął na twarzy, jak w nieba przezroczy
Zachodniem słońcem chmury się ustroją,
I znowu czarne— w ślup zbłądzone oczy,
Skrzyły się nagle w powiece otwartej;
Usta jej sine— przestała oddychać!
Ale i żalów kochanka nie słyhać.

I cicho znowu— aż z rana, gdy warty
Znak do pochodu dały obozowi,
Gdy niewolnicy stanęli gotowi,
Dwóch tylko z miejsca swego się nie ruszy;
Przybiegli— patrzą -- oboje bez duszy.
Zakrzepłe ręce trzymały się silnie,
Usta spojone w całowaniu stygły,
Oczy na siebie wyteżone zgasły,
I tak są razem — jako nieomylnie
Żelazo leci do magnesu igły,
Albo w bój hufce, znajomemi hasły.

Śród dzikich stepów grób im wykopano.
Grób ich granicznym zostanie kamieniem;
Może i kiedyś zbawcami zostaną!
Bo słońce swobod, wiecznym przeznaczeniem,
Miłości ofiar wygrzane płomieniem!

W NOCY JESIENNEJ.

Rok 1882.

Przeszła północ—dokoła cichość i milczenie.
Jam nie spał i wiatr nie spał—on jeden z żalobą
W brzęczące okien szyby dzwonił, i za sobą
Strumienie ciągnął liści i kurzu strumienie.
Na niebie księżyc w pasy promienne rozrosły,
Utopiwszy w chmur kłębie zamysłoną głowę,
Płynął, gdzie go wydęte czarne żagle niosły.
Gwiazdy błysnęły czasem jak lampy portowe;
A tak w całym obszarze uspionej natury,
Jam nie spał i wiatr nie spał i gwiazdy i chmury!

Do wyższych rzeczy wzdychać przyuczony z młodu,
Obciągałem oczyma z wschodu do zachodu,
I zazdrościłem chmurom—wiatrom—nocy całej :
Chmurom ich błyskawicy—wichrom pędu jazdy;
I ja tam chciałem gonić z kąd te wichry wiały,
I schwycić błyskawicą—i z gwiazdy do gwiazdy

Wyciągnąwszy ramiona, skrzydłem fali płynąć,
I w chmurach, wiatrach, gwiazdach, w światach, w niebie zginąć
Duch mój objął potężnie przyrodzenia siły!
W bladéj twarzy krwi błyski nagle zaświeciły; —
Niech wyją dzikie wichry po pustym przestworze,
Niech fala w kłębach czarnych przesadzi noc czarną,
Jam westchnął! — siły wichrów czucia nie ogarną;
Jam zapłakał! — Iza stoi za potopu morze.
Światy moje : kochauko — bracia — przyjaciele!
Ku wam wyciągam moje zemdlone ramiona,
A gdy z niemi uczucie i myśli zestrzelę,
Wichry, chmury, czém wasza siła połączona?
Wichry, chmury dziś mocne, czém jutro będziecie?
Słońce wznijdzie — noc spłynie — i inne nastaną,
I słońce kiedyś w nocy, i noc zginie w świetcie;
W duchu jednym potęgi nie ma noc i rano :
Myśli się wiecznie w gwiazdy, duch wyświeca w słońce.
Pamięć, czas jako więźnia ubiegłego trzyma;
Nie zazdrozczę wam skrzydeł wichry, fali gońce,
W stworzenia ogromi — ducha wybiegłem oczyma!

ELEGIA

NA ŚMIERĆ STANISŁAWA GRABOWSKIEGO, KTÓRY ZGINĄŁ
W BITWIE POD WILNEM, ROKU 1831.

Kiedym cię raz ostatni żegnał przy rozstaniu,
Do zobaczenia! wyrzekliśmy razem.
Dziś, znowu smutny, tym samym wyrazem,
Tylko na dłużej—dłużej żegnam ciebie.
Do zobaczenia!—kiedyś w zmartwychwstaniu,
W wieczności—przy Bogu—w niebie!

Plakałem w życiu, ach nie jednej straty!
Łez trudno dobyć już z oka :
Zwyczajne moje są żałobne szaty,
A w sercu żalność głęboka.
A przecież—dzisiaj—i twarz bardziej blada
Suknia czarniejsza — łza spada!

Nie ma — już umarł — okropne to słowo
Przyjaźni ludzkiej na ziemi;
Tobie jest niczem — ty między świętami

Włożyłeś suknię godową;
Suknię wieczności, opuściwszy ciało!
Nam życie w smutku zostało!

Z palmą męczeństwa, ty z lilią białą,
Ręką wiedziony anioła,
Boga i niebo otrzymałeś w dziale!
My w płaczu — nadzieję całą;
Nasz święty orszak są żalobne koła,
A naszą wiecznością — żale!

Placzmyż więc płaczmy! ty módl się za nami,
I za mnie dołącz pacierza.
Bóg może twemi nie wzgardzi modłami,
Prośbą anioła rycerza.
I żyć przestanie tułacz nieszczęśliwy,
I tam ożyje — nie żywy!

Do zobaczenia! z czasem i ja płynę,
Będziemy razem po chwili;
Może zabiją jak ciebie zabili,
Twoim przykładem niech ginę;
Twoją modlitwą urosną zdarzenia,
Mój Stasiu! do zobaczenia!

Z LORDA BYRONA.

Droga! nie mów mi, nie mów o chwale potomnej!
Ach tylko dni młodości są i chwały dniami :
W dwudziestym drugim roku wart więcej mirt skromny,
Niż wasze wszystkie laury z późnemi latami!

Na czole pomarszczoném czemże wieniec świeży?
Jakby na zeschniętym kwiecie maju rosa lśniła ;
Precz więc z laurem, gdy głowę późny wiek ośnieży :
Tylko z kwiatu młodości rośnie szczerą chwałą!

Sławo! głos twój jeżeli był mi kiedy miłym,
Nie dla słów, nie dla brzących lubiłem cię pieni ;
Kochance chciałem posłać kilka twych promieni,
Jój dowieść — że ją godnie kochać zasłużyłem.

W niej jednej cię szukałem — w niej mam cię jedynęj;
Jój oko tobie za blask najpiękniejszy stało ;
Gdy nim zajrzała w życia mego lśniące czyny,
Poznałem co to miłość — czułem co jest chwałą!

CHÓRY NA POGRZEBIE MINIONA

z *GOETHEGO* (z *prozy*).

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Kogóż to nam niesiecie w to ciche ustronie ?

CHŁOPCY stawiając trumnę :

Przynosim towarzysza zmęczonego w wiosnie;
Umieście go w naszym gronie,
Aż kiedyś niebios córę śpiewem swym radośnie,
Wzbudzą go by żył na wieki !

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Pierwiosnku życia, bądź nam pozdrowiony !
Z smutkiem cię w naszym witamy dziś kole,
Za tobą niechaj w te wieczności strony,
Żadne nie wbiega pacholę !
Ni chłopczyk, ni dziewczyna.
Niech starość jedyna
Znużona w świecie
Spokojnie — z chęcią wita te podwoje.
A ty o dziecię,

Drogie dziecię moje!

W jej zimném objęciu wypocznij!

CHŁOPCY.

Z jakimże bólem, ach w jakiej żałobie
Złożym ją tutaj — na wieki — na wieki!
Pozwólcie i nam zostać — lżą stulić powieki,
I płakać, płakać na grobie!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Patrzcie, o patrzcie! w te ramiona skrzydeł,
Na tę bieluchną i czystą obsłonę,
Na tę w jej włosach sznureczki złożone,
Na piękność życia pieścideł, —
Jakżeż jej we wszystkiém strojnie!
A spoczywa tak spokojnie!

CHŁOPCY.

Ach, już te skrzydła nigdy ją nie wzgórzą!
W lekkich gry zwrotach nie strzepną się stroje;
Gdyśmy jej główkę umaili różą,
Na nas oczęta obróciła swoje,
Tak mile i tak rokosznie!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Więc na nią teraz patrzcie okiem ducha!
W was niech panuje twórcza, boska siła,
Która nad gwiazdy tron swój wielki wzbila,
Życia powołanie święte!

CHŁOPCY.

Lecz jój już nie ma — w ogrodach już nie ma!

Już i na łące spokojnie schną kwiaty.

Pozwólcie zostać! — głosami czterema

Będziemy płakać jój straty!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Nie dzieci — w życie powracajcie dziatki,

Tam wietrzyk niebieski,

Co strumyk pieści i polowe kwiatki,

I wasze posuszy łezki.

Roskosz — chwila — dzień co świeci,

To są żyjącego losy :

Uciekajcie z nocy dzieci,

Bo to prawdy, prawdy głosy!

CHŁOPCY.

Więc dalej w życie, kiedy w życiu lepiej.

Niech nam dzień pracę i roskosz odradza,

Spokojność wieczór sprowadza,

A noc, snem siły pokrzepi!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Bieźcie, o dziatki, w żywota koleje!

Oby wam miłość w piękności obłonie,

Niebieskiem okiem wskazała nadzieję,

I nieśmiertelność włożyła na skronie!

STRATA ZMYŚLÓW.

Kiedy patrzę na ciebie, na twą bóstwa postać,
W twe oczy kiedy spojrzę, które gwiazd obrazem,
Chciałbym zginąć w tym wzroku, i chciałbym zarazem
Wiecznie w nim umierając, wiecznie w nim pozostać.
Ty się gniewasz dla tego, ty chcesz aby zatrzcć
Całe niebo błyszczące w twoich ócz spojrzeniu;
Posłuszny byłem zawsze twojemu skinieniu,
Ty chcesz — ja oczy tracę — i przestaję patrzeć!

Kiedy słyszę twe śpiewy — moja błędna dusza
Na dźwięk głosu twojego, jak umarły z grobu
Dotknięty mocą wyższą, do życia się wzrusza;
Czuję że świat za mały dla mnie — dla nas obu.
Chciałbym wyżej ulecieć i w myśli ułudzie,
Gdy z tobą jak z aniołem po niebios obszarze
Błądzą — a spodem niktą świat, ziemia i ludzie,
Gdy tak błogo — tak pięknie — tak cudownie marzę,

Ty już śpiewać przestajesz — głos słabiej — niknie,
Z nim marzenia w nic poszły, niebo się rozchwiało!
Jak ów komar bezsilny, kiedy raz przywyknie
Okręzać światło, gonić za ludzającym blaskiem,
Błyśnij światłem — on skrzydłem ciągnie za niem śmiało,
Zagaś — i znowu lotem krążyć będzie płaskiem!

Ty nie masz dosyć na tém — ażebym uciekał,
I wieczny rozbrat z tobą i szczęściem uczynił.
Przeciwko woli twojej nigdy nie przewinił,
Smutny — milczący — nigdy nie będę narzekał!
Niechaj więc żadne słowo nie dotknie ci ucha,
Niech powietrze kradnące każdy żal rozdmucha,
Niech wieczna wojna będzie w sercu i umyśle!
Słuchaj! rozkazy twoje powypelniam ściśle,
Zmyszę duszę inaczej — życie moje zmyszę!
Gdy płakać mi się zechce, oko śmiać się będzie;
Gdy kto o zgonie, śmierci przemówi czasami,
Śmiać się będę — wszak taka zgoda między nami,
Chociażby — choćbym konał — śmiać się będę wszędzie!
Ale nie! śmiech uczuciem — a ty nie chcesz serca;
Jeszczeby może jaki sławy twój oszczerca
Ze śmiechu myśli tworzył — nie chcę więc i śmiechu —

Plakać będę! wszak płacz jest człowieka właściwém,
Człowiek płacze w kolebce po rodzinnym grzechu;
Płacz radości—niedoli—szczęsnym, nieszczęśliwym,
Jak powietrze żyjącym, płacz wszystkim potrzebą.
Czy kto kochankę stracił, czy kochankę wita,
Czy żegna przyjaciela, zmarłą matkę grzebie,
Czy mu los nieszczęśliwy przeznaczyło niebo,
Czy kochany od ciebie, wzgardzony od ciebie,
Płacze—i choć go widzą, nikt o łzy nie spyta.
Śmiech co innego, śmiech jest dowodem zapалу;
Pozwól płakać a nigdy już się nie rozśmieję.
I tego mi zabraniasz. Po mału — po mału,
Wszystkie uczucia, mówisz, człowiek stłumić może,
Byle chciał, pewnie zdoła! — Będę więc kamieniem,
Kamieniem który obce, odludne bezdroże
Ciężarem tylko swoim przyciska i gniecie,
Póki go obca ręka z miejsca nie poruszy;
I jeżeli bez zmysłów— bez serca— bez duszy,
Kto jeszcze wyżyć może—ja chcę żyć na świecie!

SPIEW STARCA.

(z WILHELMA MAJSTRA, GÖTTERGO.)

Kto się w samotności kryje,
Ten w krótkce sam jest w sobie.
Każdy kocha, każdy żyje,
Zostawią go w żałobie.

Zostawcie mnie mojej męce,
Bo gdy choć w chwili przelotnej
Samotności się poświęcę,
Już ja nie jestem samotny!

Kochanek czyha bacznie, powoli,
Czyli samotna kochanka :
Tak na mnie czyha w noc od poranka,
Myśl moich nieszczęść—niedoli,
Życia mojego wspomnienie!

Ach jeśli w chwilce przelotnej,
Grobu mnie przyjmą samotne cienie,
Tam będę, będę samotny!

DO ...

Droga! próżno, o próżno w przyjaciółek gronie,
Twarz smutną twoją zmuszasz do błędnej uciechy;
Próżno wzrok twój miłosny w fali śmiechów tonie,
Mnie on zwieść nie potrafi — płaczą twoje śmiechy?

Twa wesołość jest różą na grobie wybladłą,
Tylko obcych, podróżnych, wonią swoją znęci.
Ród jej przecucie w piersiach zbolałych odgadło,
Jam go żywo rozświecił iskrami pamięci.
Droga! znam twoje serce — pozór zwieść nie zdoła,
Śmiech twój — śmiechem boleści i smutku aniola!

DO IMIIONNIKA SIOSTRY.

Jeśli kiedy—przypadkiem czule twoje oko
Wbiegnie na ten wiersz słaby, który dzisiaj kryślę,
Zapłacz, o zapłacz siostró! i westchnij głęboko;
Niech myśl twoja w pamięci, sercu i umyśle
Kraje senne przeszłości i szczęścia przelata.
A jeśli wdzięcznym czarem obraz wskrzesi brata,
I ja wtenczas niebawnie o tobie pomyślę!
Bo moc duchów złączonych, czas i miejsce wzruszy,
Bo dźwięk serc w swym przelocie, wszystko z drogi spycha,
Bo nad zimny słów odgłos, czulszy język duszy:
Dalej sięga niż głosem kto myśli, kto wzdycha!—

Przecież—jeśli mój obraz w pamięci zaginie,
I obszukasz go w sercu i w myśli i wszędzie,
I nie westchniesz głęboko i łezka nie spłynie,
Siostró! już brata twego na świecie nie będzie!
Mów o nim do umarłych—spleć w wianki grobowe
Smutnych kwiatów liść piękny, ostatki pamiątek,

I pomyśl: «Jam mu życia wyrwała połowę,
Jam mu życia całego rozdzierzgnęła wątek;
Dziś i płacz nie pomoże, bo nie wskrzeszą żale,
Kogo raz umorzyły zapomnienia fale!»

DO ...

Jam ciebie tak pokochał— a tyś nie życzliwa,
Oczy twoje ze wstrętem odwracasz odemnie.
Nie wiesz, co za nieszczęście, miłość nieszczęśliwa,
Kochać szczerze i nie być kochanym wzajemnie!

Gdyby nie twoje słowo— twój uśmiech— twa postać,
Gdyby— ja sam już nie wiem co obwinić wprzód;
Trzeba było wyjechać— aleienne trudy,
Czas przykry— słota ciągła— tak, musiałem zostać!

Tyś pierwsza słowo do mnie wyrzekła niebacznie,
Jam ci odrzekł i potem, nie wiem co się stało :
Do rozdmuchania iskry, potrzeba tak mało,
Biada, biada! gdy płomień w górę dążyć zacznie!

Gdyby nie twoje usta— anielskie uśmiechy,
Byłby kwiat marzeń wyższych nie rozkwitał z ziarna ;
Dziś zapóźno! — grzesznego gromnica ofiarna

Nie poprawi, gdy z duszy pełnej płyną grzechy :
Tak kiedy minę prochu raz iskra podrażni,
Wiatrów zimnym przewiewem nie wstrzymasz wybuchu ;
A mocniejszą od prochu twórcza siła w duchu,
Drażliwsza iskra Boska — miłości — przyjaźni !

Gdyby nie twoja postać uniknąłbym zguby.
Nie dla mnie, wiem, twój pierścień, i ołtarz i śluby ;
Lecz droga ! czyż w kościele oko katolika
Przy Hostii podniesieniu po oplatku bieży,
Widzi ciało, a przecież że Bóg jego wierzy,
I w Boga tylko patrzy bóstwem się przenika.
Tak i ja — więcej nawet — jak pustelnik prawy,
Który przy mszy oblicze pańskie widzieć zdoła,
Przecież by ludzi unikł i świata zabawy,
Woli krzyżyk drewniany niż świętość kościoła ;
Uciekłbym z grona ludzi z twym bóstwa obrazem,
Niechby się inny cieszył twój ręki pojęciem ;
I dusza ma swe prawa — my duszy zakłębiam,
Na ziemi tak jak w niebie bylibyśmy razem !
Pieściłbym cię codziennie, choć zdala od ciebie —
Jak obraz Boga pieścą aniołowie święci,
Nie dbając o świat zimny — li sobą zajęci,
Wierzaj mi, moja droga, bylibyśmy w niebie.

Nie chciałaś! — trudno serce zmuszać do kochania.
Twój obraz dziś inaczej moja myśl spotyka,
Jak Boga zgniewanego słaby duch grzesznika,
W jednej zawsze godzinie, w godzinie rozstania.

Samotny i bez wsparcia gdzieś tułacz pobieży?
Ludzie gardzić przywykli człowiekiem w potrzebie.
Jeszcze jeden cel życia — gorąco — najszczerzej,
Przez całe życie Boga chcę prosić za ciebie!

DO . . .

Dnia 21 czer wca.

Czemum cię znowu zoczył, o ziemski aniele!
Twarz taż sama, i oczy, i usta — a przecie
Zmianę w tobie znalazłem, braknie ci tak w ele!
Czego? czułości — czułość cnotą jest w kobiecie!
Dawniej lezka przelotna — tobie z łzą do twarzy —
Nie raz twe piękne oko, twych jagod zapaly,
Przygaszała na chwilę, jak świętość ołtarzy,
Przed którą w dzień świąteczny świat się zgina cały,
Kapłan skromnie osłoni przed codziennym wzrokiem.
Dziś wesole twe oko — i czemuż być nie ma?
Albo czas nie upływa? — mija rok za rokiem!
Wszak skąpiec ledwo jeden skarb swój dawny trzyma,
Gdy wszystko jest przelotném, znikomém na ziemi :
Ty tylko, samolubie, z uczuciami twemi
Chciałbyś stać niewzruszonym i gdzie? w sercu młodym!
Róża przecież zroszona tylko słońca wschodem,
I na wieczór czasami — a onaż nie różą? —

Ja od pierwszej młodości odbiegłem daleko,
Może już drogę nawet przebyć mam nie dużą;
Nie wiem dokąd mnie jutro losy me zawleką.
Stoję w świecie jak bańka na wody kryształe,
A przecież — chciałem wzruszyć serce jój jak dawniej!
Człowieku! ludzie razem dumni i zabawni;
Noc nie światłem — zwierciadłem nie są burzy fale!
Mój wiek blizki wieczoru, choć dzień nie upłynął;
Mój czas burzliwszy stokroć od nawalnic morza;
Krwawe w przyszłości mojej przewiduję zorza,
I jutro rzekną o mnie: był, kochał, i zginął! —
Wtenczas przynajmniej klęknij na sypce grobowej,
Żegnaj błogosławieństwem, wspomnij na czas przeszły;
A gdyby na mym grobie białe lilie zeszły,
Liliom i mnie lzy bratnie — daj dwie do połowy!



ODPOWIEDŹ NA LIST.

Czyż od drzewa w jesieni zdjęty liść samotny,
Sierota, uniesiony ręką dzikiej burzy,
Szczęśliwym zwać się może, kiedy wiatrom służy?
Wzbije się czasem w górę — dla czego? bo lotny,
Bo go nic nad przypadek ni wzbije, ni zniży;
Ale popłyn choć chwilę dzikim jego śladem,
Przypatrz mu się dokładniej — i rozpatrz się bliżej,
Ziółkły ci w oczach stanie, otoczony gadem,
Który go wskrós przekąsił i wciąż go przekąsa.
Tobie, droga! kwiatkami nadzieja potrząsa
Lata młode — dla tego pozostaw jesieni,
Wiatrom chłodnym i burzy listek pożółciały.
One go swą przemocą od matki porwały,
Wiatr go i dzisiaj dalej w powietrzu pierścieni.
Daj mu płynąć — daleko niebożę popłynie;
Ale wierzaj — w krótko zaginie!

NA MOJE URODZINY.

Dawniej — licznem przyjaciół otoczony gronem,
Z rozkoszą uczuć szczerych odbierałem dary :
Ten mi dawał bukiety — tamten wdzięcznym tonem
Uścisk z słowem kojarzył, a liczne puhary
Roznosiły wesołość z tryskającym winem.

Dzisiaj jakżeż odmiennie! Sam sobie oddany,
Za grono przyjacielskie sterczą zimne ściany;
W nich jak wygnaniec błędę z cieniem mym jedyném;
Czasem nadzieję w myśli rzeźwię przyszłym czynem,
A gdy i ten o rozum zimny się rozbije,
Gdy wszystkie choć najśmielsze życzeń giną datki,
Serce moje wyciska rozkoszy ostatki.
Pamięć mi wierna dotąd — lecz nie — niech niczyje
Ucho nie przejmie mego anioła imienia!
Wasz słuch, ludzie, zanadto zbrukany zwyczajem :
Często gdzie święte bóstwo, gdzie wielkość poznajem,
Wy czczość tylko widzicie — brzęk słów — przywidzenia!

Zdala więc od was, ludzie, w mém sercu, pamięci,
Chcę jój obraz popieścić — tak jak pieszczą w niebie
Matkę żywego Boga, aniolowie święci —
Ożyłem — pełną duszą westchnąłem do ciebie!

SPIEW.

Gdy pozdrowię słońce z rana,
Przed Stwórcą zegnę kolana,
Nim znak święty krzyża zrobię,
Pewnie pomyślę o tobie!

Kiedy słonko w pół na niebie,
Pół w obłoku łni w żalobie,
Smutnym wtenczas zem bez ciebie,
A wesola myśl o tobie!

Lubię wieczora zacisze,
Noc i światło — mocy obie;
Jak noc przeszłość w duszy słyszę,
A jak światło myśl o tobie!

W nocy często w łzach się budzę,
I wziąć rady nie wiem sobie;
Jakieś słowa mówię cudze,
Pewnie mi się śni o tobie!

A gdy na śmierci posłaniu,
Z tym światem będę w rozstaniu,
Wstrzymam krok przy samym grobie,
By jeszcze myśleć o tobie!

W IMIONNIKU.

1832 roku.

Różne są drogi nasze — ja na zachód płynę,
Ty na wschód — ty do domu uściskać rodzinę.
Kiedy się zobaczymy? — patrz, na niebios pasie,
Gwiazdy tam rozrzucone ręką Stworzyciela,
Dalekie, próżno blaskiem ducha patrzą na się,
Nigdy z sobą nie będą — sam Bóg je rozdziela!

CHÓR STRZELCÓW.

**Hej! przez pola, przez parowy
Niechaj suwa koń;
Dziś puścimy psy na lowy,
Strzelcze w trąbę dzwoni;
Niech liść, drzewo i bór cały
Od loskotu grzmi,
Niechaj pada strzał na strzały,
Dym niech światło ćmi!**

**Hej! myśliwczę, dziś bój krwawy,
Pilnie w miejscu stój;
Dalej chłopcy do oblawy,
Bo dziś krwawy bój.
I psy krzykną, wy krzykniecie,
Tylko chyżo w las;
Jeleń nam nie ujdzie przecie,
Spotkać musi nas!**

CHÓR STRZELCÓW.

Czy on w lewo, czy on w prawo,

Wszędzie strzelca łów;

I przed wrzawą, i za wrzawą

Tysiąc zmyślnych głów;

Tysiąc ramion, tysiąc złego,

Tysiąc lotnych kul,

Świsną w niego, strzelą w niego,

Padnie lasów król!

ROZMOWA.

« Pójdź tu dziewczynko » — i ona bieży.
« Czy ty mnie kochasz! » — « Kocham i mocno! »
« Jak matkę, brata? » — « Inaczéj, szczeréj,
Chciałabym tobie być tak pomocną,
Ulżyć we wszystkiém, i dzielić z tobą
Co mam, mieć będę, i więcéj jeszcze.
W nocy gdy drzewo czasem szeleszcze,
I wiatr o szyby jęczy z żalobą,
Tęskno mi — przykro — smutno — i ciemno;
Płacę i myślę żeś ty nie ze mną! »

« Żle moje dziecię — to ciężkie grzechy! » —
« Ciężkie, ty mówisz? — nie — ja nie wierzę;
Kiedy poranne mówię pacierze,
A nie za ciebie — nie mam pociechy.
Wieczorem kiedy zbieram twe słowa,
I wszystkie sobie dziwnie tłómaczę,
Jam tak szczęśliwa, choć rzewnie płacę,

Żebyś tę chwilę była gotowa
Zamienić w wieczność i płakać wiecznie! » —

« Żle moje dziecię — trzeba koniecznie
O inném myśleć, tak rozum każe,
Tak Pan Bóg każe » — « Ja kiedy marzę
O niebie czasem, tyś w oku zawsze.
Dawniej robiłam sobie wyrzuty,
Lecz rzekły do mnie głosy łaskawsze :
Poki masz serce, kochaj dopóty ! »

Zamilklim nagle — słońca nie było,
Wieczór nadchodził — w pokoju ciemno.
I tak mi było trwożnie i miło,
Taka odmiana we mnie i ze mną,
Żem powtarzając : źle moje dziecię —
Ona że kocha — wciąż, na przemiany,
Ręcem i usta całował przecie,
Byłem w dziewczynie już rozkochany !

W NOCY NOWEGO ROKU.

1832.

Rok minął — pierzchyły tysiączne wypadki;
Od przyjaciół daleki — samotny — sierota:
Westchnienie, oto moja jedyna pieśczoła,
A gdy zapłaczę — lzy jedyne świadki!

Rachowałem stłumiony brzęk zegaru z wieży,
Zdało mi się że przyszłe losy duszy dzwoni;
Chciałem zegnać i witać! lutnia padła z dłoni,
Zamiast śpiewu jęk płynął posępnych pacierzy.
Modliłem się jak dziecko — lecz czyż Bóg wysłucha?
Módlmy się tylko wszyscy — pacierz ludzi zbliża,
I do siebie i Boga — trzeba było krzyża,
Ale po męce światło rozwinie się ducha!

Drezno, o godzinie 4, 10 marca 1833.

Piersi moje zbolełe — myśli jako oczy
Zadumanego wieszczą, drą się w czucia głębie,
I myślami mojami palę — drętwię — ziębię,
I myślami mojami, to raz duch proroczy
Jak wywołana mara z ciemnej grobów cieśni
Wstaje, i świat przestrasza, i przyszłość odkrywa,
To znów myśl jak żrzenica na słońce drażliwa
W łzach się topi, i kona w rozrzewnionej pieśni!

Wtenczas — o wtenczas — moje piersi samowładne!
I w nich krew jak trysk światła z komety ogniska
Trząsa sercem i z serca przez lica wyblyska
I przez oczy i usta — lecę — mdleję — padnę —
A duch mój skrzydłem wzbity wieszczego natchnienia,
Gdy jak słońce świat okiem, mnie na wskroś przeięga,
Myśl znowu jak słup pyłków gra w świetle promienia,
Albo jak tęczy w farbach rozwieszona wstęga.

W takiej grze, w takiej walce, ustawnej — bez przerwy
Myśli moje i czucie, duch w różnym żywiole,

Gdy myśli jako orły wypuszczone na wolę,
 Oczy ku słońcu ciągną — skrzydła ich nie pierwój
 Zmęczone na dół padną, aż serce się wzmoże;
 A gdy krew, a gdy czucie jak potoku łożo
 Wydmie, rozprzęże wałów tysiące z tysiąca,
 Myśl moja jak ów obraz na wodzie powiewa
 Nadbrzeżnego kamienia, cienistego drzewa,
 Chociaż go wał po wale co chwila roztrąca.

W nocach moich bezsennych, z rozwartą powieką,
 Drżącą ręką, z uśmiechem przyjaźni, miłości,
 Siegałem gdzie na wiatry daleko — daleko —
 I tuliłem do serca nieprzypadkowych gości!

W dzień często mowę moją, niespodzianie — nagle —
 Przerywam i gdzieś w czucia przepadam odcięcie,
 Jak ów majtek w odbitym od brzegu okręcie
 Ginie gdy kompas stracił — wiatr poszarpał żagle.

Czasem znów w sercu żalność, śmiech na usta pada,
 Czasem znak obojętny łzy z oka wywabi,
 I gdy czucie wolniej — serce bije słabiej —
 Lśnią myśli jako w nocy świetlików gromada.
 Z przeszłości rozrzuconych, zagasłych pamiętek

Wtenczas powstają światy jak gmachu budowa,
 Tylko że czas już niczém — kres, chwila, początek
 Są tylko myśli jednej wyrażenia, słowa,
 Myśli wiecznej — gdzie czasy i skończoność ginie.
 Lat tysiąc wtenczas może przeciągnąć w godzinie;
 Lat tysiąc z niej wypłynąć, wyprząść się przed okiem,
 I człowiek zostać w duszy jako Bóg wysokim !

Kto to przeczuł — ten walkę uczucia i myśli
 Zakończył — ten nie walczy — chce, myśli, i tworzy,
 Jako w ołtarzu w nim się obudził duch boży,
 I w duchu z bóstwem co dzień połączony ściślej,
 Codziennie zrzuca bardziej — prędziej — i na wieki
 Ciała swego ostatki jak suknie znoszone,
 Aż w końcu ten co rozdarł przyszłości zasłonę,
 I cielesne zasunie przed światłem powieki !

Wtenczas. — o błoga chwili — uwolniony z waśni
 Żywiołów skończoności, duch wraca do źródła
 Zkąd go na chwilę tylko myśl Boga wywiodła,
 Ażeby na tym świecie było lepiej — jaśniej !

Czy i mój tam powróci? — na próżno pytanie —
 Nie raz ja o niebiosach, Bogu, świecie marzę,

Ale jeszcze godzina na moim zegarze —
Kto wie co za godzinę — czém mój duch zostanie?

Sypka popiołu może przez wiatry w przestrzeni
Rozgoniona opadnie, gdy wiatry ustaną;
Różni ludzie do różnych działań przeznaczeni,
Burzliwy, mówią, wieczór, gdy burzliwe rano!

Jam się w szkole nieszczęścia, jako wiatr na górze,
Wyhodował i wyrosł, — jak wiatr może zginę;
Ale przeczekam jeszcze tę jedną godzinę,
I przyjmę z męstwem równém, na co bądź zasłużę!

KRÓL I GERMEK.

ROMANS.

Niech germek śpiewa — skupiło się grono —
Germek wziął lutnię, ścisnął, mocno trzyma,
Lepszego nad nią przyjaciela niéma.
Tak czule ścisnął lutnię, brząknął stroną,
I stróny wszystkie w jeden akord zlewa;
Zahrzmiały — wszyscy słuchają — on śpiewa :
« Dla mnie już szczęścia, już nadziei niéma ;
Każdej doznałem na świecie przygody;
Nic mię już teraz na ziemi nie trzyma.
Znałem niebiankę zapaleniec młody,
Goniłem lekkie rozkoszy podmuchy,
Wzbiłem się w górę z niebieskiemi duchy,
Z kopyą biegłem za sławą w zawody :
Znalazłem rozpacz zapaleniec młody.
Dla mnie już szczęścia, już nadziei niéma ;
Każdej doznałem na świecie przygody;
Nic mię już więcej na ziemi nie trzyma.
Poznałem rozpacz zapaleniec młody! — »

Precz z temi pieśni — gniewny król zawoła,
Precz mi! wyrzucić głupiego śpiewaka;
Rycerz co wierzy w broń swą i w rumaka,
Gdy krąży puhar rozkoszy do koła,
Gardzi piosenką, jeśli nie wesola.
Ja wam zaśpiewam; lecz nie, kiólich jeszcze
Niech raz okrąży biesiadników rzędy;
Wino rozognia uczucia popędy,
Z puharem śpiewniój brzmia natchnienia wieszczę.
Ledwie Król wyrzekł, Paż w srebrnym puharze
Podaje trunek, kubki się ozwały;
Wypili — umił znowu orszak cały,
Wszyscy czekają, co im Król rozkaże.
On się tymczasem wyciągnął niedbalój,
Głowę zagrzaną podpiera ramieniem;
Oczyrna rzuca, w których się żar pali —
W tém znak dał ręką, i ozwał się pieniem;
A bard najemny spogląda mu w oczy,
Za jego myślą, brząka lutni stroną;
To nią kołuje, to w głąb strónę tłoczy:
Król śpiewa, słucha biesiadników grono.
Gdy rycerz dosiadł rumaka,
W biegu parsknął rumak żywy,
Hasa, pędzi skrzydłem ptaka,

Jakże rycerz ów szczęśliwy!
Kiedy w knici gwar psów słyhać,
Strzelam, i zwierz pada w chwili;
Jakże miło tam oddychać,
W których piersiach kiedy milój?
Gdy usiedę przy biesiadzie,
Wino tryska, Paż się zwija,
Myśli płaczą się w nieładzie,
Czyjaż rozkosz żywsza, czyja?
A gdy koni i strzelb krocie
I biesiada i dziewczyna,
Puhar tokajskiego wina,
Drugi, trzeci przy ochocie!
Noc w pieaszczoty jest bogata,
Dzień rozjaśnia szczęście w koło;
Chciałbym żyć, przeżyć wesolo,
Moje lata, koniec świata. —

W zamku rycerze pili i śpiewali;
Za murem który zamek w pieczy trzyma,
Dźwięk słyhać lutni, i śpiew germka w dali:
« Dla mnie już szczęścia i nadziei niéma. »

* * *

W maleńkiej wiosce wśród ubogiej chatki,
Siedział ów germek — przy nim młoda żona
Ręce złożywszy na jego ramiona,
I pogładając na wesole dziatki,
« Śpiewajmy » rzekła — wziął lutnię ze ściany,
Śmiejąc się nócil i grał na przemiany.

Wstać na pracę ze skowronkiem,
Iść w ogrody lub na niwy,
Wracać z zachodzącym słońkiem !
Z rana, w wieczór, jam szczęśliwy !
Gdy ze strzelbą idę w pole,
Na twój obiad szukam ptaka,
W wieczór widzę go na stole !
Co za szczęście, rozkosz jaka !
Kiedy, w wieczór siedząc marzę,
U nóg dziatwa się uwija ;
Gdy drzemię przy dzieci gwarze,
Czyjaż rozkosz żywsza, czyja ?
Noc w pieśczoży jest bogata,
Dzień rozjaśnia szczęście w koło ;
Chciałbym żyć, przeżyć wesolo
Moje lata, koniec świata —

Tak nócąc germek, ujrzał cienie pod oknami :
Był to Król, który nocą wracał z polowania,

I przed germka chałupę stał z towarzyszami,
Przywabiony odgłosem lutni i śpiewania.
I wcisnął oczy w szyby, i widział zdumiony,
Tyle szczęścia w samotnym, w cichym germka domu!
I uważał nadludzką piękność jego żony,
I pochyliwszy głowę, westchnął po kryjomu!
Germek ich poznał — prędko odjechali —
Długo w ciemności ścigał ich oczyma,
I słyszał tylko tę piosenkę w dali :
« Dla mnie już szczęścia, już nadziei niema ! »

WSPOMNIENIA

Z CZASÓW WOJNY NARODOWEJ POLSKIEJ

1831 ROKU.

SPÓLTOWARZYSZOM BRONI

I

SPÓŁPIELGRZYMOM

Poświęca

AUTOR.

ZAPALENIEC MŁODY.

16 grudnia.

Uciekajcie ludzie zgody,
Bo to zapaleniec młody.

Każda choć najdrobniejsza o kraju przemowa
W oczach żar mu obudza i lica płomieni,
Tworzy wnioski z słów błachych, ciało tworzy z cieni;
Przewrotna -- zawichrzona -- bezzasadna głowa --
Jednym słowem, ludzie zgody,
Zapaleniec jest to młody!

Niezgodny, niespokojny, gardzi nędzną radą.
U niego czyny wszystkiém, i nie patrząc końca
Co tylko u nas widzi, chrzci, nazywa zdradą,
Jak ptak nocny co nigdy znieść nie może słońca.
Jednym słowem, ludzie zgody,
Jest to zapaleniec młody!

Płwa codziennie na czasy, ludzi, na ster rządu;
Że źle idzie w ojczyźnie, krzyczy i powtarza;

Nie wierzy w żadne łaski i listy cesarza;

Każdy zdrajca u niego wart kary i sądu.

Jednym słowem, ludzie zgody,

Jest to zapaleniec młody!

Niestety! ma przyjaciół, stronników niemało!

Boć ludzi nierozumnych lada co odurzy;

Ztąd gniewy, narzekania, za to co się stało;

Przekleństwa na praw naszych i ojczyzny stróży.

Jednym słowem, ludzie zgody,

Jest to zapaleniec młody!

Koniec, koniec położyć obowiązkiem świętym,

Kto wraz z nami do celu spokojnego mierzy;

Dość szaleństw — dość odmetu — tylko mocnym pętem

Skrępujemy ręce — czucie — i myśl tych szermierzy.

Sądu! sądu, ludzie zgody,

Zdrajca zapaleniec młody! (*)

Zgadnij — co było? Wprawdzie mógł osieł słowika,

Jeżeli nie prześpiewać, to zagłuszyć rykiem.

(*) Ścigano wielu członków Towarzystwa Patriotycznego, którzy przeciwko dyktatorowi powstawali.

Ale aby bój zacząć i walczyć z młodzikiem,
Trzeba mieć prawdę, ducha i siłę młodzika.
A tak wszystkich ludzi zgody
Zapaleniec zwalczył młody!

NA DZIEŃ DETRONIZACYI.

Krzyczcie na wszystkie cztery świata strony :
Niechaj od jednej do drugiej krawędzi
Głos nasz przez lądy i morza popędzi ;
Na głowie cara niemaż już korony !
Kradzione złoto ze skroni mu zdarto,
Polski wojownik berło mu wytrąca ;
Ludy spółbratnie ! od wieków tysiąca
Dzieje podobną nie zabłysły kartą !

Jednemu Bogu z niczego przystało
Świata olbrzymią wystawić budowę ;
My po nim pierwsi, sercem wzmogli ciało,
Duchem stworzyli zastępy bojowe ;
A słowem jedném jak kiedyś prorocy,
Ze szponów orła i cara północy
Wybili berło wolności narodu.
Ludy ! to czyny — pierwszych chwil zawodu.

Rok tylko życia, a dziecko w olbrzyma,
Młodzieńczy naród w siły świata wzrośnie;
Rok tylko życia! — a po jednej wiosnie
Słońce mnogiemi zabłyśnie oczyma!
My orłem białym wiewając na przodzie,
Gdy krwawy bęben zagrzmi wojny hasło,
Przechodzić będziem naród po narodzie,
Bagnetem błyszcząc, gdzie światło zagasło!

Wtenczas wy ludy, za piersi przedmurzem
Wolnych Polaków danych na ofiary,
Berła, korony, ciężkie wieków kurzem,
Z rąk niedołącznych, z głowy strąćcie starój!
A gdy w rodzinę jedną świat się zmiéni,
Krolów nazwiska będą dzieci strachem:
Kończąc do czego my dziś przeznaczeni,
Pod rodzicielskim wypoczniemy dachem.

DO WOJSKA POLSKIEGO.

6 lutego, gdy Moskale Bug przeszli.

Zedrzymy dawne z proporców sztandary,
Gdzie męczenników zabutwiała truna!
Ztamąd dobądźmy krwawego całuna,
Niech jak płaszcz lekki krwi łaknącej mary,
Wzbija się w górę!

Ot patrzcie - patrzcie! — car napędził chmurę
Narodów swoich — już spadła na ziemię
Ojczyzny naszej, i kurzem się wlecze!
Jak rój błyskawic co w obłokach drzémie,
Krociowe z dymu skrzą się ostrzem miecze;
Jak bracia wichry, gdy huczno z obłoków
W prawo i lewo łamią sobie drogi;
Miasta w perzynę zdeptały ich nogi;
A pęd gwałtowny barbarzyńca kroków.....

Gdzie są pioruny? — ach niema proroków!

Już Bóg nie mieszka w przymierza kościele !
Więc naprzód młodzi wolności mściciele !
Niech nasz proporzec nad rycerstwem wieje !
Ich tłumy liczne — nas prawda niewiele,
Lecz niosąc w piersiach rozpacz i nadzieję,
I wolność — przed ich tłumem niewolniczym
Staniemy z groźnym sędziego obliczem.

Ich kule ślepe — z krwawym ludzi potem
Z otchłani ziemi olów car wywaza ;
Nasze gwiazdziste, gromów prędkim lotem
Przejrzą dumnego szeregi mocarza ;
Bo olów na nie ksiądz wybrał z ołtarza,
Na proch wymienił biędny kmiotek sprzęty,
Ojciec dał dzieci do broni ognistój,
A Ojciec wyższy, w trzech osobach święty,
Dzieciom ojczystym wlał zapał ojczysty.
Więc naprzód dzieci ! czas woła do bitwy —
Strzelajmy, bijmy najezdników hordy !
Dziś cnotą zdrada — dziś zasługą mordy,
Dziś jedną myślą — za wrogiem gonitwy.

Gdy ich wymieciem z Korony i Litwy,

Nie zatrzymane ni Dniestrem ni Dzwina
Niech pułki idą, wciąż walczą i giną,
Aż zatkniesz sztandar z całuną uszyty,
Gdzie był ostatni męczennik zabity.

SPIEW

PO PIERWSZEJ BITWIE I ZWYCIĘZTWIE POD STOCZKIEM.

Zaśpiewajmy cześć rycerzom,
Polskim hufcom cześć;
Niech najwyższe wieże wieżom
Dzwonem głoszą wieść,
Że już bagnet się z bagnetem
I miecz z mieczem wdał;
I my z małym sił poczetem
Dziesięć wzięli dział.

Tam pod Stoczkiem jeszcze ślady
Ich radlących kul,
Bo obsiadły nas gromady
Jako pszczoły ul.
A Gajsmara na ich czele
Możny stawił wódz,

Tysiącami — nas nie wiele
Chciał od razu stłuc.

Zagrzmiał ku nam z dział bez liku,
Konie popchnął wprzód ;
Czernił się tam szyk po szyku
I po ludach lud.
Sam dowódzca był straszliwy,
Zna go Turków pan ;
Mnogiém wojskiem obległ niwy,
My zaledwie łan.

Ale szabla słucha dłoni,
Czuje jeźdźca koń ;
Wódz nasz krzyknął : bij, to oni !
Wróg porzucił broń.
Dziesięć dział ulanych z spiżu,
Pełno żywych głów,
A czterysta tuż przy krzyżu,
Zakopano w rów.

To twój pierwszy liś wawrzynu,
Żyj Dwernicki nam !
Tylko naprzód, Polski synu !
Wszędzie jak dziś łam ;

Wszędzie jak dziś bierz armaty
I w pień wroga siecz,
Aż wyszczerbisz jak przed laty
Na Kijowie miecz.

BITWA POD GROCHOWEM.

Któż się zląkł twych żołnierzy okutych w żelazo,
Twych wodzów, prochów siły, paszcz ulanych z spizu?
« Zgniotę, zniszczę zuchwalców, i za jedną razą
Ujmę świat — drżj Londynie, drżj podły Paryżu!
Naród cały mym nogom zwyciężkim podścielę (*).
Rzucą się wszystkie ludy pod cesarskie stopy,
A ja z tronu mojego jak Pan Bóg w kościele,
Mieczem prawa napiszę ludom Europy! »

Rzekł — rozkazał — z zimową zamiecią i śniegiem
Na skrzydłach wiatrów trąba zawrzała chrapliwa,
Po wszystkich czterech stronach świata się odzywa,
Ze wszystkich czterech części lud jarzmi szeregim.
Tak kiedy morskie wały księżyc pan zdaleka,
Podszczuje gniewném w chmurach zakrwawioném okiem,
Morze piersi wydyma, łeb podnosi, szczeka,
I ziemi całej gardłem zagraża szerokiem :

(*) « Je foulerai aux pieds la Pologne, et Je marcherai contre la France »
słowa cesarza rosyjskiego.

Tak na rozkazy cara, zastępem bojowym
Pułk leje się za pułkiem w pole pod Grochowem.

Słońce było już weszło — Warszawa z mgły siwej
Świątyn krzyżami w słońcu błyskając wysokiem,
Spokojna — jako w duszy naród nieszczęśliwy,
Wyjrzała na obszerne zawiślańskie niwy
Okiem nie trwoźném prawda, lecz i czulém okiem!
Tak dziewczica spogląda wszérz morskiej powodzi,
Gdy jój kochanek życie słabój zwierzył łodzi.
Widzieć w naszej stolicy było bez przestanku
Na każdym wyniesieniu, na każdym krużganku
Tłumy ludzi ciekawych: — tu matka z dzieciną
Łzawém przebiega okiem rozstawione szyki;
Tu starzec z zadumaną, z zasepioną miną
Spychając jedną ręką różańca krzyżyki,
Drugą liczy armaty i głęb wojska mierza;
Tu znów ksiądz od kielicha, hostyi i pacierza
Na wieżycę szczebluje, wypadków ciekawy,
Bo od nich los ojczyzny, los zawisł Warszawy.

Plac bitwy jest obszerny. Nasze prawe ramie
Chwyciło las olszowy, lewe Białolekę,
W środku konnica skrzydłom podawała rękę :

I tak szeregi stały jak tama przy tamie
Czekając nawalnicy. — Z gęstego drzew piaszcza,
Którym w półokrąg dalej najeżone lasy,
Wyglądały czarniejsze silnych wrogów masy,
I zabłysnęło czasem : to armaty paszcza
Na naszych skierowana — to lont — bagnet w świetle;
Albo rzędem na zwiady kozacka konnica
Ciągnie z borów wśród dymu jako czarownica,
Kiedy z gardła komina wyleci na mietle.

My łupu nie żądamy ! jak Wisła spokojna
Kolebie w łonie swoim rysunki kościołów,
Tak w żołnierza sumnieniu — wojna, krwawa wojna
Nie panuje — on tylko chce z tłumu popiołów
Pamiętki wskrzesić przodków, ojczyznę, swobodę !
Starzec pomny na dawne Kościuszki zamiary,
Porwał za broń, i syjąc w broń zabójczy olów
Myśli że mu się jeszcze wrócą lata młode ;
Młody pamięcią zbiega co doświadczał stary,
Marzy jakim był Polak, i zostanie jakim :
A każdy chce być tylko wolnym i Polakiem.

Lecz słuchajcie—grzmot bliski—patrz, armat czterysta
 I pułków dwieście rusza, wysuwa się z lasu ;
 Artyllerya z najmniejszych pagórków korzysta ;
 Słysząc komendę wodzów — zgiełk — pełno hałasu —
 Konnica nieprzejrzana wśród kurzu wyrasta.
 W tej chwili dzwony na mszę uderzyły z miasta ;
 « To dzwony są tryumfu ! » — rzekł wódz z głośnym śmiechem ;
 Przed wieczorem w Warszawie wypoczniecie z pracy,
 Patrzcie na tę ich garstkę, ot wszyscy Polacy ! »
 I śmiech wodza w szeregach odbijał się echem,
 Jak nad skalami, kiedy z błyskiem zagrzmi chmura ;
 Aż w końcu do tysięcznych ust ciągnąc z tysiąca
 W grzmienie przeszedł niedźwiedzia i w skrzeki zajęcia ;
 Głos dwukroćstotysięczny razem wrzasnął hura !
 « Więc armaty niech biją — kolumny piechoty
 Tymczasem las ten wydrą z rąk nieprzyjaciela, »
 Rzekł — lonty błysły w górze i razem jak z nóty
 Piorunem całej linii artyllerya strzela.

Odpowiedziała nasza, — zadrzało powietrze —
 W dymie, jak w płaszczu duchy, nasze kanoniere
 Klęcząc dodają oka kulom i saetrze,
 Chociaż za nasze jedno ich dział bije cztery,

Chociaż ognie ich ryczą jak wulkan w wybuchu,
Dość spojrzeć na ich szyki niespokojne w ruchu,
Które chwieją się ciągle jak na fali łódzie,
Dość spojrzeć na chwilowo rozprysnięte kupy,
Kiedy kula ich z czoła wnętrzości przebodzie,
Żeby za błyskiem naszym liczyć wrogów trupy!
Z stron obudwóch kul tysiąc powietrze rozcina,
A jako twierdzę kiedy prochu spęka mina,
Kamienie, cegły, dachy, rozrzuci szeroko,
Albo jak owa lawa gór strzaskawszy głowę,
Kiedy z wnętrza ciemnego wyświeci swe oko,
Wszystko po drodze niszczy, rozmiata i pali,
Tak granaty gdy śmiganiem w kolumny pułkowe
Ręce, nogi, w powietrze unoszą Moskali!

Strzelajcie, napastnicy! nam w naszej obronie
Zimny proch posłuszniejszy, oko lepiej świeci,
Bo my broń ojców wzniesli na obronę dzieci,
Mąż umrzeć lub zwyciężyć na krzyż przysiągł żonie;
Na nas ojczyzna cała, świat buduje cały,
Szeregom bitnym, przodków orzeł wieje biały.
«Więc naprzód w imie Boga! na las wróg przypuszcza,
Czwartego pułku bagnet już poznała tłuszcza,

Drugi się już odznaczył — granadyery, piąty,
Dziś na was mężni kolój — niech bateria bliska
Kartaczami ładowna zajmie ich ukosem;
Naprzód! » — z krawędzi lasu jak iskry z ogniska
Tysiąc bagnetów błyszczy, migają się lonty,
Lecz i wróg nie daleko. Jako kłos za klosem
Wiatrem na polu wiewa, gdy rodzajne pole,
Tak głowy pułków licznych, tak zgarbione ciała
Idą ślepo wypełniać narzuconą wolę.
Krzyk okropny — tu czarna — tam chorągiew biała;
Na ich czele dowódzca konno się uwija,
Bęben grzmi — już do lasu przeciska się szyja,
A za nią smok ich wojska czarne suwa kłęby;
Już bagnety na naszych jako z paszczy zęby
Obrócili z stron wszystkich — strzał pada na strzale:
Hura! hura! i zewsząd cisną się Moskale!

Bagnet sparł się z bagnetem aż w piersiach przepada,
Gromada jedna padła, znów druga gromada —
Żołnierz polski tysiące trupów w lesie kładzie;
Ten cara przeklinając — coś o dzieciach gada,
I umiera — ten jęczy — ów się już nie wzbudzi;
Ile drzew, tyle przy nich konających ludzi,

A trupy leżą w śniegu jako gad przy gadzie
W naczyniu mleka pełnem — nakoniec w nieładzie
Reszta pierzcha gwałtownie. Ścigają ich nasi,
O zagnali daleko! — lecz słuchaj, jak w mieście,
Gdy wiatr mocny, na rzędem rozstawione domy
Pożar się rozeźrze, nikt go nie ugasi :
Tak oni pulków mając uzbrojonych dwieście,
Posłuszni woli cara jak wiatrom żdźbła słomy,
Powtórnie życie swoje na harc-wszyscy niosą,
Powtórnie znów padają jak zboże pod kosą.
Cóż tysiące im znaczą? Próżno wróg uparty
Całe rzędy żołnierzy, jak stawiane karty
Ręką dziecięcia, lada podmuchem utracą :
Niezmordowana we krwi najezdników praca!
Trzykroć odparci byli, trzy godzin bez przerwy
Bój, nie — rzeź trwała w lesie — nakoniec rezerwy
Ostatnie wróg wprowadza — pola czarne ludem.
Nasi walczą! — choć ręka wysiłona trudem,
Choć dziesięć na jednego z wszystkich stron nastawa,
Każde drzewko jest twierdzą, każdy błysk śmierć rzuca.
I było widzieć w końcu, gdy strudzone płuca
Z stron obudwóch ucichły; zmniejszyla się wrzawa,
Jak nasi za odgłosem trąby do odwrotu,
Podpaliwszy brzeg lasu przeciągali w dymie,

Każdy ojczyzny drogięj na głos krzycząc imie,
I wyświeżone ogniem czoło pełne potu,
I oko rozżarzone, i bróń przytępioną,
I wrogowi raz jeszcze pokazując łono.

To się na prawém działa — z lewego już w przód,
O zwycięztwie zupełnem chodziły pogłoski ;
I tam — świadkiem krwią zlane domy i ogrody,
Dwa razy żołnierz polski wroga wyparł z wioski,
Pędząc przed sobą długo przemożne zastępy :
Z prawego i lewego bagnet nie był tępy.

Przerwa w bitwie na chwilę — Wódz strony przeciwnéj
Plan ostatni ułożył gwałtowny i dziwny,
Konnicą na sił naszych uderzyć ognisko :
Jeśli punkt ten przelamie, a pewno go złamie,
Jednym popędem koni stanie w miasta bramie.
Tak więc choć mroźna ziemia — niebezpieczno — ślisko,
Na kolumnę żelazną wskazał swoim palcem (*);
Nazwał Polaka w gniewie warjatem, zuchwalcem ;

(*) Kolumna żelazna niedaleko Grochowa.

I gdy trąby zawrzały, już szeregi tłumne
W mgnieniu oka z stron wszystkich pędzą na kolumnę!
Oktawami głośniejsze im pędzły bieg koni (*),
Dowódców słyhać zewsząd wrzaskliwe komendy;
Stęp kopyt jak grzmot ciągnie — jak pękanie lodu
Gór alpejskich, ich trąba coraz głośniej dzwoni,
Jak wały rozhukane, w galopie ich rzędy
Płyną, huczą, wrą!

Czyście widzieli dzikich koni stado
Gdy po puszczech wiatr goni rozdętymi boki?
Czyście słyszeli ryki tysiąca niedźwiedzi?
Taką jak dzikie konie pułki ich gromadą,
Lecą bijąc tumany pod same obłoki,
Tak jak niedźwiedź, gdy z gniewem już na pastwie siedzi,
Tysięcy jeźdźców wrzaski rozdarły powietrze,
Na proch garstkę Polaków koń, i jeździec zetrze!

Kirassjerów pułk gwardyi nieśmiertelnym zwany,
Sadząc czarnými końmi przez szerokie łany

(*) Komendy rossyjskie w ataku coraz głośniejsze im żywiój nacierają: tak więc stęp zwyczajnym, kłus mocniejszym, galop wrzaskliwym, a marsz cienkim głosem komenderują.

Przodem pędził—z pod płaszcza, z pod rozwartéj pachy,
Bo każdy wyniesioną w górę broń swą trzyma,
Puklerzów błyszczą złotem rozświecone blachy,
O blachę grzmi pistolet na długim rzemieniu;
Szyszaki na ich głowach drgają czarną kitą,
I broń leci za bronią, oczy za oczyma,
Koń z koniem, człek z człowiekiem, ramie przy ramieniu,
Coż się stało? — uciekli! a resztę zabito.

Cóż się stało? — uciekli — tylko rzędem długim
Koni pełno i ludzi po ziemi się wala;
Tylko w blachy ich złote jak młoty kowala
Biją lance, bagnety — a pułk piąty z drugim
Ulanów naszych dzielnych, wypuściwszy konie,
Długo ich jeszcze ścigał przez grochowskie błonie,
Aż z nocą — nigdzie w okrąg niebyło Moskala!

Któż się zląkł twych zastępów okutych w żelazo,
Twych wodzów, prochów siły, paszcz ulanych z spizu!
« Zgniotę, zniszczę zuchwalców, i za jedną razą
Ujmę świat — drżj Londynie, drżj podły Paryżu!

Naród cały mym nogom zwyciężkim podścielę :
Rzucą się wszystkie inne pod cesarskie stopy,
A ja z tronu mojego jak Pan Bóg w kościele,
Mieczem prawa napiszę ludom Europy ! »

HYMN ZWYCIĘZTWA

PO BITWIE POD WAWREM I DEBEM.

Z wiosennych kwiatów niech koronki wija,
Na laur żołnierzom dziewic naszych ręce ;
Niechaj łzy starca, i krzyki dziecięce
Błogosławieństwem w szczyty niebios biją ;
Niech zagrzmią dzwony, i organy szyją
Nadętą w hymny uderzą ;
Sztandar nad każdą niech zabłyśnie wieżą,
Moskal pod Wawrem pobity !

O gdybym śpiewem mógł czucie w granity
Wsączyć i łzami roztworzyć krew ludzi,
Śpiew moj, jak obłok ciągnie przez błękity,
Światy przeleciał zimny, nieużyty,
Łzyby paliły — ale któż obudzi
Płaczem i pieśnią zwyczajną

Ludy służalcze i ziemię przedajną
I starców w młodości wieku !

Precz więc zgnuśniały bez serca człowieku,
Nie dziś dla ciebie brzmią zwycięstwa hymny ;
Wiekom śpiewamy — i wiek je po wieku
Jak skrzydło ptata w polocie wiatr zimny
Dopchnie ku przyszłej prawnuków puściźnie,
Co dziś zabrzmiało w ojczyźnie;
Hymn nasz, on w świata rozrośnie się hymny
Zwycięzcom, wojsku, wodzowi !

Śpiewajmyż wszyscy — niech każdy pozdrowi
Jak żeglarz gwiazdę, orła przy pogoni,
Wieszczce ! zdejmujcie laur dawny ze skroni
I wielkiem kołem do śpiewu gotowi
Dzisiaj w zieleńsze ubierzcie się wieńce !
Oto są moskale, jeńce !
Oto armaty, oto ich sztandary !
Zdobyło je wojsko wiary !

« Niech żyje wojsko, bracia, przyjaciele ;
Dziś czas zmartwychwstać kto obumarł w duchu !

HYMN Z WYCIĘZTWA.

257

**Już alleluja śpiewają w kościele.
Dalej do broni, do życia, do ruchu,
Zapalcie wszystkie razem w kraju wieci!
I z nami starcy, kobiety i dzieci!
Obóz nasz będzie ojczystą zagrodą,
Wszystkich na wroga niech wiodą!»**

MODLITWA OBOZOWA.

Dnia 7 maja, w obozie pod Rudzienką.

**Nie na różańca pierścienie
Dziś liczymy modlitwy nasze,
Niech grzmą działa, lśnią pałasze,
I za szeregowe pienie
Ozwą się jedne modlitwy :
Do Litwy, wodzu, do Litwy!**

**Nie ten z Bogiem kto pacierze
Z książki odczytuje pilnie,
Bóg z tym trzyma nieomylnie
Kto w wolności działa wierze!
Nasze więc jedne modlitwy :
Do Litwy, wodzu, do Litwy!**

**Kraśne są Niemna doliny,
Kraśniejsze Litwinów serca,**

Złączą się z nami Litwiny,
 A życ skończy przeniewierca;
 Dziś niech wspólne grzmią modlitwy :
 Do Litwy, wodzu, do Litwy!

Tam wystawim ołtarz wiary,
 Ołtarz będzie nad ołtarze;
 Czołem mu wytną mocarze,
 Car nam stanie na ofiary.
 Héj, za wrogiem dziś gonitwy,
 Do Litwy, wodzu, do Litwy. !

Kędy słupy Bolesława
 Groźne rozbijały fale,
 Niech nasz kościół bracia stawa.
 Ja w nim kadzidla zapalę ;
 Bo znam waszych serc modlitwy :
 Do Litwy, — dalej — do Litwy!

Proch wygrzebiem z ziemi głębi,
 Ofiar drgające ostatki,
 Niech się w niebo dym rozkłębi,
 Niebo nam służy na świadki,

Na świadki mściwej modlitwy,
Nieszczęść Polski, nieszczęść Litwy !

Łzy spółbraci niech za ciało,
Za krew w kielich leją księża ;
W jęk niech kapłan śpiew wyteża,
W jęk piekielny : — « tak się działo ! »
My śpiewamy krwawe bitwy :
Mordy Polski, mordy Litwy !

Czas zastąpi ofiarnika,
Zimny świat nam mszy posłucha,
I za odmiar nędzy ducha
Niech go śpiew nasz wskrós przenika.
My śpiewamy krwawe bitwy :
Mordy Polski, mordy Litwy !

Jako iskra gdy w przelocie
W ciało prysnie, płomień wznieci,
Tak śpiew nasz ziemię przeleci
I zapali duchów krocie ;
Śpiewać będą krwawe bitwy,
Tryumf Polski, tryumf Litwy !

Świat cię przeklnie dumny człeku,
W tobie nieszczęść wszystkich wina,
Kląć cię będzie wiek po wieku,
Jak cię śpiew mój dziś przeklina :
Giń morderco Polski, Litwy,
Oto koniec méj modlitwy !

ŚPIEW

OCHOTNIKÓW POZNAŃSKICH WYCHODZĄCYCH NA LITWĘ.

Dnia 26 maja.

CHÓR.

Héj! rozpuśćmy cugle koniom,
Dalej bracia pędźmy w biegu;
Tam, na tamtym Litwa brzegu —
Nieśmy wolność Litwy błoniom!

GŁOS.

Kto bez serca niech się wstrzyma,
Tępy wzrok niech duszę mroczy;
My wolności mamy oczy,
A wzrok wolny granic nie ma!
Z biciem serca idzie w parze,
Z myślą leci w niebios szczyty,
Prochem przed nim są mocarze,
Sam Bóg przed nim nie ukryty.

CHÓR.

Héj! rozpuśćmy cugle koniom,
 Dalej bracia pędźmy w biegu;
 Tam, na tamtym Litwa brzegu —
 Nieśmy wolność Litwy bloniom.

GŁOS.

Patrzcie o Litewskie syny!
 Niech weselne zagrzmią dzwony,
 Oto pierścień nie zgwałcony
 Śle wam Polska w zaręczyny.
 On z prawicy Franków zdjęty,
 Świat cały kiedyś zaręczy,
 On przymierzem naksztalt tęczy!
 Bierzcie bracia pierścień święty!

CHÓR.

Héj, rozpuśćmy cugle koniom, etc. —

GŁOS.

Litwa z Polską, Polska z Litwą!
 Jedne ich cele, nadzieje;
 Tylko bitwa wciąż za bitwą,
 Bronią pędźmy czas i dzieje!
 Za broń, za broń tylko żwawo,
 Dość już więzów, dość niewoli,

W ludów życia inna kolój,
Wszak i słońce wschodzi krwawo.

CHÓR.

Héj! rozpuśćmy cugle koniom, etc.

GŁOS.

Niech się krew leje strumieniem,
Krew ta drogo zapisana;
Ona spłynie pokoleniem,
Kar i nieszczęść na tyrana;
Anioł z nieba w złotą czarę,
Każdą kroplę krwi téj zbiera,
Wié każdego—kto umiera
Za wolność—ojczyznę—wiarę!

CHÓR.

Héj! rozpuśćmy cugle koniom, etc.

GŁOS.

Tak więc za ślubne ołtarze,
Za godło jedności naszej,
Niechaj Litwa z Polską w parze
Ostrze podniesie pałaszy;
Śmierć albo zwycięstwo wszędzie,
Wolność lub śmierć wszędzie razem,
Niech przysięga naszą będzie,
Ślubu naszego obrazem!

I rozpuścimy cugle koniom
I za wrogiem pędźmy w biegu;
Polska, Litwa na tym brzegu —
Cześć, cześć Polski, Litwy błoniom.

CHÓR.

I rozpuścimy cugle koniom
I za wrogiem pędźmy w biegu;
Polska, Litwa, na tym brzegu —
Cześć, cześć Polski, Litwy błoniom!

NA DZIEŃ POSPOLITEGO RUSZENIA.

Otworcie bracia świątyni podwoje,
W lilie i róże obstrójmy ołtarze;
Niech kapłan bierze mszy tajemne stroje,
I wdzwony zagrmieć rozkaże!
Módlmy się! — głosy wiary i cierpienia
Błyskiem przenikną przez niebios sklepienia,
I o Boga słuch uderzą!

Zagaśmy światła gromnic godnych nocy,
Wszereż okna wszystkie otwierajcie księża,
Zbrodnia niech mroków przyzywa pomocy,
Przy słońcu cnota zwycięża!
Módlmy się! — głosy wiary i cierpienia
Błyskiem przenikną przez niebios sklepienia,
I o Boga słuch uderzą!

Świątym jest kościół! — ale dziś kościoła
Obręb za mały dla wolności ducha;

Ná bok więc mury!—gdy lud cały woła,
Niebo i ziemia niech słuca!
Unośmy ołtarz!—on światło powita,
Przed światem całym niech mszą kapłan czyta,
Ona mąk naszych obrazem!

Mordy, pożogi, gwałt żonom zadany,
Zniewaga dziewic, nasza rozpacz zimna,
Niech będzie treścią bogobójną hymna,
Tak prosimy Pana nad Pany!
Módlmy się!—głosy wiary i cierpienia
Błyskiem przenikną przez niebios sklepicia,
I o Boga słuch uderzą!

Przecież kto ręczy, że zaczęte modły
W umarłych ustach nie zastygną razem?
Wróg nam zagraża ogniem i żelazem,
Nadzieje często zawiodły;
Więc dzisiaj głosy wiary i cierpienia
Niech śmiała ręka w śmielszy czyn zamienia,
Do broni, ludu, do broni!

Nie czekaj bracie aż ksiądz od ołtarza
Morderczą ręką będzie wywleczony,

Nieczynność, Boga i ludzi obraża ;
Rękę dał Bóg do obrony,
Ręka uderzy! — godzina wybiła
I padnie przed nią nieprzyjaciół siła,
Do broni, tylko, do broni!

Kapłan w ornatach z krzyżem i kadzidłem
Niech naprzód idzie, prowadzi gromadkę :
Oicowie, syny, opuszczajcie chatkę,
Pod Boga zostanie skrzydłem ;
Czekają na was bracia, przyjaciele,
Jak podniesienia pobożni w kościele,
Jak nieba bliski skonania!

A wy, dziewice, skoro szyk bojowy
Wszystkie świąteczne chorągwie rozwinię,
Bierzcie Maryą! — niech wianek liliowy
Ozdobi Matkę przy Synie.
I wszyscy razem — naprzód, żwawo dzieci,
Gdy błyszczą żarem pagórkowe wieci,
Na wroga, wszyscy, na wroga!

Jak wały morskie gdy je wiatry wzmogą,
Jak błysk gdy chmura podniebowa ciśnie,

Taką po wrogach będziem deptać nogą,
Taki grom z ręki wybłyśnie!
Próżno się dumny odgraża silami,
Bóg, Wiara, Wolność, dziś walczy za nami,
Biada mu, biada na wieki!

Tylko wytrwale, a z Bogiem skończemy,
Tylko z tą wiarą co przodkowie czcili,
Tylko się w cnoty niech każdy wysili,
Na zbrodnią głuchy i niemy.
I za broń bracia! — modły i cierpienia
Bóg z bronią naszą w cuda pozamienia,
Do broni, Jezus Marya!

Niech głos : do broni! jak tchnienie zarazy,
Do każdej chatki i zakątku wbiega,
Niech się po całym kraju dziś rozlega,
Po tysiąc tysięcy razy;
I serce ogniem niebieskiem rozdmucha,
W olbrzymie kształty wzniesie siłę ducha,
Do broni, Jezus Marya!

Starcze stóp siły pozostałe w życiu,
Z młodzieńca jeszcze nierozkwitłą siłą,

270 NA DZIEŃ POSPOLITEGO RUSZENIA.

Mężu opuszczaj małżonkę zażyłą,

I synka twego w powiciu ;

W imie wszechmocne, w imie przodków wiary

Na oltarz nieście ostatnie ofiary,

Do broni, Jezus Marya !

Wojska nasze na Litwę wyprawione pod dowództwem generała Chłapowskiego i Giełguda składają broń na granicy pruskiej — generał Dembiński wraca do Warszawy — a tak powstanie litewskie zupełnie przytłumionem zostaje. Tymczasem, po śmierci Dybicza, feldmarszałka rossyjskiego, Paszkiewicz komendę ujawszy, wszystkie siły nad Wisłą koncentruje, i do przeprawy przygotowania czyni. W całej Europie spokojność. Prusacy wszelkiemi sposobami łamią neutralność przyrzeczoną — Francya nieczułym okiem na sprawę naszą spogląda — sami sobie zostawieni jesteśmy.

DO LUDÓW.

W Warszawie, dnia 27 lipca.

Sluchajcie ludy! — Kiedyś — niedawno
Żył naród wielki i wolny,
I zginął zdradą — świat nie był zdolny
Czuć zdradę, zbrodnię tak jawną.
Sluchajcie dalej! — Później znów ożył
W swojej i świata obronie,
Krew lał strumieniem i chwilę pożył,
Świat go opuścił przy zgonie!

Tu przerwa w dziejach! — W wielkim narodzie
Inne jest życie, śmierć inna,
Chociaż upadnie, dusza jest czynna
Jak słońce — gdzieś — po zachodzie!
Łzami karmione serce tężeje,
Czucie zamknięte w moc rośnie,
I życie wszakże wznaga się po śnie,
Po stracie wschodzą nadzieje!

Błysły! — jak księżyc w kłębie chmur błyska,
Choć przed nim tarcz swą noc trzyma,
Jak w nocy ciemnej, choć słońca nie ma,
Z wiecznego słońca ogniska
Gwiazdy przypomnień błyszczą oczyma,
I śmierć — gdzieś zbudza na nowo :
Błysły, i ręka była gotową,
I ciałem stało się słowo!

Opadły więzy! — i powstał naród —
Wybiła chwila — skończono.
W młodości dojrzał cnót wielkich zaród,
Młodości zrosło się grono;
Ramie z ramieniem siłę stworzyło,
Zapał się w cuda rozwinął,

Ludy! — ten naród który zaginał,
Dziś ducha zmartwychwstał siłą!

O gdybym we łzach mógł moje pióro,
We krwi umoczyć niewinnej!
Gdyby jęk matki i płacz dziecinny
W pieśń można przelać ponurą,
Śpiewałbym Bogu, ludziom i światu,
Przyszłości, wiekom po wieku,
Jak z jarzma rękę brat dawał bratu,
Czém jest duch twórczy w człowieku!

Dziś — w potop zdarzeń arka już pchnięta
Na czasu wznosi się fali,
Tylko majtkowie niech będą śmiali,
Porwijmy kotwicy pęta,
I płynąć! mniejsza że niebo się chmurzy,
Stér naprzód — na wiatry żagle!
Piersią naglijcie jak ja bieg nagłą,
Wolność jest celem podróży!

Oczy na gwiazdy, rękę na stérze,
I tak przez czasu obszary,

Kto myśli szczerze, kto działa szczerze,
Kto pełen czucia i wiary,
Takiego majtka morskie topiele
I losy szanują ziemi;
Jego duch jako ołtarz w kościele
Nad człkiem—między świętami!

Puścim gołąbka—ptak srebrnopióry
Niechaj świat cały okoli,
Niechaj się wzbija w niebo, do góry!
I znów się zniża do woli.
Jak ptak Noego dojrzał gór barki,
I różczkę przyniósł oliwy,
Tak i nam różczkę świat litościwy
Przez gońca przyśle do arki.

Wzleciał i zniknął—o bracia moi!
Paść nam przed Boga obliczem;
Tam każda cnota na wadze stoi,
I cud u Boga jest niezem.
Bóg może natchnie narodom duszę,
Krew to ich serca się leje;
Ludy, pomnijcie! wspólne są dzieje,
I wspólne ludów katusze.

Patrzcie, o patrzcie, jako bez miary
Krew nasza płynie strumieniem;
Już pokolenie za pokoleniem
Ginie jak w ogniu ofiary.
A wy płaczecie! — marne płakanie,
Gdy działać trzeba z zapalem ;
Upadniem — wieczność naszym udziałem,
Ale cóż z wami się stanie?

Jak krwią twarz zbawcy na chuście świętej
W wieczne się czasy odbiła,
Tak i wam, ludy, cud niepojęty,
Tajemna krwi naszej siła,
W pamięci nasze męczeńskie życie,
Obraz mąk naszych wytłoczy;
Każda myśl wasza mieć będzie oczy,
I każdą na nas spójrzcie!

Zabitych matek tysiące, matka,
Brat, tysiąc braci przypomni,
A wasze dzieci, wnuki, potomni,
I aż do wieków ostatka,
Jak my za wolność giniemy razem,
W jarzmie upadną pod mieczem,

I umrą dla was z kłątwy wyrazem,
Bo my wam dzisiaj złorzeczem!

Słuchajcie, ludy! — kar bliska chwila
Prędzej czy później uderzy;
Patrzcie, duch reszty wolnych rycerzy
W siódmój się pracy wysila;
Siódmy już miesiąc prac u półowy,
Lecz słyscie, ósmy nie minie,
Świat wielki, wolność, wszystko zaginie
Jak płomyk lampy grobowej!

Jeden-li tylko na martwym tłumie,
Na trupach licznej czeladzi
Tron swój żelazny, ciężki osadzi,
Tron wyniosłości i dumie.
Ztamtąd — o zgrozo — resztki narodu,
Szkielety w czleka postaci,
Zarządzać będzie aż w więzach z głodu
I mordów reszty nie straci!

To wasza przyszłość! — płaczcież więc, ludy,
Nie nas, lecz własnej kolei,

My — póki serce — nie zginiem wprzód,
Nie traćmyż bracia nadziei.
Jak dusza z ciałem tak się dłoń z dłonią
Do końca potrzymania szczerze,
Mniejsza co przyszłe losy odsłonią,
Umrzemy w wolności wierze!

W OBOZIE POD BOLIMOWEM.

Dnia 5 sierpnia.

Kiedys — z czasem — gdy w siedzibie
Przodków moich, w chatce mojej,
Znów zasiądę wśród rodziny,
A słoneczko się złotem przejrzy w starzej szybie,
Może i pamięć złotem się obstoi —
Wtenczas, słuchajcie wszyscy — nie błahe nowiny
Lub miłości zastygłe, uczucia kłamliwe,
Zasłyszycie w powiastce — ja mą duszą stanę
Nad przeszłości brzegiem,
Utonę w niej jak w pięknym cichych wód kryształach,
Gdy z wichrami przejdą fale,
Tonie księżyc swym obiegami,
I oko w głąb wciskając ślady znane kradnie
Okrętów zgruchotanych i koralów na dnie.

Może powieść, wspomnienie przez zapalony mowy
I przez waszą uwagę do uczucia się wzbije,
Wtenczas jeżeli dłonie czyje
Arfę zwykły obiegać — niech sięgną ku stronie,

Muzyka twoja w pamięć moją wwonie,
I śpiewać zacznę do grania połowy!

Wsparty na żony ramieniu,
Lub dłoń ciskając przyjaciela,
Pójdę za głosami twóimi,
A gdy zakończyć będziesz, i w ostatniem brzmieniu
Ostatni przegraj w strony ręka porozstrzela,
Ja śpiewać zacznę — wtenczas ty wolności
I ciszszymi dźwiękami dopomagaj śpiewom;
Tak rosa z niebios pada, i kwiatom i drzewom
Do porostu kropelką czystą dopomaga;
Tak i hymn pobożnemu, kiedy Boga błaga.

Jako starzec znudzony lubi dawnym czasem,
Upominkiem z przeszłości przymilić wieczory
Z końcem grudnia zakrzepłej i zimowej pory,
Kiedy siedząc spokojny za świata hałasem,
Ledwie zasłyszysz jak wiatr szyby drażni :
 Tak i często człek młody,
Po odbytej w swém życiu zawichrzeń kolei,
Szczęśliwy, jeżeli myślą przeszłość zbiegłszy wprzód,
Gdy nigdzie nie spotyka i śladu nadziei,
Może jeszcze zamarzyć na łonie przyjaźni!

Zmiana naczelnego wodza — Dzień 15 i 16 sierpnia — wojsko cofa się pod Warszawę — Przesem rządu Krucowiecki — Dnia 6 i 7 września szturm Warszawy.

W NOCY PO PIERWSZYM DNIE SZTURMU.

Spójrzałem w niebo — gdzie noc płaszcz swój ciemny,

Jak wir żaloby zwiesiła,

Gdy tam jej nie ma — gdzież jest boska siła!

Gdzie jest Bóg dobry, wzajemny?

Patrzyłem długo — i w niebios przezroczy

Jak lampy grobu gwiazd błysło tysiące,

I błysły jako oczy konające!

I z nieba spuściłem oczy!

Spójrzałem na dół — a tam trupów stosy;

Ziemia leżała jako olbrzym czarny,

Z ust swych buchała parę mgły oflarniej,

Czy przekleństw teńnienie — i słyzałem głosy,

Głosy jęcząco konających wkolo,

I z ziemi podniosłem czoło!
Tlały radośnie w około ogniska,
Tu naszych — z drugiej strony ognie wroga;
Tak blisko zemsta — nienawiść tak bliska,
A śpią dokoła, i spokojni wszyscy!
Westchnąłem — tak i ludzie Boga bliscy,
A przecież wiecznie wzgardzeni od Boga!

Nim zórze niebo na wschodzie zapłoni,
Jak na sąd boży rwą się wszyscy razem,
Krzyczą okropnie : do broni! do broni!
Szczękają w około żelazem;
I ja dosiadłem dzielnego rumaka,
Serce mi żywiój, mocniej uderzyło;
Pędzę — za wolny — chciałbym skrzydłem ptaka,
Chciałbym na wroga olbrzyma wpaść siłą,
Życie mu strzaskać prawicą Kaima,
Pędzę jak ślepy — sam Bóg mnie nie wstrzyma!

Dnia 8 września wojsko nasze ustępuje do Modlina — później do Płocka. Dnia 23 września rada wojenna, na której sześciu tylko generałów za trzymaniem się do ostatka wotują — Sejm się zbiera — Nad wieczorem generał Umiński ogłoszony naczelnym wodzem, w dwóch godzinach po obraniu, widząc że się inni bić nie chcą, naczelnictwo składa; — wojsko nasze waleczne, ani w jednej bitwie nie zwyciężone, z rozkazu ostatniego naczelnego wodza, generała Rybińskiego, na granicy pruskiej broń składa, i do Prus wchodzi.

WCHODZĄC DO PRUS.

Gdzie wojsko nasze bitne? gdzie Wawru rycerze?
Gdzie Grochowa zwycięzcy, Warszawy obrońce?
Ich sława w burzy tonie jak skrwawione słońce
Zaszło — na tamtym świecie miejsce swe zabierze!

Szczęśliwy, kto schronienie już wynalazł sobie.
Jak pielgrzym, co przed burzą w ciemną grootę bieży,
Tak on wszedł w grób przed hańbą! ojczystych pacierzy
Uczyć będą ojcowie synów na twym grobie!

Twoją pamięć wykarmi w krwi swojej dzieciny
Matka sycąc ją łzami z niemowlęcym mlekiem,
I z rodziny przechodzić będzie do rodziny,
I o niej tylko mówić, śpiewać wiek za wiekiem.

Nam inaczej! — zwycięzcy stoim zwyciężeni,
Napróżno piersią pełną wzmaga się głos wojny,
Żołnierz na kij żebraka broń swoją zamieni,
I prosząc chleba rycerz — pójdzie w świat spokojny.

Kto tak przejrzał? o pytaj przekleństwa tysięcy!
Patrz na uścisk ostatni — długi — zobopólny
Matek z dziećmi — kochanków — płacz sierót dziecięcy;
I zapytaj żołnierza, czy bić jeszcze zdolny?

Stało się — wołał śmierci — umierać nie dali.
Na obcą ziemię pędzą nieszczęśliwą rzeszę,
Więc i ja tu w ojczyźnie lutnię mą zawieszę,
I z wami, bracia, pójdę — dalej, coraz dalej!

Tylko jeszcze ostatni raz paść na kolana,
Raz ostatni ucałuj prochy matki twojej,
I teraz w pochód — patrzaj! — graniczny słup stoi!
Tyle ofiar! — krwi tyle! — napróżno przelana!

Rozłam broń—rzuć daleko—wbij nogą proch w ziemię.
Gdzie nas wiodą, tam zbrodnia pokazać się z bronią,
Kusiło się na próżno krocie wrogów o nią,
Dzisiaj — może na wieki — już senna zadrzemie!

W ROCZNICĘ.

Dnia 29 listopada.

CZAS PRZYSZEDŁ ZWIASTOWANIA! — Na całym zachodzie
Okrzyk powstał tryumfu — jako piorun silny —
Był to grzmot bez piorunu! naród (*) po narodzie
Biorąc hasło Paryża, w nadziei omylniej
Porywał się z letargu — i osłabłe ręce
Ku zachodowi wznosił z jarzmiącej niewoli.
Próżno! — były to tylko okrzyki dziecięce,
A czyn ich? — z hukiem na dół rzucona kaskada,
Która czując wysokość, gwałtownie upada,
Aleupadłszy — płynie zmęczona — powoli.

Narody oszukane do ziemi przypadły,
Cicho wiały z zachodu w trzech kolorach wstęgi;
Na północy — w dwóch światach szeroko rozsiadły
Car jeden z krzykiem gniewu wzniosł berło potęgi,

(*) Rewolucya lipcowa.

I nim trząsnął — od granic wody lodowatęj
Aż do muru chińskiego znak przeleciał Pana,
I pięćdziesiąt milionów padło na kolana,
I czołem uderzyły dwa pobratnie światy.
Dał znak drugi — jak wiatrem awalansza śniegu
Zepchnięta lecąc ślepo, rośnie coraz więcej,
Tak wojska państw ogromnych od brzegu do brzegu
Nim się zwały — urosły w trzykroć stotysięcy.
I trzykroć stotysięcy pan wiedzie nad pany,
I drugie tyle królom wycisnie po drodze!
I sześćkroć stotysięcznych wojsk schwyciwszy wodze,
Popchnie w zachód — lud zdepcze — i wtrąci w kajdany.

**CZAS PRZYSZEDŁ NARODZENIA! — Patrz — z Niepokalanéj,
Ducha świętego sprawą syn wyszedł prawdziwy.
Młodzież go urodziła w uczucia prostocie,
W mgnieniu oka czyn śmiały rozbłyśnięty w dziwy,
Zachwiał w mocarzu myśli i wojsk jego krocie,
Orzeł nasz ludów wszystkich oklaskami wzbity,
Jak owa gwiazda wschodnich królów przewodczyni,
Skrzydłem swém białém świata przeciągnął błękity,
I nad ludem swym zawisł jak lampa w świątyni!
Arkę została Polska — wolności przymierzem,
Z niej miało światło wiary rozplynać po świecie,**

I ludy wszystkie kiedyś wierzyć, jak my wierzem,
Że przemoc upadź musi, gdy dzielnie zechcecie,
Że olbrzyma potrafi zgnieść Wolności dziecię!

Cześć więc polskiej młodzieży! jakiej święta Panna
Doznała, kiedy Boga ujęła w ramiona.
Cześć im! — niech w wieki późne wybawców imiona
Nieskazone przeniesie stujęczna sława;
Pamięć ich łzami ludów niech będzie karmiona!
A my śpiewajmy dzisiaj : hosanna, hosanna!
Wolności zbawicielki Betleem Warszawa!!
Wolności zbawicielki Betleem Warszawa!!

CZAS PRZYSZEDŁ. MĘKI ŚWIĘTEJ! — Od Niemna do Wisły
Miasta, wioski, pożarów płomieniem zabłysły;
Wróg na nas z knutem przyszedł, i z ogniem i z mieczem.
Żony nam zabijano — dzieci — niemowlęta,
Męczenników strumieńmi lała się krew święta,
Biliśmy — złorzeczyli — jak dzisiaj złorzeczem;
Próżno — napróżno waleńm wzrastały mogiły,
I trzykroć siły nasze stargały ich siły,
Zwycięzcy, my nie z jednym walczyli narodem.
Z trzech stron czarne przemocы zawiwały sztandary,

Dwóch królów się złączyło z północy Herodem,
I Bóg zażądał ofiar — spełnione ofiary!

Bracia moi! — nadzieja! — jeśli głosy wieszczce
Nie uwodzą, czas przyjdzie ZMARTWYCHWSTANIA jeszcze.
Przyjdzie czas WNIĘBOWZIĘCIA — laur z krzyża wyrośnie,
Tułacze znów się zbiegną na PAŃSKĄ WIECZERZĘ,
Jak kiedyś apostoły Chrystusa radośnie,
My Polskę powitamy! i Polak zabierze
Miejsce między ludami, i na siłach dzielny,
Jak dwa razy zrodzony — będzie nieśmiertelny!

ZAKOŃCZENIE.

W Dreźnie.

Nie miękkie rymy skandowanych wierszy,
Z których pospólstwo laur z czasem upłata,
Nie w beczynności przemarznięte lata
Wabią mi ducha—moj duch w oku szerszy
Świat cały, niebo, podgarnia pod siebie!
Jako ów żeglarz na wody przestworze,
Depcząc okrętem rozhukane morze,
Bieg swój z gwiazd czyta na wysokim niebie!

Żyłem wśród burzy—myśl moja toczona
Jak wały morskie, ujęła w ramiona
Zgrzybiałej ziemi zapleśnione końce;
Myślałem zepchnąć z starego łożyska
Ziemię schorzałą i słońce co błyska,
I z ziemią stopić z nieba zdarte słońce!
Rozkosz to była pędzić żaglem burzy,
Na łodzi zatlić portowe latarnie,

Myślić że łódź ta świat cały ogarnie,
Tylko mi płynąć, dłużej było, dłużej!

Dopadłem ziemi na drzewa odłamie,
Szukałem próżno braci mych żeglarzy :
Tu inni ludzie—cichość na ich twarzy
I lza przelotna w oku litość kłamie.
Mówić—nie pojmą—język ich zgrzybiały,
Długi, rozwlekły—myśl w słowach zagasła,
A czyny w myślach—nie nasze to hasła,
Które króle, czas, narody drżały!

W piersiach jedynych zabrzmiały na nowo,
W piersiach raz drugi dalekiemi echy,
Wszystkie nadzieje, uczucia, pociechy,
Zrosły się w myśli—przetworzyły w słowo.
Jam śpiewać zaczął!—jak pieśnią grobową
Śpiewają pamięć tych, których już nie ma.
Aż z końcem pieśni—dzisiaj—przed oczyma
Znów co innego—rzucam gnuśne pióro :
Czynów mi trzeba w błyskawicy pędzie,
I walki z czasem—ludźmi i naturą,

I wojny takiej jak w mej duszy — wszędzie!
Chciałbym znów działać, i w czynów zachwycie
Na nową burzę, na nowe rozbicie
Pchnąć się — i zginąć — gdy lepiej nie będzie.



SONETY WOJENNE.

1950

JENERAŁOWI

UMIŃSKIEMU

w dowód

WYSOKIEGO SZACUNKU

NA PAMIĄTKĘ

Kampanii z roku 1831, pod jego rozkazami odbytej,

Poświęca Autor.

Drezno, 7 grudnia 1832 r.



WSTĘP.

Jak na sąd, kiedy zagrzmi trąba archaniola,
Rospadnie się grunt ziemi jak przerznięty stałą,
Ludzie, narodów tysiąc jako listki fałą
Porwane będą, skoro głos wielki zawoła;

Na jedno słowo świat się zmieni w gmach kościoła,
W kadzielnicy wszechmocnej słońca ziemię spalą,
I popioły opadłe złych w piekło powalą,
A ku niebu się wzbije drużyna wesola,

Tak tu, na ziemi, bitwa sądu jest obrazem.
Od jęku dział i grzmotu ziemia drży w przestrachu,
Kłęb się dymi po kłębie jak ręka w zamachu

Wznosi w górę, i znika gdzieś w niebieskim dachu,
Barbarzyńcy z przekleństwa konają wyrazem,
My z rozkoszą za wolność umierajmy razem.

NATARCIE KONNICY NA KONNICĘ.

Znak do natarcia dany — wtém dwa ciała żywe
Jak dwie chmury, nim grzmot z nich śmiertelny wystrzeli,
Wolno się posuwają na wietrznej topieli,
Coraz bliżej nadchodzą, krwi i mordów chciwe.

I znak drugi uderza — i koń wstrząsnął grzywę,
I parsknął — okiem strzelił — i żywiej i śmieliej
Kopytem dziarskim ziemię pod nogami dzieli,
Jakby wiedział, że niesie wyroki szczęśliwe.

Marsz, marsz! trzeci raz słyhać — patrz — na skrzydłach fali
Nie tak ku niebu morze miota się z otchłani
Jak jeździec, jak koń pędzi — ziemia się tumani —

Krzyk okropny — szczęk broni — znani i nieznani
Mieszają się — kto wygrał? — nie rozpoznać w dali.
Tamci pierzchli — z trupami zwycięzcy zostali!

WZIĘCIE ARMAT NA GÓRZE STOJĄCYCH.

Parskają w biegu rączym rumaki gorące,
Na koniach młódź bojowa posuwa się nagle,
Wieją nasze proporce jak zwycięstwa żagle,
Lasem sterczą do góry lanc ostrych tysiące.

Tam, na gór wierzchu stoją działobitnie grzmiące,
Te wziąć trzeba! — i lancę z ręki na dół nagle
Spuścili z szumem wszyscy — i ja konia nagle,
I ja w ten potok żywy konia nogą wtrączę,

I wtrąciłem, i pędzę jak kropla w potoku.
Marsz! marsz! już koń rwie wiatry, już ziemia zadrżała,
W tym błysk z grzmotem — kartacze świsnęły w obłoku,

Sto koni i sto jeźdźców w rączym padło skoku.
Sto lanc razem przebodło kanonierów ciała,
Szańcowane w półokrąg — nasze były działa!

NATARCIE KONNICY NA KAREBATALION PIECHOTY.

Bracia! zwawo w czworobok — broń naprzód i oko,
I nie strzelać, i śmiało czekać ich napadu!
Jako chmura śród lata ciężarna od gradu,
Ciągnąc z wiatrem ryczącym nad ziemią szeroko,

Gdzie przejdzie — w dole pusto — niebo émy zawłoką,
Tak rycząc, z szczękiem broni, w ładzie i bez ładu
Pędzi jeźdźców tysiące — tuman znak ich śladu, —
Koń rąwszy jest od chmury, bagnet nie opoką!

Serce od skały tęższe! — w niewzruszonym rzędzie
Nasi stoją i milczą — już blisko przypadli —
Jeśli jeszcze postąpi wściekła dzicz w zapędzie,

Koń dziarski w mgnieniu oka w szrankach naszych będzie.
Nasi milczą — czy jeźdźcy pewną śmierć odgadli?
Uciekają — strzelajmy! — Koń i jeździec padli!

UDERZENIE NA BAGNETY.

Bęben zagrział — krok większy — zbliżyć się zaczęto.
Sto bagnetów na czele sterczy z pod ramienia,
Na ich ostrzu milionów leżą przeznaczenia,
I wrogów rośnie żołnierz w kolumnę ściśniętą.

Z stron obudwóch na wiatry chorągwie rozpięto,
Z pokoleniami dzisiaj całe pokolenia
Walczyć mają o palmę zwycięstwa, zniszczenia;
Dziś tryumf albo drugie męczenników święto!

Więc naprzód! tysiąc głosów z strony naszej wrzasło!
Proch z panewki! — zsykali — już biegna — skry broni
Widać w kurzu — wróg strzelił — dym zaćmił — gdzie oni?

Wszystko jak w kotle jakim zawrzało i zgasło.
Ale patrz — orzeł biały wieje przy pogoni,
Pod nim trupy — i w niebo zwycięstw bije hasło!

SZTURM DO OKOPU ODPARTY.

Warczą kule w powietrzu—śmigają granaty,
Jeden wpadł do okopu—kręci się i pęka—
Zamieszanie—tam kadłub—tu noga—tam ręka,
Tu ratują—tam z trupa krwawe ciągną szaty;

Na wale znów windują do góry armaty,
Pod spizu ciężarami ziemia gnije się miękka.
Zwindowali—nabili—i kanonier kłęka
I celuje—on pomści krwawej naszych straty. •

Już lont swój zapalony drugi w ręku trzyma,
Przyłożył—strzelił—dym się skłębił, wzniósł i znikną,
Ale co za krzyk!—wróg się do szturm pomyka.

Śmierć lub odparcie innej nadziei już nie ma.
Za broń!—kartacze w działa—śledzim go oczyma,
Ognia wszyscy!—wał urosł z trupów najezdznika!

ZWYCIĘZTWO.

Jakież to grzmot, i krzyki, i światło, i chmury;
Czy słońce nowe wstaje z błyskającej zorzy?
W kłębach się ćmy migoce stotysięcy noży,
I głos słyszę — to anioł śpiewa hymn u góry!

Śpiew ten zabrzmiał na dole zwyciężkiemi chóry:
Jak człowiek prawowierny wyrok śpiewa boży,
Nim mu śmierć palmę niebios na skronie położy,
Nim po życiu doczesném duch zabłyśnie wtóry.

To naszych okrzyk zwycięstw — i spełnione losy!
Dym opadł, i grzmot ustał, i krzyki ustały;
A jak pięknej dziewicy spływające włosy

Twarz odsłonią — tak sztandar, wzniesiony w niebiosy,
Opuścił żaglom zwycięstw na dół powiew cały:
Meteorem za wrogiem błysnął orzeł biały.

PULK NOWY.

**Naszych szwadron rozbity—ratuj się, kto żyje!
Już ucieczka jedyną żołnierza obroną;
Suwa koń—suwa jeździec—i broń ma spuszczoną,
I przypadł na kark koński—koń wyciąga szyję,**

**A kopytem kurz miecąc wrogom w oczy bije.
Napróżno—liczne pułki z krzykiem w kurzu toną,
Już nie jednego z naszych przepędził grot łono,
Już i reszty nie schroni dziś skrzydło niczyje!**

**Nadzieja! — jakaś garstka— tam — bliżej podchodzi
Z krzyżem w ręku, ksiądz na ich postępuje czele,
A cicho w ich szeregach jak przy mszy w kościele.**

**W tém— «Ojczyzna niech żyje, przyjaciele młodzi!»
Wódz zawołał—i naprzód! bębny grzmią pułkowe,
Było widzieć jak czynem stwierdzili tę mowę!**

SPOTKANIE KONNICY Z KONNICĄ W BORU.

Przednia straż dała ognia, i ku nam ucieka ;
Patrole w prawo, w lewo, jako bór szeroki,
I pierwszy pluton naprzód — życia koniom w boki!
Marsz, marsz z miejsca! — wypadli człowiek na człowieka.

Krzyk — strzały — powstał tuman — nie dojrzy powieka;
Zwarł się pluton z plutonem, jak z jednej opoki
Dwa nadęte wytrysną — zerwą się potoki,
Nim z wód nieprzyjacielskich światu wzrośnie rzeka.

Ale patrz! pluton pierzcha, baczność! w lewo, w prawo!
Drugi pluton i trzeci, lance do ataku!
Droga wolna — szlusować — rumak przy rumaku —

Marsz, marsz! wypadli znowu i z krzykiem i wrzawą.
Tylko tą razą Moskal przyplacił nam krwawo:
Trzech jeźdźców legło z Moskwy przy każdym Polaku.

POSTERUNEK NA STRACENIE.

« Wy idźcie! — ja z wyborem zostanę młodzieży,
Duszą naszą i ciałem będziecie zakryci,
Na znak ogień rozłożym, i zapalim wici;
Teraz idźcie, niech bęben do marszu uderzy.

Jeśli jutro z nas który do was nie przybieży,
Dajcie na mszę, niech kapłan ołtarze wyświci,
I za tych modły wzniesie, co w polu zabici! »
Zamilkł — poszli — i ogień błynął jaśniej — szerzej.

Długo błyskał — żołnierze maszerują drogą —
Znikł — lunę tylko widać w chmurze malowaną,
Może i oni w niebo przyjęci zostaną!

Świta — jeżeli żyją — wnet powrócić mogą —
Przeszedł dzień — przeszło jutro — nowe błysło rano!
Na mszę dajcie! — zabici — nie widać nikogo!

NAPAD NA OBÓZ NIEPRZYJACIELSKI.

Tli jutrzienka na wschodzie—zaczaić się w krzaki—
Cicho z lasu — niech szabla nie brząka, nie błyska.
Ha! — patrzcie — tam na prawo — widać ich ogniska;
Kozak na przedniej straży wyrasta z kulbaki.

Zoczył nas—koniem na wschód wykręca majaki (*),
Nie spodziewał się dzisiaj takiego zjawiska;
O! poznał — konia zwraca — i w lot nazad pryska;
Więc i my zwawo naprzód rozpuścimy rumaki.

W prawo, w lewo i hurra w całym konia pędzie,
Hurra! zagrzmiały trąby od końca do końca;
W obozie rwą się senni, zgiełk, wrzawa, krzyk wszędzie.

Ten ledwie dosiadł konia — ten już nie dosiedzie —
Nie uciec najezdnikom od polskiego gońca.
Pięćset jeńców! — czekajmyż wschodzącego słońca!

(*) Wykręcają majaki kozacy, mówi się gdy znaki sobie dają zwracaniem w różne strony konia.

OSTATNI KANONIER,

Konie wszystkie poległy — żołnierze wybici —
Dowódzca tylko jeden z dwoma pozostały,
Oszańcowany w trupy jak w zastępne wały,
Z dwóch armat ciągle bije, i dymi, i świeci.

Lecz napróżno — krwi, mordów wrogowie niesyca,
Bateriami na zastęp uderzają mały;
Wkrótce się wróg zwycięstwem zupełnym poszczyci:
Wody nie ma — spiż w ogniu — kurzą się zapaly.

Więc strzelać zaprzestano — wśród kul, w siarki dymie
Trzech z lontami jak duchy migają się zdala;
Nieszczęście! kula znowu jednego obala!

Co za krzyk? — z kąd ten wystrzał? — czyjeś słychać imie;
Imie wołając brata spiż mocy w krwi bratniej,
I znów dymi, i świeci kanonier ostatni.

PRZECZUCIE ŚMIERCI.

Już ognie rozłożyli szerokie do koła,
Kręcą się koło strawy żołnierze strudzeni;
Tu głos słyszeć bezbożnych, tam nabożnych pieni,
Z daleka straż, co chwila, hasła głucho woła.

Jednemu tylko smutno — jego pieśń wesola
Nie rozśmieszy, nabożna, tęsknoty nie zmieni,
I błądzi między wrzawą, jak wśród grobów cieni,
I smutek mu na chwilę nie ucieknie z czoła.

Pytałem o przyczynę — nic nie odrzekł na to. /
Myśleć z drugim, samotnie czuć zawsze jest miliej :
Może i on przyczyny nie wiedział w tej chwili; /

Może płakał nad świeżą przyjaciela stratą ;
Może się żegnał w sercu z rodzicielską chatą.
Nazajutrz — bitwa była — i jego zabili ! /

PIERWSZE SŁOWO (*).

Znów weszła — nie wiem co się w duszy mojej działo!
Uśmiech jój był tak słodki — oczy tak łaskawe,
A przecież czułem w sobie niepewność, obawę,
Gdym chciał mówić, oddechu na słowo nie stało.

Myślałem, że na świecie odznaczony mało,
Jój tylko służyć mogę za marną zabawę;
I westchnąłem ukryty przez krzykliwą wrzawę;
To westchnienie, ach! było duszą moją całą.

Ktoś imię moje wyrzekł — i podniosłem oczy,
Jak ów we śnie chodzący wzbudzi się na imię;
Patrzę — już się kołuje tanecznik ochoczy —

Znów ktoś na mnie zawołał — czy na jawie drzymię.
To ona — ręką porwał — jakiś duch proroczy,
Serce i myśli natchnął — i w tańczącym rymie,
« Ja cię kocham! » — wyrzekłem.

(*) Sonet ten należy do działu *Wiersze różne*.

WIERSZE POSMIERTNE.



PRZESTROGA.

(BALLADA.)

I

Znałem ja chłopca—znałem dziewczynę,
Którzy się bardzo kochali;
Lecz gdy się miłość w chwili zapali,
Gaśnie zazwyczaj w godzinę.

Wiedział to chłopiec, i często o tém
Dziewczynie swojej powiada;
Ale któż trwożnie na dół upada,
Gdy orła wzbije się lotem.

Dziewczę nie mogło rozumieć mowy,
Lub jój rozumieć nie chciało;
A już i księżyc przeminął nowy,
I już przeżyli nie mało.

Na wiosnę, słyhać, król wie dzie wojnę,
Liczne wysyła okręta,

I już swe szyki prowadzi zbrojne,
I wiosna—wojna zaczęta.

Któż to na brzegu płacze—tak płacze!
Gdy żagle okręt rozpina?
« Nigdy już ciebie ja nie zobaczę »
Wołała płacząc dziewczyna.

Okręt odpłynął—okręt daleko,
Morze się rzuca, i wzdyma;
Ona go jeszcze ściga oczyma,
A lzy jój cieką, i cieką!

II

Stroją ołtarze różą—liliami,
Grzmią dzwony—ksiądz już wychodzi,
Na stopniach państwo czekają młodzi—
Lecz panna zalana łzami.

Płacze zapewne, że dom rodziców
Już jój opuścić wypada;
Ale tak smutna—na licach blada,
I lzy jój płyną wciąż z liców.

Przeżegnał — skinął ksiądz u ołtarza,
Pierścionki ślubu już święci :
« Chcesz tego męża ? » tak, « chcę, » powtarza,
Dodała imię z pamięci.

Czyje ? — kochała — któż nie odgadnie ?
Lecz cóż jest miłość dziewczynie ?
Miłość jak gwiazdka nocna, gdy spadnie ;
Leci, i błyska, i ginie.

Jéj miłość jako światło księżycy,
Co się przez chmury przedziera,
Dzisiaj tu — jutro tam znów przyświeca,
Dziś szczerą — jutro nieszczerą.

III

Ledwie po ślubie — już pogrzeb ! Księżę,
Gdzie pyszne twoje ornaty ?
Jeśli mąż żonie szczędzi zapłaty,
Ja twoję pracę spieniężę.

Dwie trumny na raz ? mała gromada
Nie tak jak ślubni słuchacze.

Żona jest w trumnie — a mąż! ach! biada,
Kiedy mąż żony nie płacze.

Ależ ta druga?— i na niej wieniec,
Tak liczneż śmierci są wianki?
Tam w drugiej leży obcy młodzieniec,
Kochanek obok kochanki.

Wrócił on, wrócił— przebił jój łono
Tém samém ostrzem, co sobie;
Dla nich obojga grob tam zrobiono,
W jednym złożyli ich grobie.

Jam na ich grobie dwie lilie wsadził,
Łzą skropił kwiatki w powiciu,
I to napisać wambym poradził:
« Nie kochać dwa razy w życiu. »

NA JEZIORZE LEMANIE.

Dnia 3 lipca 1833 roku.

Płynąłem— ciche wiatry kołysały łodzią,
Drgającą na wód głębi jak motyl na trawie:
Już był dzień ku schyłkowi, już po zwykłej wrzawie
Rozbiegła nad brzegami rodzinnemi młodzią,
Ojciec rybak ostatnie porozstawiał sieci. —
Tu u łódki rozwieszon, słońce żagiel pali,
Tam druga brzeg dopędza—a wyżej i dalej,
Na niebie i na wodzie, i gdzie wzrok doleci,
Jak lutni brzęk w śpiewaków nastrojonym chórze,
Ogień zachodni słońca topił się w lazurze.
Wiatr powstał— czolgająca łódka w pędzie nagli,
I jam chciał żyć inaczej! rzucam się do żagli,
I żagle rozpostarłem, pędzę przez wód piany,
Pędzę, ale napróżno— napróżno obwiany
Wiatrem— serce poruszam; próżno drżącą dłonią
Czerпам wodę i rzucam na wybladłe lice,
Myśli moje ściągają inne okolice :

Myśli moje na powrót ku rodzinie gonią!
Dawniej, — lecz na cóż przeszłe wywoływać duchy,
Życie w przeszłości — śmiercią prawdziwą w zarodzie,
Więc wołać do żyjących? Wołałem; świat głuchy! —
Opuszczam tedy żagle, na brzeg pchnijmy łodzie, —
Obojętność jest pierwszym rozstania się godłem;
Jam się stał obojętnym dla całego świata,
Żyję mało — przeszłością niech zajdą me lata :
Na ludziach się, i ogniu, i wodzie zawiodłem.

PIEŚŃ DO BOGA.

(Śpiewana na melodyę pieśni Kœrnera « Herr, ich rufe dich. »)

Boże, Tyś wolność dał!
Ziemi Twój dzieci nieszczęściem gnębione,
Pod Twą wszechmocną cisną się obronę;
Przed Tobą, Boże, każdy niecny drzał:
Polak Ojca miał!

Ojczy nie opuść nas!
Niewolnik wolnych nadwreżył prawa;
Zginął porządek — natury ustawa,
Wolność zginęła! kajdan rządzi brzęk,
Usłysz dzieci jęk!

Stworco, Tyś wielkim jest!
Niedaj umierać członkom pojarzmionym,
Niechaj duch Polski nie kona przed zgonem,
Niech tu odbierze swój wielkości chrzest,
Wieczność wolną jest!

Panie, rzuć piekiel grom,
Niech się zatrząsą silne węzły świata;
Już pęka jarzmo! wolny duch ulata
Niszczący wszystko, sam się zjarzmi zgon,
Wolność wzniesie tron.

Oddajmyż śmierci cześć,
Niech melodyjne, niech nadziei pienie
Pięknej przyszłości uwieńczy istnienie;
Tyranie, zadrzyj! czém duch polski znaj,
Czém wolnych kraj.

Bracia! łączmy się spół,
Znak do oręża sam Ojciec nam daje;
Kto kraj swój stracił, wieczność mu zostaje;
Wiecznieje, kto ją czuł.

PIELGRZYM.

Rok 1824.

Jeszcze w méj młodości kwiecie
Rzuciłem ojców zagrodę;
Szukać chciałem — chciałem w świecie
Znaleść człowieka — swobodę.

« Młodość często płochą bywa, »
Rzekł mi ojciec, gdym wychodził :
« Szczęście w świecie nie przebywa,
Do nieszczęść się człowiek zrodził.

Im bardziej się szczęścia szuka,
Tém bardziej od nas ucieka ;
Jedna cnota i nauka
Uszczęśliwia tu człowieka. »

Matka łzami się zalała,
Łzy mnie jednak nie wzruszyły ;
I choć z płaczem mnie żegnała,
Łzy i płacze próżne były.

Bo mnie szczęścia cień zwodziła,
Że gdzieś w świecie przemieszkuję,
A nadzieja mnie krzepiła,
Że ją człek, gdy chce, znajduje.

« Idź więc wreszcie, synu luby,
Rzekła matka rozczulona,
Niech cię Bóg chowa od zguby;
Bo w Bogu jedna obrona. »

« Dla mnie szczęście wtenczas będzie ;
Niech mojej śmierci godzina
Wtenczas dopiero przybędzie,
Gdy mi nieba zwrócą syna. »

Czulą uściskałem matkę,
I choć z łzami się zęgnąłem,
Opuściłem przecież chatkę,
I ku szczęściu się udałem.

Lata trawiąc na wędrownie,
Pół obiegłem świata prawie;
Rzeki, góry i manowce
Przebywałem w tej wyprawie.

Sił i trudów nie szczeniłem,
Wszystko mi dość znośném było;
Bo mi wszystko, jak sądziłem,
Przyszlém się szczęściem słodziło.

Lecz czas i lata uchodzą,
Te kresy celom wskazują,
I jak żądze ludzkie rodzą,
Tak i żądze ludzkie trują.

Biegłem za szczęścia udziałem,
Póki lata dozwalały;
Że szczęścia nie ma, poznałem,
Gdy lata młodość zabrały.

Jak często, między obcemi,
Brzmiała mi wtenczas ta mowa,
Te prawe ojcowskie słowa,
Że nie masz szczęścia na ziemi!

Już mnie szczęście nie mamilo,
Płochosc łzami oblewałem;
Celem wszystkiém — celem było,
Że rodziców widzieć chciałem,

Lecz tego losy okrutne
Dopiąć mi nie dozwoliły;
Bo rodziców groby smutne
Były od dawna przykryły.

Wtenczas, w pośród łez powodzi,
Płacząc rzewnie nad grobami,
Poznałem, że się człek rodzi,
I umiera z nieszczęściami.

DO MADZIUZI NA DZIEŃ DOBRY.

W Lubostromiu, 1825 roku.

Pieszczą się z tobą, i pieszczot nazwiska
Bez składu rymem sypią ci dokoła ;
Tolcią cię wabi jeden, gdy uściska,
Tonją znów drugi, gdy skaczesz wesola,
Tamten inaczej — a każdy całuje :
Ja tylko moją pieszczotkę rymuję ;
Zowie Antolkę miluchną Madziuzią,
Bo się to imie dziwnie składa z buzią!

Z rana gdy przyjdiesz, dnia życzysz dobrego,
I ja podobnie ozwę się Madziuzi,
Chcę życzeń datku — a tak od niczego,
Rada nierada, musisz mi dać buzi.
W wieczór, gdy czasem spocznieś na kolanie,
I już mrugają zmęczone oczęta ;
Gdy już chusteczka, sukienka rozpięta,
Ledwie nie usniesz — bliski jest rozstanie ;

Ja, nim zadrzymiesz, położę Madziuzię,
Lecz nim położę, pocałuję w buzię.

A gdy piętnasty zaczniesz życia roczek,
W pannie dorosłej Madziuzia zaginie;
Miłosna strzałka błysnie z dużych oczek —
Pomnij Antolku, w przypomnień godzinie,
Na tego, który miłym był Madziuzi,
I choć raz jeszcze, daj mi wtenczas buzi.

PIE Ś Ń.

Czegoż tak płaczesz, dziewczyno młoda,
Wstęgi przypinasz żaloby;
Czy brat twój może — szkoda go, szkoda!
Tysięczne pomnożył groby?
Czyli kochanek, broniąc honoru,
Ojczyzny, wolności, ciebie,
Na śmierć przeważył szalę wyboru,
I dziś go zimna dłoń grzebie?
I skrzepła ręka już nie zawiśnie
O pełne wdzięków objęcia,
I już zastygły dawne zaklęcia,
Już dłoń twą nigdy nie ściśnie?

Biędna kobieta, siostra, kochanka,
Któż bez łez przy niej ostoi,
Jak z śmiertelnego lilia wianka
Wygląda z żalobnych stroi;

Rzekłbyś, że duch jój nie z tego siola,
W wieczne uleciał krainy;
Tam czułość przywdział niebios aniola,
I w postać wrócił dziewczyny!

Rozpuść twe włosy, trefne warkocze,
Nie z żalem idą do pary,
I rękę podnieś! — i pełna wiary —
Smutek ma głosy prorocze,
Mów — krzycz — wyrokuj — jak owa księżni
Trójnoga, w Delfach królowa;
Przebiegnie ludzi — ziemię twa mowa,
Niebo ją samo rozpieni!

« Czego chcesz? biedną widzisz istotę,
Głos wieszczy nie jest w méj mocy. »
Nie jest? więc ja ci stanę w pomocy,
I przekleństw chmurę pomiotę.
I pęknać musi!! — choćby ulewa,
Naksztalt potopu Noego,
Ziemię połknęła — lutnia rozspiewa —
Nie masz nic dla mnie świętego!

Ty idź na grobach jęczyć twych braci,
Kochanka, ojca i matki ;
Bóg może kiedyś łzy ci popłaci,
Wszak dziwne w życiu wypadki !
Łzy twoje może zrodzą mścicieli,
Z wdychań wyrosną rycerze,
I jeszcze w dziejach miejsce zabierze
Dziewczyna obok kądzieli !

Jak parki nici żywota przędą,
Tak czyny nędznej komnaty,
Tak sądy światom dawane będą,
Z pokorą przyjmą je światy !
Ludzie skrzywdzeni łzy w pomoc zdzierzą,
Płakać ich będą kobiety ,
I o to tryumf — chwała — zalety,
I tak się dzieje przemierzają !!

Śpieszcie narody — idźcie z dziewczyną
Na przemoc nędznie narzekać !
Nam nie czas płakać — nam nie czas czekać,
Życie nam jedną godziną ;

I ta wybiła, i już się stało ;

Kto dłużej wyżyć zamysli,

Ten nad naturę niech zdzierzgnie ściślej

Na wieki ducha i ciało !

LASEK OLSZOWY.

MARZENIE RYCERZOM POLSKIM POŚWIĘCONE.

Czy to marzeniem ogród zmyślony
Wyprzedził prawa natury,
Jakieś uroczę drzewa do góry
Wczesnémi pną się ramiony!
Pną się — i lekkim wiatru powiewem
Na ziemię długi cień ścielą,
A kiedy listki z pączków wystrzelą,
Cóż w tenczas będzie z tém drzewem?

Jeszcze daleko do wiosny — lata,
Zimny mróz ziemię drętwieje;
Lasku mój, lasku! nie wiesz czém dzieje
Człowieka — natury — świata!
Kiedy kto w życiu naprzód wybiegnie,
Nie czeka pory właściwój;
Biada ach temu! on wtenczas legnie,
Umiéra, kiedy świat żywy!

I ty mój lasku zginiesz niedługo
 Śród wichrów, burzy i fali;
Bo wierzaj — dzisiaj wszystkich zasługą,
 Kto życia siłę obali!
Kto śmierci zdrowie na grobu szczątkach
 Z uśmiechem serca wypije;
Chcesz żyć? żyj tylko w zimnych pamiątkach;
 Bo nikt dziś w świecie nie żyje!

Jakiś tłum ludzi bieży zdaleka,
 Coś dziwnie błyszczy w ich dłoni —
I prędko bieży, i prędko goni,
 I znowu stanął, i czeka...
To pewno starcy z okolic będą,
 Oni to zwykli swym śpiewem,
Kiedy słuchacze w koło zasięda,
 Pieśń dawną nucić pod drzewem.

Nućcież więc nućcie! tylko ochoczo!
 Któs wzgardził przeszłości pieniem?
Ale co widzę? ludzie się tłoczą —
 Krew ziemię ryje strumieniem.

Gdzie starcy? znikli — jedno rycerzy —
A każdy pędzi jak wściekły —
Gdzie stąpią — wał trupów leży!
Czy ludziom nieba zgubę wyrzekły?

Zgubę?... to przecież huczna biesiada!
Widzisz ten obrus stołowy,
Na nim zwierzyna — cudne połowy,
I napój przecież nielada!
Głupiec, kto dzisiaj w lesie przed psami
Strzelaniem nędzném się trudzi;
Obciążysz wozy zwierzyny stami,
Puść tylko ludzi na ludzi!

Niech czaszkę świeżą przyniosą słudzy,
Pan wielkie wytrząśnie zdrowie!
Ile złych myśli było w téj głowie,
Miar tyle lejcie tu drudzy!
Nie wina — słabym napojem wino;
Krwi z ciał niech żwawo utoczą,
Uczta być musi walną, ochoczą;
Wszakże nie wszyscy dziś giną?

« Dalej służalce! rozrąbać ciała :
Tam leży starzec zbuczony,
Zaguba ludzi — ziemi zakala,
Chciał żyć dla kraju obrony!!
Niech dłoń znużona za przysmak służy,
Boć młodych dosyc na stoły,
Tych mi stos znieście duży, tak duży
By szczyt ich zmęczył sokoły! »

Jak psy zażarte, gdy zgonią zwierza,
Jeszcze się pastwią nad ciałem,
Tak ty drzesz trupy! a gdy za małym
Nie godnem dosyc rycerza,
Idź — żywych braci zęby chciwemi
Szarp — głowy — serca — wnętrzności!
Toć i my mamy rękę młodości,
Razem do stołu siadziemy!

Hej! dalej! — żywo — gdzie są nakrycia?
Ze śniegu szklnięcych nam trzeba!
Niechaj czém prędzej czarę do picia
I soli dadzą do chleba!

Wybaczysz, gościu, że nie tak suta
Stypa jak twoja dziś będzie;
Ubóstwo nasze chciej mieć na względzie :
Jeść z nami — żywa pokuta !

My lez nie mało w życiu napili;
Z hojnego źródła ci dajem.
Wszak Pismo mówi : « Kto cię zasili,
Tego zasilaj nawzajem. »
Weź więc tę czarę — uderz w puhary,
Wyskok to jagód zgryzoty !
Tobie nie będzie zbywać ochoty,
Zabiles płacze bez miary !

Soli nam dajcie i chleba kawał,
Dawniej szczérości oznaka;
Dziś stypa będzie nie ladajaka,
Bo ten chleb — w sercu zostawał !
A wszak kto z serca gościa obdarza,
Ten go przyjmuje uczciwie,
Godne przyjęcie króla, cesarza,
Duszy cię chlebem pożywię !

« Ile jest myśli ukrytych w duszy,
Tyle chwil przeżyj w męczarni;
I odmęt przekleństw sercem ogarnij,
Jeżeli ci serce się wzruszy!
Bądź światem całym tylko na chwilę,
Byś odczuł czyny twe godnie,
W całej wielkości i całej sile
Czém są dla świata twe zbrodnie! »

« Chciałbym ci wsączyć w serce z kamienia
Kochanka wściekle zapaly,
Z grobu wywołać odwieczne cienia,
I czasów przeszłych bieg cały.
Niechby kolejno dzień po dniu płynął,
A każdy ród twój przeklinał,
I każdy ledwie na chwilę ginał,
Na nowo istnieć zaczynał! »

« Z niebabym ręką skradł świętokradzką
Obraz człowieka za karę,
Jak dziecku niósłbym przed oczy cacko,
I twą ci znaczył poczwarę! »

Czy znasz niewinność? Boga dar święty!

Kto cnotę w życiu polubił.

Obyś się w szale niewinnym być chlubił,

A przecież został przeklęty! »

Stój! — gdzież cię zapal, młodzieńcze, wodzi?

Z nędną się bawisz istotą;

Czyż to dar wieszczy dano ci po to,

Abyś w kształt dzikiej powodzi

Łamał, druzgotał lepianki z gliny,

Którym wiatr dosyć dokucza?

Na bok marzenia! dziś mówią czyny,

Czyn niechaj ludzi naucza!

Pójdź płakać, ojcze, nad grobem syna,

Z nadzieją rozstać się, matko;

Nie prawdaż ludzie? dziś bardzo rzadko

Za listek ginąć wawrzyna!

Czas już postąpił — syn włos siwizny,

Ojciec spokojność ma w oku,

Tylko ta jeszcze — przy syna boku —

Umięra, broniąc ojczyzny!

Tam pod tém drzewem widzę i łoże,
Zbroczona ręka je słała :
Obu kotarą, lasku bezdroże,
Ich puchem wrogów są ciała!
Drzymcie spokojnie! — ja listek z drzewa
Za laur wam włożę na skronie;
Może słyszycie, jeszcze po zgonie
Przyszłość wam hymny zaśpiewa.

Lecz po co czekać? dalej poeci !
Młodość wszak siły udzieli;
Skrzydła przypnijcie z olszowej zieli,
A myśl do niebios zaleci !
Tak — nućcie wszyscy — niech się głos śpiewu,
Z jękiem konania przedziera ;
A ja tymczasem pójdę ku drzewu
I ręka liści uzbiera.

Ale gdzież wiosna? zima dokoła —
Wierzyć że teraz pocie!
Nie bluźń na próżno — czyż myśl nie zdoła
Śnieg w serce trząsnąć i w lecie?

I jak mróz gorzej wyiębić ducha,
Lub go zapalić w przemiany :
Kto odmiar znalazł myśli łańcucha?
Gdzie był świat marzeń widziany?

Patrzcie już wkoło pełno słuchaczy,
Každy ciekawie was śledzi :
Jak ręka lutni stróny przeredzi?
Czy talent wielki jest graczy?
Ty więc rozpocznij, coś w ducha sile
Nad innych wyrósł zawczasu,
Inaczéj może ja się przymię,
Po listki pójdę do lasu !

Pójdę, na czubku drzewa zawisnę,
I skoro śpiów twój w rozkładzie
Kończyć się będzie — ja listek cisnę,
A ty go rozdasz gromadzie!
Ty więc rozpocznij, coś w ducha sile
Nad innych wyrósł zawczasu,
Inaczéj może ja się przymię,
Po listki spieszę do lasu !

Skończyłeś zwrotkę — ja rzucam listek ;

Jak prędko na dół on bieży,

Do naszych dzielnych spieszy rycerzy;

Świat winien życie im wszystkim!

Ty dalej śpiewaj, coś w ducha sile

Nad innych wyrósł zawczasu,

Inaczéj może ja się przymiłę,

Rzucając listki wam z lasu!

Skończyłeś znowu — i drugi spada,

Nie wolniej mierzy powietrze ;

Bo dzisiaj siła siły nie zetrze,

Jeżli orężem nie włada!

Ty dalej śpiewaj coś w ducha sile

Nad innych wyrósł zawczasu,

Inaczéj może ja się przymiłę,

Rzucając listki wam z lasu.

Ale co słyszę, głos twój słabieje,

Słuchaczów mało dokoła ;

I wiatr się zrywa — dąsa — i wieje,

Któż jeszcze na mnie zawoła?

Kto liści żąda, niech się pospieszy,
Bo burza bardzo już bliska;
Na próżno wszystko — niema już rzeszy,
I dłoń napróżno dłoń ciska.

Milczenie zwykło budzić do pieśni,
Czas smętny piersi zagrzewać ;
Tyś skończył — ja więc zaczynam śpiewać
Co myśl i serce roześni.
Tylko z wysoka znijdę na ziemię,
I pod gałązki olszowe
Serce przycisnę — położę głowę,
Może w przyszłości zadrzymię!

Niech szumią wiatry, niech wyje burza,
Dészcz niechaj gęsty kropleje ;
Myśl się w marzeniach lepiej zanurza,
I serce lepiej wyleje !
Tylko z wysoka znijdę na ziemię
I pod gałązki olszowe
Serce przycisnę — położę głowę,
Może w przyszłości zadrzymię!

Trzy listki, widzę, zerwane biegną,
W powietrzu każdy pierścieni;
I zżółkle może wkrótce zalegną
Powierzchnię dzikich strumieni.
Albo owiane piaskowym żwirem,
Z ciężkością na dół upadną;
Boć same sobie łódką i stérem,
Czyjeż to myśli odgadną?

Lecz patrz... na ziemi dzikim nieładem,
Tysiąc się innych koryci,
A każdy bieży tym samym śladem,
Jak r, by w matnię do sieci!
O biedne listki! burza tak wyje,
I świat dokoła ściemniony,
W jakież odległe ciągniecie strony?
Gdzie oko nie śni — nie żyje!

Biegną — kołują — już znikły z oka;
Lecz jak na pierścień czarowny,
Straszdyło jakieś ciągnie z wysoka,
Z północy orzeł dwugłówny,

Szponem zaparty o błyski fali,
Widzę, jak na dół uderza;
Za nim się tysiąc tysięcy wali,
Któż zgnębi tego szermierza?

Tu wielka przerwa mojej powieści:
W górnej wyziewów krainie,
Orzeł skrzydłami już nie szeleści,
Aleć i listek nie płynie.
Inne czas oku zjawiska niesie,
Rycerzy widzę w zamianę ;
Krwia ludzką pola w koło zalane,
Koryto płynie w tym lesie.

Spieczona usta chciałem przylepić
Do krwią zbiegłego koryta,
Ale przyczyna źródła zakryta,
Wyroków niechciej zaczepić;
Bo co tam w górze żelazną dłonią
Władzca odwieczny wykreśli,
To myśli twoje próżno że gonią,
Na próżno wszystkie są myśli!

I znów odmiana zaszła w marzeniu :

Zoczyłem w jasnym odzieniu
Obłoczkiem lekkim obwianą postać,
Kto ona? trudno wydostać ;
Jak tęcz, gdy mignie nad wód zwierciadłem
I niebo w okrąg otoczy,
Tak się nad lasek wzbiło widziadło,
Tak mile szklnięły jój oczy !

Z olszowych liści plecione wianki
Rączką w trzy strony wyrzuci,
I piosnki jakieś czarowne nuci,
Powtórzę śpiewy niebianki!
Bo jeżeli twarde szczytnych gór grzbiety
Po trzykroć odbiją głosy,
Cóż, kiedy wieczne mówią niebiosy,
Nie przejmie ducha poety?

ŚPIEW.

Przychodniu z zimnych pól,
Bież wianku, na dół bież ;
W świat listki twoje tul,
Twoję woń w świecie szerz!

Nie ten mi ojcem jest,
Kto silnym w oręż był ;
Jak ty, zakrytych sił
Mam ród — mam bóstwa chrzest !

Idź, wianku, ludziom głos
Z przeznaczeń wiecznych kart :
« Nie ten wolności wart,
» Kto nad nią kocha coś. »

Niech z lasku tego żerdź
Wytknie mu biegu ślad ;
Zwycięstwo albo śmierć,
A wolnym będzie świat !

Do tych więc biegnij wprzód,
O wianku drogi mój,
Co w duszy mają zdroj
Wielkości prawych cnót.

Niech przykład polskich ziem
Pożary w sercach tli ;
Świat niechaj Polskę czci,
Odczuje wolność czém !

Przychodniu z zimnych pól,
Bieź wianku, na dół bieź ;
W świat listki twoje tul,
Twoję woń w świecie szerz !

Ledwie śpiew ustał, niebianki ciało
Jak nocny ognik przepadło:
Tysiąc ją nocnych chmurek obwiało,
Gdzieś w niebie znikło widziadło.....
Długom wyteżał wzrok mój daremnie,
Wzrok ludzki w niebo nie sięga;
Ale jest jeszcze inna potęga,
Zimna myśl jeszcze jest we mnie !

Ta nie zawiedzie — jak kompas łodzi
Na grzbiecie spienionej fali,
Choć w obłok śmignie — choć w głąb się wali,
I słońce krwawo zachodzi,
On zawsze jeden na północ zmierza,
Gdzie ciemność ród swój wywodzi,
Na próżno wzrok twój niebo rozmierza,
Majtku ! ty skieruj bieg łodzi !

Tak i wy, ludzie, pomnijcie ślady,
Które myśl wieszczą oznaczy,
Jeżeli nie chcecie życia zagłady,
Lub wyjść na wiecznych tułaczy.
Tam na północy groźne poczwary,
Trzy ludożerców cieliska
Kłębem czas mącą; zbliżka — tak — zbliżka
Świata czekają już kary!

Jak Ewanielii morskie straszycło
Siedmioro ludów pochwyci,
Synowie wasi będą zabici;
Córki na rozkosz obrzydłą
Staną poczwarze! a wy narody,
Zamiast się jąć do obrony,
Wy uderzycie wesoło w dzwony,
Zatlicie światła na gody!

Na grobach naszych płasnąć będziecie,
Lecz proch nie każdy umarły;
To, co nieszczęścia w świecie zatarły,
Jeszcze się zemści na świecie!

Pod każdym krokiem czuć nas musicie,
Do serca proch się przewierci;
Poznacie więzy, przeklniecie życie,
Próżno westchniecie do śmierci!

A jeżeli.... Ale co za szmer słyszę,
Jak modły ciche w kościele!
Czy się gałązka z lasku kołysze?
Czy strumyk przesącza ziele?
Nie, to głos ludzi — widzę jak w parze
Coraz tu bliżej przychodzą;
To wrogi pewno — nieznane twarze —
Na życie pewno mi godzą!

Gdzie broń ich? dotąd nie widzę broni,
Księża z okolic być muszą;
Przyszli po bitwach do téj ustroni
Nad zmarłą modlić się duszą!
Módlcie się — módlcie — podnieście krzyże,
Bo na to sił mieć potrzeba;
I ja się z wami pomodłę szczerze,
Litości pełne są nieba!

Dalój do stuy — w rękę brewiarze —
Ależ ty młody mój księżu!
Ja cię przed Bogiem gorzko oskarżę :
Na ten czas kiedy orężę
Bracia z rozpaczą w górę podnoszą,
Ty jak ludzkości wyrodek,
Z paciorkiem w ręku pilnujesz trzódek.....
Nie tak się nieba uproszą!

Śmiejesz się? z czego? wy nie z téj ziemi,
Cóż z tak daleka prowadzi?
Polacy zawsze w gościnie radzi,
Dziela się z dary wszystkiemi.
Czego żądacie? pokarmu może?
Do miasta blisko jest bardzo;
Jeżeli siły waszę nie wzgardzą,
Zgotuję pokarm i łoże!

Pójdźcie tu ze mną! — jeszcze stoicie
I oko łzami zalane,
Gdybym był panem, dałbym sownie
Za lezkę złoto w zamianę!

Dziś dać nie mogę — majątek wszystek
Wróg zabrał wszystkie dostatki;
Jedynym skarbem, — polowe kwiatki
I ten tu został mi listek!

Drogi on prawda, jeżeli krew bratnia
Wylana liczy za cnotę;
Oto ofiara moja ostatnia,
Niech weźmie, kto ma ochotę.
Ledwie wyrzekłem, liść z ręki pada,
A kto skrzywdzony w podziele,
Z ziemi wyrywa ze łzami ziele
I z oka niknie gromada.

Długom ich śledził, pierzchli w trzy drogi,
W trzy się roznieśli promienie.
Kto oni? nie wiem — może i cienie,
Bo mocne czucia nałogi!
Czucie utwarza, co w sobie niesie,
Co w świecie szuka daremnie;
Dość — jam ich widział w olszyny lesie,
Nie wiem — na jawie, czy we mnie.

SPIS RZECZY.

PRZEDMOWA WYDAWCY.	v
WACŁAWA MŁODOŚĆ, poemat. — Część PIKARSKA.	xix
I. Wielki Piątek.	1
II. Powrót z kościoła.	11
III. Sny prorocze.	14
IV. Nauki.	23
V. Obcy człowiek.	36
VI. Odmiana.	55
Część DRUGA.	67
I. Bal w zamku.	69
II. Związek.	74
III. Obrazy.	84
IV. Odkrycie tajemne.	113
V. Wyjazd ze stolicy.	118
VI. Scena zamkowa.	125
WIERSZE RÓŻNE.	145
Wizja.	147
Nabożeństwo tegoczesne.	160
Zdrajca, powieść.	170
Ostatnie chwile samotnika.	177
Grobowiec na granicach Syberyi.	186
W nocy jesiennej.	191
Elegja na śmierć Grabowskiego.	193
Z Lorda Byrona.	195
Chóry na pogrzebie Miniona.	196
Strata zmysłów.	199
Śpiew starca.	202
Do.....	203
Do imiennika siostry.	204
Do.....	206
Do.....	209
Odpowiedź na list.	211
Na moje urodziny.	212
Śpiew.	214
W imienniku.	210
Chór strzelców.	217

SPIS RZECZY.

Rozmowa.	219
W nocy nowego roku.	221
Drąno, 10 marca 1831 r.	222
Króli garniek.	226
WSPOMNIENIA Z CZASÓW WOJNY 1831 r.	231
Zapalaniec młody.	273
Na dzień detronizacji.	236
Do wojska polskiego.	238
Śpiew.	241
Bitwa pod Grochowem.	244
Hymn zwycięstwa.	255
Modlitwa obozowa.	258
Śpiew ochotników poznańskich.	262
Na dzień pospolitego ruszenia.	266
Do ludów.	271
W obozie pod Boliłowem.	278
W nocy po pierwszym dniu saturskim.	280
Wchodząc do Prus.	280
W rocznicę 29 Listopada.	285
Zakończenie.	289
SONETY WOJENNE.	293
Wstęp.	297
Natarcie konnicy na konnicę.	298
Wzięcie armat na górze stojących.	292
Natarcie konnicy na karebatalion piechoty.	300
Uderzenie na bagnety.	301
Szturm do okopu odparty.	302
Zwycięstwo.	303
Pułk nowy.	304
Spotkanie konnicy z konnicą w boru.	305
Posterunek na stracenie.	306
Napad na obóz nieprzyjacielski.	307
Ostatni kanonier.	308
Przeżucie śmierci.	309
SONET ODDZIELNY, Pierwsze słowo.	310
WIERSZE POŚMIERTNE.	311
Przestroga, ballada.	313
Na jeziorze Lemańle.	317
Pieśń do Boga.	319
Piełgrzym.	321
Do Madziuzi na dzień dobry.	325
Pieśń.	327
Lasek olszowy.	331

KONIEC SPISU.



Stanford University Libraries



3 6105 019 192 157

CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(650) 723-1493

gncirc@sulmail.stanford.edu

All books are subject to recall.

DATE DUE

--	--

A hand-drawn rectangular box with a thick black border, positioned at the bottom of the page. It is partially overlapping the bottom edge of the library information box above it.